



# *Mary Nichols*



## *Nieustraszona piękność*

# Rozdział pierwszy

*Maj 1760 roku*

Ogród na plebanii, choć niewielki, był oazą spokoju. Rabaty mieniły się barwami malw, słoneczników, ostróżek i jastrunów, a w powietrzu unosił się aromat róż, lawendy i goździków. Louise uwielbiała to miejsce i nawet jako dziewczynka z wielką ochotą pomagała siać i pielęgnować rośliny. Mimo że stary ogrodnik już nie żył i zastąpił go młody Alfred, nadal z przyjemnością zajmowała się ogrodem i najszcześniejsza była wtedy, gdy ubrana w prostą suknię i fartuch, na klęczkach pielila grządki lub zrywała uschnięte kwiaty.

Było ciepło i słonecznie, choć poprzedniego dnia trochę padało. Louise uznała, że czas wypowiedzieć wojnę chwastom na wąskiej rabatce pod oknem gabinetu ojca. Pracowała z zadowoleniem już od dłuższego czasu, gdy dobiegły ją głosy.

- Elizabeth, trzeba o tym powiedzieć Louise. Ona nie jest już dzieckiem, tylko dorosłą kobietą. W tym wieku powinna zrozumieć.

Louise wyraźnie usłyszała słowa ojca i zaczęła się zastanawiać, o czym mowa. Ojciec wydawał się wyjątkowo ponury. Czyżby złamała jedną z wyznawanych przez niego surowych zasad postępowania? Może szeptła o czymś ze swoim bratem Lukiem podczas ojcowskiego kazania w niedzielę? A może zobaczył ją jeżdżącą konno po męsku, co było niegodne damy? Gdyby jednak tak się stało, zapewne wezwałby ją do gabinetu i zrugął. Nigdy nie bała się ojca i zwykle bez trudu potrafiła go owinać wokół palca. Okażałaby niezbędną skruchę, a on uśmiechnąłby się i przebaczył jej winę, a potem pozwolił odejść. W tak banalnej sprawie nie zasięgałby nawet opinii żony.

- Nie. - Usłyszała głos matki, jak na nią niezwykle zdecydowany. - Wyjechaliśmy z Moresdale, żeby uciec od przeszłości, zacząć nowe życie, więc nie rozumiem, dlaczego mielibyśmy teraz to odgrzebywać.

- Moja droga, wiem, że to jest dla ciebie powód do frasunku, dla niej też będzie, ale nie na długo. Przecież jej nie odrzucamy ani nie przestaliśmy jej kochać. Pomyśl, ona na

pewno wkrótce zechce wyjść za mąż, a dżentelmen, którego wybierze, powinien poznać prawdę.

Louise przestała pieścić rabatkę. Siedziała na piętach, kołysząc gracką trzymaną w dłoni, i próbowała zrozumieć, o co chodzi. Bała się nawet odetchnąć ze strachu, że zdradzi swoją obecność. Nie wątpiła ani przez chwilę, że rodzice rozmawiają o niej, ale ich słowa wydawały się niejasne. Jaka prawda? Przed jaką przeszłością uciekali? Mgliście pamiętała przeprowadzkę do Chipping Barnet, bo była jeszcze bardzo młoda, ale wspomnienie miejsca, w którym mieszkali wcześniej, prawie się zatarło.

- A po co w ogóle o tym mówić? - spytała matka.

- Ponieważ gdyby zawarła małżeństwo, mając taki sekret, ryzykowałyby posądzenie o oszustwo, a poza tym zawsze może się zdarzyć, że ktoś inny na to wpadnie i powie jej przyszłemu mężowi. Chyba rozumiesz, że to byłoby wyjątkowo niefortunne. Postąpilibyśmy haniebnie, gdybyśmy pozwolili jej dowiedzieć się o tym od obcych.

- Kto niby ma na to wpaść? Wiemy tylko ty i ja...

- I Catherine - przypomniał jej.

- Catherine nie piśnie ani słówka. Nie ważyłaby się.

- Chyba nie sądzisz, że przez te wszystkie lata nie dopuściła męża do sekretu? Augustus Fellowes nie jest głupcem. Prawdopodobnie zorientował się, że Catherine coś przed nim ukrywa. Mogą też wiedzieć inni. Nie byłem obecny przy narodzinach Louise, ale ciebie też tam nie było, więc skąd ta pewność?

Louise omal nie krzyknęła ze zdumienia. Jak ojciec mógł powiedzieć, że matki nie było przy porodzie? Przecież to niedorzeczność. Chyba... chyba że... och, nie! Nie wierzyła własnym uszom. Jak mogłaby w to uwierzyć?!

Następne słowa matki jednak potwierdziły najgorsze.

- Jest u nas taka szczęśliwa. Pęknie jej serce, jeśli się dowie, że nie jesteśmy jej prawdziwymi rodzicami - mówiła. - Przecież nawet jeśli jej nie urodziłam, nie jestem przez to mniej jej matką. Darzę ją szczerym matczynym uczuciem. Każde jej szczęście jest i moim szczęściem, smutek smutkiem, a cierpienie cierpieniem. Nie wiem, jak możesz nawet myśleć o tym, by coś takiego jej zrobić.

Chłodny wiatr rozwiewał włosy Louise, ale dreszcz przeszył ją nie z zimna, lecz z trwogi. Ledwie mogła ogarnąć myślą to, co usłyszała. Człowiek, który wychowywał ją od kołyski, zapewnił jej edukację, ubierał ją i karmił, a przede wszystkim darzył ojcowską miłością, wcale nie był jej tatą. A kobieta, do której zwracała się ze wszystkimi kłopotami, by zawsze znaleźć cudowne rozwiązanie, wcale nie była jej mamą. Musiało to oznaczać również, że Matthew, Mark i Luke nie są jej braćmi. Są od niej starsi. Czy znają prawdę? Czy wiedzą, że ona, Louise, jest... No właśnie, kim właściwie jest?

- Elizabeth, jako duchowny powinienem dawać przykład uczciwego, prostolinijnego postępowania - ciągnął ojciec. - Ze względu na ciebie dochowywałem tego sekretu przez wiele lat. Teraz jednak, gdy jest panną na wydaniu, sumienie nie pozwala mi dłużej trzymać prawdy w tajemnicy. Mogłaby poślubić szlachetnie urodzonego człowieka...

Ojciec odszedł od okna i końca zdania Louise nie usłyszała.

- Och, Edwardzie, ona nigdy nie była taka próżna, żeby żywić podobne nadzieje. Luke tylko żartował, że powinna poślubić wicehrabiego.

- Wiem, że to był żart, ale prawda...

Głos ojca znów odpłynął.

- Czy wobec tego nie możesz odłożyć rozmowy z nią do chwili, gdy będzie chciała wyjść za mąż. Proszę, pozostaw ją w niewiedzy jeszcze trochę dłużej. Nie proszę, błagam!

Louise cisnęła grackę na ziemię, ściągnęła fartuch, rękawiczki i zerwała się na równe nogi. W głowie miała zamęt. Nie wiedziała, gdzie się podziać ani co z sobą zrobić, pobięła więc przed siebie.

Na końcu ogrodowej alejki stała altanka obrosnięta kapryfolium i różowymi różami. Louise bezsilnie opadła na ławkę, zbyt odrętwiała, by uronić choć jedną łzę. Przez całe życie ani razu nie pomyślała, że nie jest córką wielebnego Edwarda Vaila i jego żony Elizabeth. Teraz wyglądało na to, że przez cały czas była okłamywana. Czuła się tak, jakby nagle rozpadła się na tysiące maleńkich kawałeczków, niczym wazon upuszczony z dużej wysokości, którego nijak nie można odtworzyć.

Wciąż nie mogła się pogodzić z tym, czego się dowiedziała, i wołałaby, aby ostatnie pół godziny nigdy się nie zdarzyło. Jeśli tata i mama nie są jej rodzicami, to kto?

Dlaczego zamieszkała u wielebnego? Czy prawdziwi rodzice ją oddali? Cokolwiek zaśzło, wydawało się, że ciąży na niej piętno, które może zniechęcić ewentualnego kandydata do małżeństwa. Często zastanawiała się, skąd wziął się niezwykle odcień jej oczu, orzechowy z plamkami zieleni. Przecież wszyscy bracia mieli oczy niebieskie, a ojciec szare. Chłopcy byli jasnowłosi, a ona ciemnowłosa. Czyżby razem z cechami fizycznymi odziedziczyła jakieś niepokojące skłonności, które mogłaby przekazać dzieciom? Z jakich powodów matka zdecydowałaby się oddać własne dziecko?!

Catherine Fellowes. To imię i nazwisko mocno wryło się w jej pamięć. Kim była? Skąd pochodziła? Dlaczego bała się wyjawić prawdę mężowi? Czy to oznaczało, że ona, Louise, pochodzi z nieprawego łoża?

Takie wytłumaczenie wydawało się najbardziej prawdopodobne. Czyżby była... bękartem? Odnalazła w myślach to okropne słowo, chociaż nie ważyła się wypowiedzieć go na głos. Nie zmieniało to jednak tego, że czuła się bezimienną istotą, jeśli nie liczyć imienia nadanego jej przez wielebnego i jego żonę. Dlaczego wzięli ją pod swój dach? Dlaczego ukryli przed nią prawdę? Czy może dalej żyć tak jak do tej pory, pomagając ojcu, ucząc wiejskie dzieci, wspierając matkę w dobroczynności? Jak będzie mogła chodzić na przyjęcia, spotykać się z przyjaciółmi i marzyć o tym, że któregoś dnia zakocha się i wyjdzie za mąż?

Niemożliwe. Wiedziała, że dzisiaj jej życie zmieniło się nieodwracalnie i już nigdy na świat nie spojrzy tak samo.

Gdzieś niedaleko odezwała się kukułka. Choć szybko odleciała, jej głos odbijał się w głowie Louise bolesnym echem. Ona właśnie była jak kukułcze piskłę podrzucone do przytulnego gniazda na plebanii. Poczowała dojmujący smutek. Łzy zasnuły świat mgłą bezsilności i spłynęły po policzkach.

Po chwili smutek zastąpił gniew. Osuszyła oczy i policzki chustką, wstała i skierowała się w stronę domu. Zamierzała stanąć przed rodzicami i natychmiast zażądać wyjaśnień, jednak nigdzie ich nie znalazła. Jak dowiedziała się od służącej Hetty, ojca wezwano do chorego, a matka poszła do wsi. Nawet Luke'a nie było w domu, choć i tak nie mogłaby mu się zwierzyć, mimo że był jej ulubionym bratem i niemal rówieśnikiem. Nie licząc służby, została w domu sama.

Poszła do swojego pokoju, przytulnego kącika, w którym mieszkała od najwcześniejszego dzieciństwa. Te ściany były świadkiem wielu różnych momentów w jej życiu, i dobrych, i złych, ale chyba jeszcze nigdy Louise nie czuła się tak zrozpaczona. Usiadła na łóżku i spojrzała na obraz przedstawiający Chrystusa opisany słowami: „Pozwólcie dziaćkom przyjść do mnie”. Tego dnia przesłanie wydało jej się szczególnie bolesne. Pomyślała o swojej prawdziwej matce.

Kim była Catherine Fellowes? Gdzie mieszkała? Nieznajoma kobieta zdawała się przyzywać ją z przeszłości. Louise zdawała się słyszeć: „Przyjdź do mnie”.

Wicehrabia Jonathan Leinster przekroczył granice Londynu, jadąc statecznym kłusem wzdłuż Edgware Road. Był ciepły dzień, a jemu donikąd się nie spieszyło, co zresztą stanowiło pomyślną okoliczność, bo tłum wokół szubienicy w Tyburn zgęstniał bardziej niż zwykle. Wicehrabia spełnił swoją powinność i wracał właśnie po odwiedzinach w rodzinnym majątku pod Barnet, wycierpiawszy przy tej okazji, jak zwykle, długie ojcowskie kazanie o tym, że czas ustatkować się i zająć sprowadzaniem na świat potomków. Osobiście uważał, że żony poszuka, kiedy do tego dojrzeje i ani dnia wcześniej, a już na pewno nie poślubi Dorothei Mantle, którą jego rodzice uznali za stosowną kandydatkę. Stosowność oznaczała w tym wypadku tyle, że Dorothea odebrała właściwe wychowanie, ma wysoką pozycję społeczną i posag, jaki zdaniem rodziców należy się dziedzicowi tytułu hrabiowskiego, zwłaszcza że chodziło o tytuł hrabiego Chastonbury. Zupełnie nie interesowały ich wygląd, charakter i schludność Dorothei, które z punktu widzenia wicehrabiego czyniły ją kandydatką całkowicie nie do przyjęcia.

Choć nie podzielał niepokoju rodziców o ożenek i spłodzenie dziedzica zapewniającego ciągłość rodu, to mógł go zrozumieć, aczkolwiek ich małżeństwo nie wydało mu się wzorcem godnym naśladowania. Matka powiedziała mu raz, że zostało ono zaaranżowane przez ich ojców, a jego dziadków, i że posłusznie zgodziła się na ten wybór. Wszystkim ludziom spoza rodziny małżonkowie wydawali się przykładną parą, ale w rzeczywistości każde z nich prowadziło osobne życie i nie łączyło ich nic poza Jonathanem i jego młodszą siostrą Arabellą. Matka Jonathana nigdy nie nazwała swego małżeństwa smutną porażką, on jednak wiedział, że tak właśnie je oceniała. Ojciec z chorobliwą

regularnością zmieniał kochanki, a matka z desperacji brała sobie kochanków, żadne z nich jednak nie wydawało się szczęśliwe. Bella poszła w ślady matki i poślubiła mężczyznę, którego wybrał dla niej ojciec, co okazało się jeszcze większą katastrofą niż związek rodziców. Henry, o piętnaście lat starszy od Belli, był okrutnikiem, który się nad nią znęcał. Jonathan doradzał siostrze, by opuściła męża, ona jednak panicznie bała się skandalu, zwłaszcza że matka uważała to za jej obowiązek. Jonathan przysiągł sobie, że nie powieli błędów rodziny i zanim zgodzi się na zakucie w małżeńskie kajdany, upewni się co do wybranki.

W takiej sytuacji odwiedziny u rodziców nie mogły być udane.

Powściągnął konia, ponieważ tłum zgęstniał na tyle, że trudno było swobodnie przejechać. Wtedy przypomniał sobie, że właśnie tego dnia miała się odbyć egzekucja Roberta Shirleya, drugiego hrabiego Ferrers, skazanego na śmierć przez powieszenie za morderstwo. Był to pierwszy par królestwa w dziejach, którego spotkała taka kara. Zazwyczaj bowiem szlachetnie urodzonych ścinano uderzeniem miecza. Prośby hrabiego, by przewieźć go do Tower i tam stracić, nie zostały wysłuchane. Zdecydowano, że zostanie potraktowany jak pospolity przestępca. Na samą myśl o tym Jonathanowi jeżyły się włosy na głowie, a halsztuk zaczynał go dusić.

Naturalnie, nigdy nikogo nie zabił, a właściwie tylko raz, ale w pojedynku. Walka odbyła się zgodnie z zasadami. Wtedy jednak Jonathan był młodzieńcem o gwałtownym temperamencie.

Hrabia Ferrers uzyskał pozwolenie, by pod szubienicę podjechać własnym landem, które stało się częścią makabrycznego przedstawienia, doprowadzającego podnieconą gawieź niemal do obłędu. Z przodu posuwało się pięć powozów należących do hrabiego, a pojawieniu się każdego z nich towarzyszył wrzask tłumu, po czym okazywało się, że pojazd jest pusty. W szóstym jednak istotnie znalazł się pan hrabia ubrany w biały szustokor, haftowany srebrną nicią. Towarzyszyli mu szeryf Londynu i kapelan z Tower, a dookoła jechała konno straż. Dalej podążały następne powozy, a w nich lord wielki steward, wysocy urzędnicy i dwunastu sędziów, a za nimi przyjaciele hrabiego, którzy chcieli uprzyjemnić mu chwilę odejścia. Londyn nigdy nie widział niczego podobnego.

Jonathan nie mógł zrozumieć, co skłoniło Jamesa do zwołania spotkania klubu akurat tego dnia. Nie mieli przecież żadnego udziału w wydaniu hrabiego wymiarowi sprawiedliwości. Sprawcy nie trzeba było szukać, a zastrzelenie z zimną krwią zarządcy majątku nie dało mu żadnych nadziei na obronę.

Jonathan nie czekał, aż morderca zostanie powieszony, tylko pojechał dalej. Skręcił w Tyburn Lane, dotarł do Hyde Park Corner i znalazł się na Piccadilly, gdzie mieścił się londyński dom lorda Trenthama, członka rządu, który w swoim domostwie zwoływał spotkania Towarzystwa na rzecz Ujawniania i Ujmowania Przestępców, popularnie znanego pod nazwą Klubu Dżentelmenów z Piccadilly. Tu Jonathan zastał innych członków organizacji.

Wkroczył energicznie do pokoju, powitał wszystkich i nieznacznie się skłonił, po czym opadł na jedyne wolne krzesło przy stole. Honorowe miejsce u szczytu należało do lorda Drymore'a, który jeszcze jako kapitan James Drymore założył towarzystwo dziewięć lat wcześniej. Po swojej lewej ręce miał Harry'ego, lorda Portmana, niesłychanie bogatego człowieka. Mimo że udawał fircyka, był szalenie bystry, a interesował się zwłaszcza fałszerzami, którzy wprowadzali do obiegu podrobione monety różnych nominałów. Działalność fałszerzy stała się tak rozpowszechniona, że zaczęła zagrażać stabilności gospodarki.

Po prawej ręce Jamesa siedział sir Ashley Saunders, oficer królewskiej floty wojennej w stanie spoczynku, a przy tym zaprzysięgły kawaler. Głównym przedmiotem jego troski było bezpieczeństwo państwa. Obaj ci mężczyźni byli z Jamesem od samego początku, a Jonathan przyłączył się do nich wkrótce potem. Nowicjuszem był Alexander Carstairs, były kapitan kawalerii i znawca broni. Wreszcie miejsce przy końcu stołu zajmował Sam Roker, który choć nie należał do uprzywilejowanej warstwy społeczeństwa, został przyjęty z racji swej oddanej służby Jamesowi i długoletniej z nim przyjaźni. Cieszył się też opinią człowieka, którego warto mieć u boku, będąc w trudnym położeniu. Poza tym dobrze znał dzielnice londyńskiej biedoty, gdzie zwykle melinowali się złodzieje i rzezimieszki.

Mężczyźni ci bardzo różnili się między sobą zarówno pochodzeniem, jak i usposobieniem, ale dobrze pracowali w zespole, więc Jonathan cieszył się, że jest jego częścią.



Czasem przyłączał się do nich jeszcze sir John Fielding, pierwszy sędzia Londynu. Wprawdzie był ślepy, ale znał wszystkich londyńskich złodziei i potrafił rozpoznać każdego po głosie. Tego dnia zatrzymały go obowiązki związane z egzekucją hrabiego Ferrers.

- Przepraszam za spóźnienie - powiedział Jonathan. - Nie sposób dzisiaj się prze dostać, taki jest ruch. Coś niespotykanego. Ferrers wywołał zamieszanie w całej stolicy. Trudno byłoby się domyślić, że jechał na śmierć.

- Przynajmniej jeszcze jeden zbrodniarz dostał to, na co zasłużył - odpowiedział Ash. - Ja, na przykład, cieszę się, widząc, że prawo jest równe dla wszystkich, bez względu na pozycję społeczną oskarżonego. Nie powinno się inaczej traktować bogatych i biednych...

- W tej kwestii wszyscy jesteśmy zgodni - przyznał James. - Czy jednak możemy przystąpić do pracy? Zamierzam dziś wieczorem wyjechać do Blackfen Manor. Amy wkrótce wyda na świat nasze czwarte dziecko i chcę przy tym być, nawet jeśli oznacza to tylko chodzenie po korytarzach. Co chcesz nam przedstawić, Ash?

- Po ostatnich zamieszkach, w których tłum chciał zburzyć domy irlandzkich robotników, w City znowu zapanował spokój - powiedział sir Ashley. - Zamieszki wywołał murarz. To on podburzył ludzi, ale kiedy kazałem go zatrzymać i porozmawiałem z jego zwolennikami, ci rozproszyli się, nie czyniąc większych szkód, jeśli nie liczyć kilku rozbitych nosów. Będę jednak czuwał nad rozwojem wydarzeń.

- Dobrze. Co u ciebie, Harry? - spytał James.

Harry przerwał oględziny swoich starannie wypielegnowanych paznokci.

- Jed Black znowu uciekł z Newgate - oznajmił. - Ten człowiek jest śliski jak węgorz, dawno już należało go powiesić.

- Jakie przestępstwo popełnił? - spytał Alex, który jako nowy członek grupy nie wszystkie sprawy znał jeszcze ze szczegółami.

- Notoryczny fałszerz i morderca - wyjaśnił Harry. - Przywódca bandy. Przyczyniłem się do jego aresztowania przed kilkoma tygodniami. Ma jednak zręcznego prawnika, który ciągle znajduje powody opóźniające proces. Jed z kolei nie zamierza gnić w więzieniu, bo chce wrócić do swojego dochodowego fachu. Raz już kiedyś uciekł, a z wy-

tropieniem go i wsadzeniem za kraty było mnóstwo zachodu. Teraz wszystko się powtarza.

- Zrób, co w twojej mocy - powiedział James. - Ten człowiek jest niebezpieczny i musi odpowiedzieć za zło, które wyrządził.

- Stawiam dziesięć do jednego, że ma współników i przekupił straż - ciągnął Harry.  
- Zamierzam wybrać się do więzienia, przepytam strażników i więźniów, którzy mieli z nim kontakt.

- Jest za sprytny, żeby szukać schronienia w tych miejscach, które zwykle odwiedza - wtrącił Sam. - Chcesz, żebym ci pomógł?

- Tak, jeśli odpowiada to Jamesowi.

- Jak najbardziej - potwierdził James i zwrócił się do Jonathana: - A co u ciebie?

- Korzystając z otrzymanej informacji, odzyskałem większą część dobytku lorda Besthorpe'a i zwróciłem mu do rąk własnych. Nikomu nic się nie stało - zameldowałem.

- Rozumiem, że nie aresztowałeś sprawcy?

- Nie. To był mały, chuderlawy urwis. Nie mogłem go zatrzymać.

James roześmiał się, przypomniał sobie bowiem, jak przed laty zrobił dokładnie to samo i w ten sposób uratował przed życiem w występku Johna Pottona. Chłopak wyrósł na sympatycznego i uczciwego młodzieńca, który teraz pracował dla Jonathana.

- Ten mały urwis stał na czatach - ciągnął Jonathan. - Pozostałych nakryłem na dzieleniu łupu. Wzięli nogi za pas i zostawili smarkacza, żeby poniósł konsekwencje, ale jeszcze ich dopadnę. Chłopak podał mi ich imiona w zamian za wolność...

Właśnie wtedy ich spotkanie przerwał Luke Vail, który ubłagał odźwiernego, by go wpuścił. Zdjął kapelusz, skłonił się przed zebranymi i zwrócił się do Jonathana:

- Milordzie, pilnie potrzebuję waszej pomocy. Moja siostra... Louise zniknęła. Cała rodzina odchodzi od zmysłów ze strapienia. Słyszałem, że milord jest członkiem Klubu Dżentelmenów, który rozwiązuje zagadkowe sprawy, więc przyszło mi do głowy, że może pan zgodzi się pomóc w jej poszukiwaniach.

Jonathan przyjrzał mu się uważnie. Młody człowiek miał na sobie ciemny strój kleryka, zupełnie niepasujący do jego postawnej postury i młodzieńczego uroku.

- Ja cię znam, prawda? - spytał.

- Tak, milordzie. Jestem Luke Vail. Chodziliśmy do tej samej szkoły, chociaż nie do tej samej klasy. Mój ojciec jest proboszczem w Chipping Barnet, w sąsiedztwie majątku ojca milorda. A ja za dwa tygodnie mam zostać wikarym w Bedfordshire.

- Louise, powiadasz? - zainteresował się Jonathan. - Zdaje się, że raz ją widziałem, będąc na nabożeństwie w kościele twojego ojca. Z reguły chodzimy jednak do kościoła Zbawiciela. To była bardzo ładna dziewczynka.

- Przestała już być dziewczynką, milordzie. Ma dwadzieścia lat i jest oczkiem w głowie ojca, bo to jedyna panna w rodzinie.

- Kiedy znikła? - spytał Jonathan. - I w jakich okolicznościach?

- Wczoraj po południu, kiedy nikogo nie było w domu. Matka wróciła z zakupami i zobaczyła, że Louise nie ma. Fartuch, rękawiczki i graca, której używała w ogrodzie, leżały porzucone na grządce. To zupełnie do niej niepodobne. Nigdy nie rozrzuca rzeczy, zwykle wszystko równo układa w szopie i dopiero potem wraca do domu. Przepytałem całą służbę. Nasz młody ogrodnik powiedział, że widział ją, biegnącą ogrodową alejką, jakby ścigał ją sam diabeł. To jego słowa, nie moje. Podobno siedziała dosyć długo w altance w głębi ogrodu, nagle wstała i pobiegła z powrotem do domu. Potem widział jeszcze, że Louise wychodzi z niewielkim sakwojażem...

- Może uciekła z kochankiem? - przerwał mu Ash.

- Na pewno nie! - oburzył się Luke. - Nie zrobiłaby tego, nawet gdyby miała kochanka!

- Czy ogrodnik z nią rozmawiał? - spytał Jonathan.

- Nie. Powiedział, że nie jemu wypytywać panienkę i że panienka często chodziła do wsi z koszykiem żywności albo torbą ubrań dla biedaków. Jest z tego znana, więc w ogóle nie zwrócił na to uwagi.

- Może wobec tego poszła w odwiedziny do przyjaciół? - podsunął James. - Sprawdzałeś?

- Naturalnie. Nikt jej nie widział.

- Pytałeś, czy nie wsiadła do dyliżansu? - ciągnął James.

- Tak, zaraz na samym początku. Tam też nikt jej nie widział, a przecież we wsi wszyscy ją znają, więc gdyby wyjechała, ktoś na pewno by zauważył. Jej klacz stoi w

stajni. Pojechałem do odległego o jakieś trzy mile domu mojego brata Matthew, na wypadek gdyby przyszło jej do głowy właśnie tam się wybrać. Nie zastałem jej i nikt jej nie widział. Szukałem przy trakcie i w jedną, i w drugą stronę, na wypadek gdyby zdarzyło się jakieś nieszczęście, ale też bez skutku. U Marka także jej nie było. To kolejny z braci. Mieszka pod Rickmansworth i prawdę mówiąc, nie mam pojęcia, jak Louise mogłaby do niego trafić. Ktoś musiałby ją podwieźć. On też jej jednak nie widział. Nie wiemy, co dalej robić. Matka jest zrozpaczona.

- Mogę to zrozumieć - przyznał James. - Zapewne nie zostawiła żadnych śladów, które wskazywałyby na jej zamiary?

- Nie. Bardzo proszę, aby milordowie potraktowali tę sprawę z powagą. Są panowie jedyną nadzieją.

- Tak też robimy - zapewnił go James. - Nasz klub zajmuje się jednak tropieniem przestępców. Jeśli nie popełniono żadnego przestępstwa...

- Proszę o uczynienie wyjątku. Ona na pewno dobrowolnie nie strapiłaby rodziców, pozostając całą noc poza domem. Obawiamy się, że stało się coś strasznego. Proszę nam pomóc ją znaleźć, błagam... - mówił łamiącym się głosem.

- Wygląda to jak zadanie dla ciebie, Jonathanie - powiedział w końcu James. - I nie wolno ci tracić czasu, bo inaczej trop wystygnie.

Jonathan posłusznie wstał.

- Jak się do nas dostałeś? - spytał Luke'a.

- Przyjechałem konno.

- To dobrze. Niezwłocznie wrócimy do twojego domu. Miejmy nadzieję, że tłum już się przerzedził.

Dopóki nie minęli szubienicy w Tyburn, nie mogli jechać obok siebie. Wieszanie już zakończono i ciało odcięto, ale część ludzi wciąż jeszcze kręciła się po okolicy, rozprawiała o całym wydarzeniu, kupowała pamiątki i czekała, by sprawdzić, czy nie będzie jeszcze innych więźniów, których spotka ten sam los. Zwykle w dni wieszania tracono więcej niż jednego skazańca. Gdy wreszcie obaj podróżni znaleźli się na przejezdnym trakcie, a gwar za nimi ucichł i był już jedynie szmerem, Jonathan dokładniej wypytał Luke'a o zniknięcie siostry. Czy stało się coś, co mogło je spowodować? Czy była w

domu nieszczęśliwa? Czy wyrażała zamiar złożenia wizyty przyjaciółkom lub krewnym? Na żadne z tych pytań młody człowiek nie odpowiedział jasno. A gdy został poproszony o opisanie Louise, odrzekł jedynie:

- Och, jest piękna.

- To niewiele pomoże. Jak wygląda? Wysoka czy niska? Gruba czy chuda? Jaki ma kolor włosów i oczu?

Jonathan wciąż mgliście pamiętał dziewczynkę z kościoła ubraną w niebieską sukienkę z dymki i mającą we włosach wielką niebieską kokardę. Jej włosy były wtedy gęste i kręcone.

- Jest chyba wysoka jak na kobietę, i szczupła. Włosy ma brązowe, ale nie takie zwyczajne. Z niezwykłym połyskiem. Jej oczy są... - Urwał, żeby się zastanowić.

- Chyba zielone. A może brązowe. Nie jestem pewien, milordzie.

- Nie ma cech charakterystycznych?

- Nie nosi sztucznych pieprzyków. Nie pudruje się. Nie ma peruki. Nie potrzebuje tego wszystkiego.

Było to dość typowe. Mężczyźni nigdy nie wyróżniali się spostrzegawczością, gdy chodziło o ich siostry, choć swoje kochanki potrafili opisywać bardzo trafnie.

Gdy przybyli na plebanie w Barnet, Jonathana powitali ponury duchowny i kobieta odchodząca od zmysłów z rozpaczy. Mężczyzna był przeciętnego wzrostu i takiej budowy ciała, nosił perukę i okulary. Kobieta zbliżała się do pięćdziesięciu lat, była drobna i schludna, miała siwiejące włosy i szare oczy z niebieskawym połyskiem. Para wydawała się skłócona, ale próbowała przezwyciężyć dzielące ich różnice, by godnie ugościć przybysza i odpowiedzieć na jego pytania. Potrafili jednak tylko powtórzyć to, co wcześniej powiedział Luke. Louise wyszła, a ponieważ nikogo wtedy nie było w domu, zostawiła wiadomość, że nie zajmie jej to wiele czasu i wkrótce wróci. Ani przez chwilę nikt nie sądził, że chciała ich tak bardzo zmartwić. Naturalnie, miała gorącą głowę i za sprawą braci zawsze tęskniła do przygód, ale to nie znaczyło, że nie liczyła się z innymi. Nie skrzywdziłaby muchy, a tym bardziej nikogo z rodziny, zwłaszcza że wszyscy ją kochali.

- Czy mogę zobaczyć liścik? - spytał.

Pani Vail przyniosła kartkę, bardzo pogniecioną i noszącą liczne ślady łez.

*Najdrożsi Rodzice,*

*Mówią, że ci, którzy podsłuchują, nigdy nie słyszą o sobie niczego dobrego, ale ponieważ nie potrafiłam oprzeć się pokusie, więc na pewno rozumiecie, dlaczego muszę wyruszyć w tę podróż. Nie będzie trwała długo, więc nie martwcie się o mnie, obiecuję wrócić tak szybko, jak tylko będę mogła.*

*Wasza kochająca Louise*

- O czym pisze? Co podsłuchiwała? - spytał Jonathan.

- Nic takiego - odparła pani Vail. - Rozmawiałam z mężem. Okno było otwarte, a ona pielila grządkę. Nie mieliśmy pojęcia, że nas słyszy.

- Czy to, o czym państwo rozmawiali, mogło ją unieszczęśliwić?

Rodzice popatrzyli po sobie tak, jakby nie chcieli odpowiedzieć, więc w końcu odezwał się Luke:

- Zawsze była wesoła. Nie miała powodu czuć się nieszczęśliwa.

Jonathan nabrał pewności, że państwo Vail coś ukrywają. Zwłaszcza matka wydawała się zakłopotana.

- O której godzinie państwo wyszli, a o której wrócili?

- To było tak w pół drogi do południa - odpowiedział wielebny. - Musiałem odwiedzić umierającego parafianina, pojechałem do niego gigiem. Po drodze podwiozłem żonę do Barnet, żeby mogła zrobić zakupy, i umówiliśmy się, że potem podjadę do domu jej przyjaciółki i razem wrócimy na plebanię. Z powrotem byliśmy około piątej po południu.

- A młody pan Vail? - zainteresował się Jonathan, zwracając się do Luke'a.

- Jeździłem konno. Wróciłem do domu tuż przed rodzicami, ale nie zainteresowałem się nieobecnością Louise, dopóki mama nie zaczęła się tym martwić.

- Czyli dom był pusty przez pięć godzin. Czy mogę porozmawiać ze służbą?

- Bez wątpienia - powiedział wielebny. - Ale ze wszystkimi już sam rozmawiałem.

Jonathan pił herbatę, którą mu podano, a tymczasem wezwano służących. Wszyscy kolejno zaprzeczali, by cokolwiek wiedzieli o miejscu pobytu Louise albo o powodzie, dla którego zdecydowała się opuścić dom. Następnie Jonathan dostał pozwolenie, by obejrzeć ogród i porozmawiać ze służbą pracującą poza domem.

Młody człowiek, pielący grządkę, podniósł głowę na jego widok. Prawdopodobnie był to młody ogrodnik wspomniany wcześniej przez Luke'a.

- Rozumiem, że to ty widziałeś pannę Vail, zanim opuściła dom - zaczął Jonathan.

- Wielebny poprosił mnie, abym pomógł ją znaleźć.

- Zachowywała się dziwnie i tak państwu powiedziałem, ale z nią nie rozmawiałem. Teraz żałuję, że nie spróbowałem, bo kiedy wróciłem do domu, przekonałem się, że znikła również moja siostra.

- Twoja siostra? Myślisz, że są razem?

- No mus, że tak. Panna Vail nie byłaby taka nierozważna, żeby wybrać się samopas dalej niż do wsi. A Betty zostawiła liścik. Napisała, że czeka ją przygoda, ale to wielka tajemnica, więc nie wolno mi pisać ni słówka. Kiedy jednak zobaczyłem, jak martwi się pani Vail, natychmiast jej powiedziałem, żeby ją pocieszyć. I chyba mi się udało. A mnie to złości, bo ja też martwię się o Betty. Nie powinna była się zgodzić na coś takiego.

- Dobrze zrobiłeś, że mi o tym powiedziałeś. Ile osób ze służby pracuje poza domem?

- Tylko ja i woźnica Jagers. Milord znajdzie go w stajni. - Wskazał w stronę zabudowań gospodarskich.

Wyglądało na to, że Jagers był z rodziną od małego, więc o chłopcach i ich młodszej siostrze mógł opowiedzieć jego lordowskiej mości wszystko.

- Rozpieszczona była - wspominał - choć nie tak, by ganić. Takie małe słoneczko, zawsze uśmiechnięte, no i dla rodziców upragniona córka po trzech chłopakach. A oni traktowali ją jak czwartego, zawsze razem szaleli i psocili.

- Rodzina nie zawsze mieszkała w Chipping Barnet, prawda? Zdaje mi się, że pamiętam inną parafię z czasów, gdy byłem chłopcem.

- Pochodzą z Yorkshire. Ja też tam mieszkałem i przeprowadziłem się tutaj razem z nimi. Zawsze dla nich powoziłem.

- A gdzie w Yorkshire?

- Moresdale.

- Czy panna Vail mogła pojechać właśnie tam? Stary wzruszył ramionami.

- Pytała mnie o to wcześniej tego dnia, ale ona ciągle zadawała mnóstwo pytań.

Nie zwróciłem na to uwagi.

- Kiedy pytała? O której godzinie?

- Około południa, jeśli dobrze mi się zdaje.

- Czy była wzburzona?

- Nie, tylko spytała tak, jakby ją to ciekawiło. Szczotkowała wtedy klaczkę.

- Ale klaczki nie wzięła?

- Nie. I o gig też nie mogła poprosić, bo pojechał nim wielebny.

- Czyli albo poszła piechotą, albo zamierzała wsiąść do dyliżansu.

- Gdyby była taka niemądra, żeby jechać dokądś dyliżansem, bałbym się o nią.

Drogi są takie okropne i pełno na nich zbójców! Mam nadzieję, że milord sprowadzi ją z powrotem całą i zdrową.

Jonathan podziękował woźnicy i wrócił do domu, gdzie zastał panią Vail, siedzącą samą w salonie.

- Właśnie rozmawiałem z waszym woźnicą, szanowna pani. Powiedział mi, że rodzina przeprowadziła się tutaj z Moresdale.

- Tak, przed piętnastoma laty.

- Czy sądzi pani, że jej córka z jakiegoś powodu mogłaby chcieć tam wrócić?

- Nie wie, gdzie to jest. Miała zaledwie pięć lat, kiedy się wyprowadziliśmy. Wątpię, czy potrafiłaby sobie przypomnieć. Zresztą po co miałyby tam wracać?

- Nie wiem, ale może pani spróbuje wysnuć jakieś przypuszczenie - nie dawał za wygraną. - Dlaczego, na przykład, Louise rzuciła na grządkę swoje ubranie do pracy w ogrodzie? Wygląda to tak, jakby coś ją zaskoczyło. Czy może mi pani powiedzieć, co takiego?

- Nie, milordzie.



- Nie może pani czy nie chce?

- Nie mogę. I błagam, żeby milord nie pytał.

Dama była bardzo poruszona, więc Jonathan nabrał pewności, że coś ukrywa.

- Proszę pani, zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby odnaleźć jej córkę, ale niezbędne jest, abym wszystko wiedział. To zrozumiałe, prawda? Nie mogę posuwać się po omacku.

- Proszę mi wybaczyć, milordzie, ale niedobrze się czuję. - Próbowała wziąć się w garść, widać było jednak, że wiele ją to kosztuje. - Mogę powiedzieć tylko tyle, że rozmawialiśmy z mężem o miejscu, w którym Louise przyszła na świat, i to mogło wzbudzić jej zainteresowanie, ale nie sądzę, by próbowała tam pojechać. Wcześniej nigdy sama nie podróżowała. To miejsce leży dwieście mil stąd i Bóg wie, co tam teraz się dzieje...

Urwała nagle, jakby oczami wyobraźni zobaczyła jakiś straszliwy obraz, którego nie sposób wyrazić słowami.

Jonathan uznał, że kobieta lęka się czego innego niż trudy podróży czekające córkę.

- Czyli sądzi pani, że ona zmierza właśnie tam?

- To możliwe - przyznała z niechęcią.

- Czy ona ma jakieś pieniądze? Bez pieniędzy daleko nie zajedzie.

- Wielebny daje jej kieszonkowe.

- Czy za tę kwotę mogłaby swobodnie podróżować?

- Nie wiem. Ma mało okazji do wydawania. Falbany i wstążki nigdy jej nie interesowały, więc mogła trochę zaoszczędzić. Poza tym... - Urwała i przełknęła ślinę. - Obawiam się, że czasem zdarza jej się grywać w karty z Lukiem i jego przyjaciółmi. Zawsze potem chełpi się, ile od nich wygrała.

Omam nie roześmiał się głośno na myśl o córce proboszcza uprawiającej hazard, ale zważywszy na sytuację, powstrzymał się.

- Jak dużo wygrywa?

- Nie mam pojęcia. To tylko bagatelna rozrywka, ale gdyby mój mąż o tym usłyszał, byłby bardzo zły. Nie sądzę, by chodziło o więcej niż kilka szylingów. - Pani Vail

była bardzo skrepowana pytaniami i wyraźnie chciała, by jak najszybciej przesłuchanie się skończyło. - Proszę za nią jechać, milordzie, i bezpiecznie sprowadzić ją z powrotem.

- Zrobię, co będę mógł, aby ją odnaleźć, ale nie zmuszę jej do powrotu. To chyba pani rozumie?

- Tak. Proszę ją jednak przekonać. Bardzo proszę. I niech pan koniecznie pilnuje, żeby nie stała jej się krzywda!

Jonathan nie był usatysfakcjonowany wynikami rozmowy, nie sądził jednak, by udało mu się wydobyć od żony proboszcza więcej, dlatego opuścił plebanię. Odnajdywanie zbiegłych córek nie było na ogół przedmiotem zainteresowania klubu, ale nie miał czasu na powrót do Londynu, zwłaszcza że James na pewno wyjechał już na prowincję do rodziny. Jonathan dobrze wiedział, że decyzja spoczywa w jego rękach. Była w tej historii tajemnica, a jeśli przy okazji złamano prawo, istniał również powód, by się nią zająć. Poza tym naprawdę zaciekała go historia zniknięcia Louise Vail.

- Nie wiem, po co nam było tuc się tyle czasu do Londynu, skoro po chwili wsiedliśmy z powrotem do dylizansu - narzekala Betty, gdy pojazd zatrzymał się przy gospodzie Pod Czerwonym Lwem w Barnet. - Zmieniła pani zdanie, panno Louise?

- Pst - uciszyła służącą Louise, dyskretnie rozglądając się po innych pasażerach, żeby sprawdzić, czy tego nie usłyszeli. Na szczęście w hałasie, związanym ze zmianą koni, oprócz pokrzykiwań woźniców i stajennych niewiele było słychać. - Jestem przecież panem Louisem Smithem, a ty panią Smith. Masz mnie nazywać Lou, tak jak ci mówiłem. A odpowiedź na twoje pytanie brzmi „nie”. Nie zmieniłem zdania. Nie mogliśmy wsiąść tu do dylizansu, bo wszyscy bez trudu by nas poznali.

Betty zachichotała.

- Nie w tych strojach.

Louise popatrzyła na siebie. Ubrała się w spodnie, które kiedyś należały do jednego z jej braci. Do tego miała niebieski wełniany szustokor z olbrzymimi kieszeniami i perłowymi guzikami, długą, dopasowaną kamizelkę, białą płócienną koszulę i czarny halsztuk, wszystko również pożyczone z zasobów braci. Włosy związała z tyłu w harcap na modłę wojskową i przewięzała czarną wstążką, a na głowę włożyła trój graniasty ka-

pelusz. Całości dopełniał pas, przy którym wisiała niewielka szpada Matthew, brat bowiem przestał ją nosić, odkąd stał się duchownym. W wielkiej kieszeni Louise miała również pistolet, wykradzony z szuflady w pokoju Luke'a wraz z mieszkiem, zawierającym kule, proch i hubkę. Umiała dobrze strzelać, ale nigdy nie próbowała tego robić inaczej, jak do celu, bardzo więc wątpiła, czy odważyłaby się użyć broni w innych okolicznościach. Mimo wszystko z pistoletem czuła się bezpieczniej i bardziej męsko.

Na przebranie zdecydowała się po głębokim zastanowieniu, gdy rozważała najlepszy możliwy sposób podróżowania. Uznała, że jako mężczyzna będzie bezpieczniejsza, a wiedziała, że na strychu plebanii leżą różne stare ubrania. Jednak perspektywa podróżowania nawet w męskim przebraniu budziła w niej lęk, choć nie aż tak wielki, by pokonał jej determinację. Gorzej, że nie bardzo wiedziała, dokąd się udać. Na szczęście Jagers był gadatliwy i lubił jej opowiadać historie z dzieciństwa, które spędził w Yorkshire. Tam też został wzięty do i służby przez wielebnego „jeszcze przed wyjazdem na południe”, jak sam to ujmował. Ponieważ starego nie trzeba było nawet szczególnie zachęcać, wkrótce zdobyła nazwę miejsca, tego samego, o którym wspomniała w rozmowie matka.

- To daleko - powiedział Jagers. - Jeszcze za Yorkiem, panno Louise. Tam panna przysła na świat.

Zastanowiło ją, czy woźnica zna prawdę, ale nie mogła przecież pytać wszystkich po kolei, czy wiedzą, że wielebny nie jest jej prawdziwym ojcem.

Wychodziła z domu z sakwojażem z przebraniem i kilkoma kobiecymi strojami, gdy zauważyła, że przygląda jej się Alfred, ich młody ogrodnik. Pomyślała nawet, że jej przygoda skończyła się, zanim się zaczęła, ale chłopak nie wykazał szczególnego zainteresowania, pewnie dlatego, że często widywał, jak chodziła z torbą, gdy nosiła do wsi stare ubrania. Uznała więc, że jeśli będzie zachowywała się naturalnie, nie wzbudzi żadnych podejrzeń. Uśmiechnęła się do niego i poszła swoją drogą.

Właśnie wtedy przyszło jej do głowy, że może spytać siostrę Alfreda, czy nie zostałaby jej towarzyszką podróży. Alfred z Betty mieszkali w chacie na drugim końcu wsi. Betty miała siedemnaście lat, nieco mniej niż Alfred, i pomagała mu jako gospodyni. Rodziców stracili. Dziewczyna miała okrągłą, rumianą twarz, niebieskie oczy i cienkie,

bardzo jasne włosy. Zawsze była czysta i schludnie ubrana. Na propozycję podróży zareagowała niemal dziecięcym podnieceniem.

- Nigdy dotąd nie opuszczałam domu - przyznała. - Będę miała co opowiadać dzieciom, jeśli kiedykolwiek znajdę sobie męża.

W ten sposób Louise rozwiązała jeszcze jeden problem: w jaki sposób i gdzie przebrać się w męski strój. Betty uważała to za świetny żart, więc nie należało wyprzedzać jej z błędu.

- Nie odważyłabym się stąd wyjechać w normalnym kobiecym stroju - wyjaśniła Louise. - Nie dotarłybyśmy daleko, gdyby ktoś mnie poznał i doniósł wielebnemu.

Betty wzięła swoją najlepszą sukienkę, noszoną na gorset, sznurowaną z tyłu i mającą dekolt osłonięty bawełnianą chustą. We dwie wyglądały jak całkiem zwyczajna para, co znakomicie odpowiadało zamysłowi Louise.

- Tak, tylko po co musiałyśmy najpierw jechać do Londynu? - nie ustępowała Betty. - Nigdy dotąd nie byłam w tak przerażająco wielkim mieście.

Louise nigdy wcześniej nie podróżowała publicznym dyliżansem i nie miała pojęcia, gdzie dyliżans się zatrzymuje, więc po prostu ruszyły w stronę Londynu z sakwożażami w rękę. Wkrótce jednak stało się jasne, że muszą znaleźć środek transportu. Ich bagaż, choć bardzo skromny, był ciężki, poza tym Louise wiedziała, że jej nieobecność zostanie wkrótce zauważona i rozpoczną się poszukiwania. Gdyby znaleziono ją kilka mil od domu, idącą pieszo, przeżyłaby niewyobrażalne upokorzenie. Zatrzymały więc furmana i poprosiły o podwiezienie. Dotarły do stolicy i skierowały się do gospody Pod Niebieskim Dzikim w Holborn, gdzie, jego zdaniem, można było znaleźć dyliżanse do niemal każdego miasta, jakie tylko można sobie wyobrazić.

Okazało się jednak, że pierwszy dyliżans na północ odjeżdża dopiero nazajutrz. Przez całą noc Louise z Betty chodziły bez celu, nie odważyły się bowiem nigdzie poprosić o pokój. O świcie udały się do gospody, by opłacić przejazd do Yorku. Louise przeżyła prawdziwy wstrząs, gdy usłyszała cenę. Trzy gwinee oznaczały bowiem, że nie zostanie im wiele na noclegi po drodze. Louise obawiała się nawet, że pieniędzy zabraknie i będzie musiała sprzedać biżuterię, której zresztą zabrała niewiele. Co więcej, zupełnie nie miała pojęcia, co robić po przyjeździe do Yorku. Powiedziała jednak Betty,

z pewnością, na jaką umiała się zdobyć, że rozwiążą ten problem, gdy przyjdzie na to czas.

Zajmowała miejsce w dyliżansie z zapartym tchem, nie była bowiem pewna, czy ktoś znajomy nie wsiądzie do niego w Barnet, tam jednak okazało się, że nie ma żadnych chętnych, więc wkrótce pojazd znów potoczył się naprzód. Kości zostały rzucone.

Louise zamierzała odnaleźć Catherine Fellowes i, jeśli to możliwe, uzyskać odpowiedzi na swoje pytania. Przemknęło jej przez myśl, że dama, której szuka, przeprowadziła się albo umarła. Smutno byłoby nie móc jej poznać. Ciekawość zawsze była silną cechą charakteru Louise, tym razem jednak powodowało nią coś więcej. Musiała odkryć, kim jest. Nie oznaczało to oczywiście, że chce opuścić kochających ją ludzi. Zawsze będą bliscy jej sercu. Przeciwnie, zamierzała wrócić, co zresztą napisała w liściku. Miała nadzieję, że zrozumieją to, co musiała zrobić, bo przecież kochała ich wciąż nie mniej niż przedtem.

Poradziła Betty, by ułożyła się do snu, i sama zrobiła to samo. W pobliżu stolicy często trzeba było wносить opłaty za przejazd, ale nawet tam zimą ciężkie wozy rozjeżdżały trakty i na lato pozostawały wyschnięte koleiny. Dyliżans rzucał niemiłosiernie i nawet o chwili snu nie było mowy. Przejechali przez Hatfield, zmienili konie w zajeździe Księżę Yorku w Ganwick Corner, a potem jeszcze raz w Stevenage. Zbliżali się bez przeszkód do Baldock, gdy nagle coś się zdarzyło.

Louise drzemała, ale ocknęła się raptownie wyrwana ze snu krzykiem straży. Rozległ się strzał i pojazd nagle stanął.

- Zbójcy! - krzyknęła, gdy drzwi otworzyły się na oścież i postać w czarnej pelerynie i masce, dzierżąca w ręce pistolet, nakazała wyjść na drogę czworgu podróżnym.

## Rozdział drugi

Jonathan opuścił plebanię i przejechał jeszcze osiem mil do Chaston Hall. Tam trzymał swój powóz i konie. Znalezienie dla nich miejsca w Londynie przedstawiało niemałą trudność, tymczasem majątek ojca w Barnet był dostatecznie duży, by pomieścić je bez kłopotu, a przy tym położony dostatecznie blisko Londynu, by w razie potrzeby po nie posłać.

Rodzicom zapowiedział, że przez pewien czas go nie będzie, bo wyjeżdża w sprawie towarzystwa, nie wyjawiał im jednak szczegółów śledztwa. Rodzice, swoim zwyczajem, skrytykowali małomówność syna, choć byli do niej przyzwyczajeni. Gorzko żalowali dnia, w którym Jonathan poznał Jamesa Drymore'a i jego grupę akolitów. Gdyby nie oni, Jonathan ubiegałby się o względy atrakcyjnych debiutantek na balach londyńskiego towarzystwa i szukał żony. Nie miał szansy jej znaleźć, uganiając się po wsiach za przestępcami. A że skończył dwadzieścia pięć lat, był już najwyższy czas, by ustatkował się i założył dom. W ich oczach bowiem jego kawalerskie pokoje w Londynie nie liczyły się.

Jonathan uśmiechał się uprzejmie i przez dłuższy czas pozwalał rodzicom zrzędzić, w końcu jednak przeprosił i szybko udał się do stajni, gdzie polecił Josephowi Pottonowi, by przygotował powóz do drogi. Konno podróżowałyby szybciej, ale gdyby dogonił uciekinierkę, potrzebował pojazdu, aby dostarczyć ją do domu.

- Jedziemy we dwóch - zapowiedział Joemu. - Weź zmianę ubrania, bo nie wiem, jak długo nas nie będzie.

Joe uśmiechnął się.

- Znowu sprawy „Łapaj złodzieja”, milordzie? - spytał, używając nazwy, jaką zwykł określać towarzystwo.

Joe był roslym dwudziestoletnim młodzieńcem, chociaż czasem zachowywał się tak, jakby lat miał dwa razy tyle, co nie dziwiło, zważywszy na to, że urodził się w ubóstwie, nie znał ojca, a matka wyrzucała go na dwór, kiedy przyjmowała swych męskich przyjaciół. Jego prawdziwym domem były podwórza i ulice Ely. Pra-

wpodobnie wciąż by się po nich włóczył, gdyby James nie ocalił go i nie przyuczył do służby. To właśnie z polecenia Jamesa Jonathan przyjął Joego do siebie.

- Tak. I pospiesz się, bo nie mamy ani chwili do stracenia.

Młoda dama miała nad nimi cały dzień przewagi i musiała już być daleko. Na korzyść Jonathana przemawiało tylko to, że dysponował znacznie lepszym pojazdem i był gotów podróżować nocą.

Zostawił Joego przy pracy i wrócił do swojego pokoju, by dopilnować pakowania i pocieszyć Hilsona, swojego osobistego służącego, który miał pozostać w Chasten Hall. Szybko zmienił jedwabny szustokor i zdobioną koronkami koszulę na strój, w którym nieco przypominał wiejskiego gospodarza. Miał teraz na sobie brązowe sukienne spodnie wpuszczone w buty z cholewami, burą sukienką kapotę nałożoną na długą, wąską kamizelę i płaski filcowy kapelusz. Peruki nigdy nie nosił, a włosy związał z tyłu w warkoczyk. Cały ten ubiór szczerze przeraził Hilsona, a chociaż służący widywał młodego pana w tym stanie już wcześniej, również tym razem wyraził ubolewanie, że zapomina o swojej pozycji i godności i ubiera się jak jeden z najmitów jego ojca. Jonathan tylko się roześmiał i zwrócił służącemu uwagę, że pozostając w domu, nie będzie musiał ubierać pana ze wstydem. Mimo wszystko pozwolił jednak Hilsonowi spakować również przyzwoitsze rzeczy na wypadek, gdyby podczas podróży konieczny stał się powrót do godności wicehrabiego. Gdy usłyszał turkot przed frontowymi drzwiami, szybko wziął sakwojaż, zbiegł na dół i wszedł do powozu.

Za dnia przejechali dłuższy odcinek drogi, minęli Stevenage i o zmierzchu zbliżali się już do Baldock, gdy Joe gwałtownie powściągnął konie. Jonathan uchylił drzwi i wystawił głowę.

- Co jest?

- Coś nam blokuje drogę, milordzie. Chyba powóz. Boże, to napad!

Jonathan wspiął się na kozioł obok Joego, żeby lepiej widzieć. To, co zobaczył, nie pozostawiało najmniejszej wątpliwości. Dylizans przed nimi był przeszukiwany przez zbójców. Jeden z nich stał pochylony przy otwartych drzwiach i górną połowę ciała miał we wnętrzu pojazdu, natomiast pasażerowie znajdowali się w pewnym oddaleniu i byli pilnowani przez drugiego draba, trzymającego pistolet.

Jonathan, który na wypadek podobnej sytuacji zawsze podróżował z parą naładowanych pistoletów, dobył obu i polecił Joemu narobić dużego hałasu przy podjeżdżaniu. Joe z radością wykonał rozkaz, a odgłosy przypominały szarżę kawalerii. Z fantazją zatrzymał powóz o włos przed tyłem dyliżansu. Jonathan wstał i strzelił do człowieka pilnującego pasażerów. Broń poleciała na ziemię, mężczyzna zaklął i przycisnął zranioną dłoń do ust. Drugi zbójca natychmiast cofnął się od dyliżansu, okazało się jednak, że ma wolne ręce.

- Stój bez ruchu, jeśli ci życie miłe - zakomenderował Jonathan, mierząc do niego z pistoletu, a jednocześnie podał Joemu drugi pistolet do ponownego załadowania.

Joe wykonał swoje zadanie w rekordowym czasie. Miał wprawę, ćwiczyli to bowiem wielokrotnie, dzięki czemu Jonathan niemal zawsze miał przy sobie broń gotową do strzału. Rabusie zrozumieli, że zostali pokonani, i poddali się.

- Bardzo dziękuję, panie - powiedział woźnica, piorunując wzrokiem swojego pomocnika, którego garłacz leżał bezużyteczny na siedzeniu. - Interwencja w samą porę. Jesteśmy pańskimi dłużnikami.

Joe, woźnica dyliżansu i jego pomocnik dokładnie skrępowali obu mężczyzn kawałkami liny używanej zwykle do przytrzymywania bagaży umieszczonych na dachu, a potem wrzucili więźniów do powozu. Jonathan tymczasem podszedł do pasażerów, by sprawdzić, czy nic im się nie stało.

- Należą się panu wielkie gratulacje - powiedział dżentelmen w prostym czarnym stroju duchownego. - Taką przytomność umysłu widuje się doprawdy rzadko. Domyślam się, że mam przed sobą wojskowego.

Jonathan skłonił głowę, ale ani nie potwierdził tego domysłu, ani mu nie zaprzeczył.

- Czy pańska dama nie jest ranna?

Dama, o której była mowa, wspierała się bezsilnie na mężu, przytykając chusteczkę do twarzy.

- Jest głęboko wstrząśnięta, ale nie ranna. Na pewno odzyska spokój po dłuższej chwili.



Jonathan zwrócił się ku drugiej parze, drobnemu młodemu mężczyźnie z dziewczyną, która była blada jak papier i drżała niczym osika. Mężczyzna otaczał ją ramieniem.

- Muszę i ja dodać swoje podziękowania - odezwał się piskliwym głosem młodzieniec.

Zdziwił tym Jonathana, ponieważ brzmienie jego głosu zupełnie nie pasowało do fizyczności. Ubrany w szustokor i spodnie z niebieskiego sukna, przyzwoicie skrojone, lecz niezbyt wytworne, młodzieniec stał sztywno wyprostowany z dumnie uniesioną głową i dłonią na rękojeści szpady. Drugim ramieniem obejmował i chronił młodą damę. Jego twarz wyglądała tak, jakby w ogóle nie znała brzytwy, a oczy... och, te oczy! U młodego mężczyzny były absolutnie niezwykle, orzechowe, z drobnymi zielonymi plamkami. Włosy zaś, widoczne, choć związane z tyłu i wtłoczone pod kapelusz, miały odcień przydymionej miedzi, były jeszcze brązowe, ale zaledwie o ton od radości. Jonathan założył więc, że tych dwoje młodych ludzi, chyba jeszcze nie całkiem dorosłych, ucieka do Szkocji, by tam się pobrać wbrew woli rodziców. Uśmiechnął się do nich. To nie jego sprawa, pomyślał.

- Proponuję, aby wrócili państwo do dyliżansu i kontynuowali podróż - powiedział.  
- Będę jechał z tyłu i pilnował, aby nie spróbowano kolejnej napaści.

- Pan pojedzie z tymi dwoma? - spytał zaskoczony młodzieniec, wskazując więźniów.

- Nie, usiądę na koźle obok woźnicy. Zawieziemy ich do sędziego w Baldock. Proszę się nie obawiać, nie będą już państwa niepokoić.

Czworo pasażerów posłusznie wsiadło do dyliżansu. Woźnica dokładnie upewnił się, że nie ma żadnych uszkodzeń, zajął miejsce obok strażnika i ruszył.

Jonathan wrócił do swojego powozu i podążył za dyliżansem, przeklinając swój los, musiał bowiem ciągnąć się za tą landarą, chociaż powinien jak najszybciej przeć naprzód. Pozostawała mu nadzieja, że panna Vail nie zboczy z typowego szlaku na północ. Wydawało się to zresztą mało prawdopodobne. Wielki Trakt Północny był jedyną znośną drogą w tym kierunku, choć nie na całej jego długości stały rogatki.

- Robi wrażenie, nie sądzisz? - szepnęła Betty do Louise, kątem oka obserwując duchownego, który starał się pocieszyć szlochającą żonę.

- Kto?

- Nasz wybawiciel, rzecz jasna. Zmusił tych drabów, żeby potulnie pozwolili się związać. To prawie cud.

- Miał dwa pistolety.

- Tak, i umiał ich użyć.

- Sądzisz, że powinienem był wyciągnąć z kieszeni swój i strzelić?

- Nie. Nie miałeś na to czasu.

- Poza tym nie jest naładowany.

Betty dostała ataku chichotu, zapewne z nerwów.

- Przestań, moja droga, usilnie proszę - powiedziała szorstko Louise na użytek towarzyszy podróży. - Jestem pewien, że wielebny i jego żona nie widzą w tej sytuacji niczego zabawnego.

Betty spoważniała na chwilę, zaraz jednak znów się uśmiechnęła.

- Jest przystojny, nie sądzisz?

- Nie zwróciłem na to uwagi - skłamała Louise.

Musiałyby być z kamienia, żeby naprawdę nie zatrzymać spojrzenia na takim mężczyźnie. Przez dłuższą chwilę nawet oboje wpatrywali się w siebie, jakby chcieli dobrze zapamiętać swoje rysy. Mężczyzna miał szczerą, otwartą twarz i niebieskie oczy jak Luke. Jego włosy w kolorze dojrzałego zboża, krótkie z przodu i kręcone po bokach, z tyłu pozostały na tyle długie, by można je było zebrać w krótki warkoczyk przewiązany wąską tasiemką. Strój miał całkiem niepozorny, ale nosił go z niezaprzeczalną godnością. Duchowny prawdopodobnie miał rację, że ten człowiek jest żołnierzem. Louise w pełni zgadzała się też z Betty co do tego, że jest niezwykle przystojny. Aż musiała sobie przypomnieć, że jako mężczyzna nie powinna myśleć o takich sprawach.

Zajmowały z Betty miejsca tyłem do kierunku jazdy, więc gdy nieco pochylała się ku drzwiom, widziała kawałek powozu jadącego za nimi. Pojazd sprawiał wrażenie wytwornego i zupełnie nie pasował do podróżującego nim mężczyzny, który zaintrygował Louise na tyle, że zapomniała o przyczynie swojej podróży, a przynajmniej

na pewien czas wyrzuciła ją z głowy. Zaczęła się zastanawiać, czy mężczyzna rzeczywiście jest tym, za kogo chce uchodzić. Może ukradł ten powóz? Może sam zamierzał obrabować ich dyliżans, a zbójcy mu przeszkadzili? Gdyby jednak tak było, nie ująłby przecież tych rabusiów, a tym bardziej nie obiecał oddać ich w ręce sędziego. Naturalnie, mógł ich wypuścić, gdy tylko pasażerowie dyliżansu stracą go z oczu, ale powóz przez cały czas toczył się za nimi. Nie zatrzymał się ani na chwilę, nikt z niego nie wysiadał.

Wkrótce dotarli do Baldock i wjechali przez bramę na podwórze zajazdu Pod Bykiem. Louise myślała z lekkim drzeniem strachu o przestąpieniu progu takiego miejsca, ale dzielnie się wyprostowała i najbardziej męskim głosem, na jaki umiała się zdobyć, zażądała pokoju dla siebie i żony. Podała przy tym nazwisko Smith. Jeśli nawet gospodarz uznał, że jest ono fałszywe, nie pokazał tego po sobie i zaprowadził ich do ciasnego pokoiku w głębi budynku.

- Jeśli chcecie dostać pokój dla siebie, mam tylko taki. Do wyboru: to albo zbiorowa sala - powiedział.

Pomieszczenie bardziej przypominało garderobę z kwadratowym okienkiem, ale o zbiorowej sali naturalnie nie było mowy.

- Dziękuję - odparła. - Taki nam wystarczy. Chcielibyśmy też dostać posiłek.

- Jadalnia jest na dole.

Gospodarz zapalił świecę i postawił ją na komodzie, która wraz z łóżkiem i stołkiem stanowiła jedyne umeblowanie pokoju. Na komodzie stały też dzbanek wody i miska, a na haku wisiał szorstki ręcznik.

Po wyjściu mężczyzny Louise usiadła na łóżku i rozejrzała się dookoła. Cieszyła się, że świeca daje wątłe światło, nie wydawało jej się bowiem, by chciała dokładnie obejrzeć miejsce, w którym się znalazła.

- No, proszę bardzo - powiedziała, starając się, by zabrzmiała pogodnie. - Nasza pierwsza noc.

Betty spojrzała na nią.

- Ile takich nocy jeszcze przed nami?

- Cztery albo pięć. To zależy od stanu dróg i od tego, czy będziemy jeszcze mieli nieprzewidziane postoje, takie jak ten dzisiaj.

- Modłę się, żeby ich nie było, chociaż gdyby za każdym razem ratowali nas tacy przystojni mężczyźni, to nie mam nic przeciwko.

- Jak możesz mówić takie rzeczy, Betty? Pamiętaj, że jesteś moją żoną. Jeśli zaczniesz zerkać na obcych mężczyzn, będę musiał pokazać ci, jaki jestem zazdrosny.

- To byłoby zabawne!

- Nie chcę zwracać na nas uwagi, Betty - zapowiedziała surowo. - Nie jestem przekonana, czy moje przebranie wystarczy, jeśli ktoś zacznie mi się uważnie przyglądać.

- Ja też nie, zwłaszcza gdyby zdjęła pani okrycie. Ten bandaż nie jest ściągnięty zbyt ciasno.

Louise zsunęła z ramion szustokor, chcąc trochę się obmyć po podróży, i natychmiast zrozumiała, co Betty ma na myśli. Zakończywszy ablucję, mocniej spłaszczyła piersi, owijając je bandażem, i ponownie nałożyła szustokor.

- Chodźmy na dół, poszukamy jadalni - powiedziała. - Jestem głodny.

- Nic dziwnego. Nie jadłyśmy wczoraj kolacji ani dzisiaj śniadania, a o tym chlebie z szynką, który dostałyśmy w Welwyn, dawno już zapomniałam - poskarżyła się Betty.

- Chodź więc. I proszę, pamiętaj, że jestem Lou, a nie żadna panna Louise. W ogóle nie żadna panna.

- Dobrze, pan... Lou.

W jadalni zgromadziło się wielu podróżnych, ale pierwszą osobą, na którą Jonathan po wejściu zwrócił uwagę, był pan Smith, siedzący na ławie przy końcu długiego stołu. Młodzieniec zdjął kapelusz i gęste włosy zdawały się puszyć dookoła jego twarzy. Siedział obok swojej niepozornej żony. Oboje pałaszowali kotlety wieprzowe tak, jakby niczego nie mieli w ustach od tygodnia. Uśmiechnął się pod nosem, doszedł do końca stołu i zajął wolne miejsce obok młodego człowieka.

- Dobry wieczór - powiedział, gdy kelnerka postawiła przed nim pełny talerz. - Ufam, że reszta państwa podróży przebiegła już bez kłopotów.

Louise spojrzała na niego zaskoczona. Nie dalej jak kilka minut temu rozmawiała na jego temat i oto siedział teraz obok niej. Przyglądał się jej twarzy z wyraźnym zainteresowaniem, a ona czuła, jak wbrew woli coraz bardziej się rumieni. Co za głupia reakcja u mężczyzny!

- Tak, zupełnie bez kłopotów - powiedziała cicho, starając się jak najbardziej zniżyć głos, a potem wbiła wzrok w talerz i zajęła się jedzeniem.

- Nie sądziliśmy, że jeszcze pana zobaczymy - powiedziała Betty, biorąc z talerza nogę kurczęcia, aby ją obgryźć. - Co stało się z tymi dwoma zbrojami?

- Są dobrze zamknięci za kratami - powiedział, a chociaż zwrócił się do Betty, to wciąż patrzył na Louise.

Louise wiedziała, że jeśli nie przestanie zachowywać się jak nerwowa panienka, to wkrótce jej maskarada zostanie przejrzana. Musiała zrobić coś, co podkreśliłoby jej męskość. Zaczęła od pociągnięcia długiego łyku piwa z kufła stojącego przy jej łokciu. Na szczęście bracia nieraz dawali jej spróbować tego trunku, więc gorzki smak nie zrobił na niej większego wrażenia.

- Bardzo się cieszę, że nadjechał pan w odpowiedniej chwili - powiedziała, odstawivszy kufel. - Ten napad całkiem nas zaskoczył. Nawet nie zdążyłem wyciągnąć broni...

- Pan ma broń? - spytał Jonathan, nieznacznie się uśmiechając.

- Tak. Bardzo dobrego mantle'a.

Wsunęła rękę do kieszeni i dobyte stamtąd pistolet.

- Wielki Boże! Nie sądziłem, że pan mówi poważnie. Umie pan strzelać?

- Nie miałbym pożytku z pistoletu, gdybym nie umiał, prawda?

Schowała broń, zanim nieznajomy zdążył ją od niej wziąć i przekonać się, że jest nienaładowana. Mark, będący wśród jej braci najlepszym strzelcem, zawsze twierdził, że niebezpiecznie jest nosić przy sobie naładowany pistolet, bo może niespodziewanie wystrzelić w kieszeni, a tymczasem do ocalenia życia często wystarcza sam widok broni. Niespodziewane przybycie dżentelmena na miejsce napadu uchroniło Louise przed koniecznością zweryfikowania opinii brata.

- Zbrojcy są zmorą podróżnych... Trzeba jakoś się bronić - dodała.

- To prawda - odrzekł, starając się opanować mimowolny uśmiech. - A szpada?

- Dostałem ją od mojego nauczyciela fechtunku - powiedziała.

W pewnym sensie była to prawda. Posługiwania się szpadą uczył ją Matthew i właśnie jego bronią ćwiczyła, póki tata nie uznał, że młodej damie to nie przystoi.

- Nie wątpię, że wie pan, co z nią robić?

- Och, proszę się nie obawiać.

Jonathanowi chciało się śmiać. Idealnie wygolony młodzieniec z pewnością starał się zaimponować swojej młodej żonie, która jednak nie zwracała na to najmniejszej uwagi. W tej chwili zerknęła z dużym zainteresowaniem na Joego, który usiadł naprzeciwko niej. Jonathan uznał, że będzie musiał szepnąć młodemu człowiekowi słówko na ten temat.

- Proszę pozwolić, że się przedstawię - powiedział. - Nazywam się Jonathan Linton.

Tego nazwiska używał, gdy podróżował w sprawach Towarzystwa. Dawało mu to wolną rękę w kwestii wyboru pozycji społecznej, czasem bowiem tytuł bywał poważną przeszkodą.

- Louis Smith, a to jest moja żona. Jedziemy z wizytą do krewnych w Yorku.

- Co za zbieg okoliczności. Tak się składa, że i ja wybieram się do Yorku.

Louise z trudem opanowała niezadowolenie. Ten dżentelmen był zbyt przenikliwy, by mogła zachować spokój.

- Mam nadzieję, że pomoc, jakiej pan nam udzielił, nie opóźniła go zanadto w podróży.

Uśmiechnął się.

- Przecież i tak nie mógłbym przejechać. Dyliżans blokował drogę. Poza tym postąpiłbym nieelegancko, a każdy powinien pilnować przestrzegania prawa i porządku, jeśli tylko ma do tego okazję.

- Przecież nie jest pan detektywem z Bow Street! - powiedziała Betty.

- Nie. Jestem zwykłym obywatelem, spełniającym swoje obowiązki tak, jak je pojmuję. Dobrze się stało, że mogłem pomóc. Ci dwaj zbójcy byli poszukiwani również za

inne przestępstwa popełnione w Londynie, więc tam zostaną odesłani i staną przed sądem. Cieszę się, że miałem swój udział w oddaniu ich w ręce sprawiedliwości.

Uśmiechnął się pod nosem. Zbóje, zapytani o nazwiska w urzędzie sędziego, nie widzieli powodu, by je ukrywać. Zaskoczony, lecz jednocześnie bardzo zadowolony, Jonathan zorientował się więc, że to właśnie ich poszukiwano w sprawie włamania do lorda Besthorpe'a. Nie wybrał się w podróż na próżno, nawet gdyby poszukiwania panny Louise Vail zakończyły się fiaskiem, pomyślał z satysfakcją.

Chcąc ją dopędzić, powinien był niezwłocznie ruszyć dalej. Uznał jednak, że nie będzie ryzykował zdrowia koni. Drogi na północ od Baldock nie były dobrze utrzymane, mimo że za przejazd pobierano w wielu miejscach myto. Poza tym gdyby dał swoim koniom odpocząć, mógłby nazajutrz zaprząć je ponownie, zamiast wynajmować konie pocztowe na zmianę. Co więcej, zaintrygował go ten młokos. Było w nim coś podejrzanego, a Jonathan nie znosił nierozwiązanych zagadek.

Posiłek dobiegł końca, gospodarz zdjął obrus. Na stół trafiły dzban piwa, butelka madery i butelka koniaku, a także kufle, kieliszki i talia kart. Jonathan, wciąż rozbawiony niedawną rozmową, postanowił poddać młodzieńca kolejnej próbie. Wziął karty i zaczął je tasować.

- Grywa pan, panie Smith?

Louise zawahała się. Całkiem dobrze radziła sobie z wistem, ale chodziło bez wątpienia o grę na pieniądze, nie była więc pewna, czy się odważy. Z drugiej strony, czy mogła sobie pozwolić na odmowę? Przecież zdążyła już wzbudzić podejrzenia tego dżentelmena, poza tym gdyby udało jej się wygrać, byłoby łatwiej podróżować, mając w kieszeni kilka gwinei więcej.

- Lubię grać, ale nie o wysokie stawki. Ryzykowanie kwot, na jakie mnie nie stać, wydaje mi się wyjątkowo nieodpowiedzialne.

To była bardzo długa przemowa i przez cały czas musiała się pilnować, by jej głos nie zabrzmiał zbyt piskliwie. Wysięk zakończył się więc atakiem kaszlu i musiała się ratować kolejnym łykiem z kufła.

- Mamy jednakowy pogląd, panie Smith - powiedział Jonathan, dolewając sobie piwa. - Trzeba jednak jakoś zabić czas wieczorem. - Urwał i znów dokładnie przyjrzał się jej twarzy. - Chyba że woli pan rozmowę.

- Nie, zagrajmy partyjkę wista - powiedziała szybko Louise.

Przy grze w karty nie musiała dużo mówić, a liczyła na to, że mężczyźni nie zwrócą uwagi na jej powściągliwość w picciu.

Jonathan zwrócił się do dwóch mężczyzn siedzących za Louise.

- Dołączycie do czwórki, panowie?

Obaj przyjęli propozycję i przenieśli się na koniec stołu, naprzeciwko Jonathana i Louise. Przedstawili się jako Bill Williams i Charlie Burrows. Betty usunęła się na bok i zaczęła rozmawiać z Joem. Louise starała się skupić uwagę na kartach, ale przez cały czas wyteżała słuch, żeby sprawdzić, czy jej towarzyszka nie traci czujności. Przegrała przez to pierwsze rozdanie i z niechęcią musiała dołożyć do banku pół gwinei.

- Betty, moja droga, uważam, że powinnaś już się położyć - powiedziała w końcu. - Na pewno jesteś zmęczona, a czeka nas jutro długa droga.

Betty spojrzała na nią bardzo kwaśno, ale usłuchała. Louise uświadomiła sobie, że wszyscy podejrzanie się uśmiechają. Roześmiała się więc.

- Muszę trzymać klaczkę na wodzy, rozumiecie, panowie? Gramy dalej? Chyba pan teraz rozdaje, Burrows.

Wieczór płynął dalej. Odkąd Louise przestała przejmować się Betty, mogła poświęcić się grze. Na szczęście szła jej karta, skorzystała więc z tego i wkrótce miała przy łokciu spory stosik monet. Coraz bardziej jednak odczuwała zmęczenie. Dawały o sobie znać napięcie wywołane odgrywaniem mężczyzny i poprzednia bezsenna noc. Bracia okazali się dobrymi nauczycielami wista, ale w tej grze emocje okazały się daleko większe. Co gorsza, pan Jonathan Linton zdawał się nie spuszczać z niej wzroku. Czyżby wpatrywał się w jej twarz, żeby ją zastraszyć i zmniejszyć jej skuteczność w grze? Czowała się coraz bardziej nieswojo.

- Ja już na dzisiaj kończę - powiedziała i przytknęła dłoń do ust, by stłumić ziewnięcie.

- Jeszcze wczesna pora - sprzeciwił się Williams.



- Mimo wszystko chciałbym się położyć.

- Nikt panu nie mówił, że nie wypada zabierać całej wygranej bez dania innym szans, żeby chociaż częściowo się odegrać? - dodał Burrows.

- Nie ma sensu grać w tym celu, żeby stracić to, co wcześniej się wygrało - powiedziała i przesunęła ku sobie zdobyte monety, zamierzając schować je do kieszeni. Zanim zdążyła to zrobić, Jonathan położył dłoń na jej ręce.

- Nie może pan tego zrobić, Smith - powiedział.

Doskonale się bawił. Te wielkie oczy, niesforne włosy, delikatne dłonie z wypielęgnowanymi paznokciami, głos, który raz był piskliwy, a raz niemal dudnił, subtelne rumieńce na policzkach... wszystko to zdradzało bardzo młodego człowieka, który dopiero co wyrósł z wieku chłopięcego i stara się zachowywać jak dorosły. Burrows i Williams bez wątpienia doszli do tego samego wniosku i postanowili się zabawić jego kosztem.

Młokos nie zamierzał jednak tanio sprzedać skóry. Jonathan przyglądał mu się z uwagą. Pan Smith zdawał się zawsze wiedzieć, co przeciwnicy mają w kartach, rozgrywał bardzo rozsądnie i gromadził wygrane. Czy oszukiwał? Jeśli tak, to Jonathan do tej pory nie zauważył, w jaki sposób. Gdyby jednak wcale nie był to niewinny młody człowiek, tylko zaprawiony w bojach szuler, jego wygląd oszukałby większość ludzi.

Rozwiązywanie zagadek było racją istnienia Towarzystwa. Jonathan postanowił zatem połączyć swoją misję z rozrywką, która mu się nadarzyła, dopóki ich drogi z panem Smithem nie rozejdą się.

Więząc wciąż rękę Smitha, Jonathan spojrzał mu prosto w oczy.

Louise uwolniła się.

- Niczego nie muszę dowodzić, panie Linton - odparła. - To była tylko zabawa, by skrócić dłużyący się wieczór. Sam pan to powiedział. Wieczór uznaję za zakończony i chcę się położyć. Czeka na mnie żona.

- Nie możemy pozwolić, żeby dama czekała, prawda? - powiedział Williams ze śmiechem. - Kto w tej chwili trzyma wodze?

Razem z Burrowsem wybuchnęli śmiechem. Jonathan skrzywił się nieznacznie i nie przyłączył się do nich. Nie podobało mu się, że upokarzają chłopaka, choć nie miał pojęcia, dlaczego budzi to jego sprzeciw.

Wściekła Louise zgarnęła swoją wygraną i opuściła salę jadalną z tak wielką godnością, na jaką tylko umiała się zdobyć.

Betty zbudziła się, gdy Louise ściągała szustokor.

- Wygrałaś?

- Tak.

- To dobrze. Będziemy mogli jutro coś zjeść. Przyznawszy jej z satysfakcją rację, dopiero teraz

Louise naprawdę poczuła, ile nerwów ją to kosztowało. Odetchnęła z ulgą na samą myśl o tym, jak łatwo udało jej się w końcu uciec. Ci mężczyźni mogli ją zatrzymać i odebrać jej wygrane pieniądze. Zwłaszcza Burrows i Williams budzili w niej lęk. Wyłączyła z tego towarzystwa pana Lintona, choć sama nie wiedziała dlaczego. W każdym razie nie wydawał jej się podobny do tamtych dwóch, bardziej przypominał dżentelmena. Tylko jakie to miało znaczenie? - zapytała samą siebie. Dżentelmen też może być hultajem.

Włożyła wygrane gwinee do sakiewki, schowała pieniądze pod poduszką i położyła się w łóżku obok Betty. Jeśli nie pomyliła się, czytając rozkład dyliżansu w Yorku, czekały ją jeszcze trzy podobne noce jak ta. Oby następne były trochę lepsze!

Wsunęła dłoń pod poduszkę i wyczuła palcami sakiewkę. Teraz będą podróżować wygodniej.

Zanim Jonathan rozebrał się do snu, usiadł, by zrobić wpis do dziennika, co podczas podróży na rzecz Towarzystwa było jego obowiązkiem. Fakty przedstawiał rzeczowym językiem, niczego nie upiększając. Pisał o podejrzeniach, jakie wzbudziło w nim zachowanie pani Vail. Niewątpliwie coś ukrywała. Po przesłuchaniu wszystkich mieszkańców plebanii doszedł do wniosku, że młoda dama wyruszyła w podróż do Yorkshire, prawdopodobnie w towarzystwie drugiej młodej panny, siostry ogrodnika pracującego u proboszcza. Ruszył za nią własnym powozem i po drodze natknął się na

napad rabunkowy na dyliżans. Dwóch zbójców, którzy się tego dopuścili, ujął. Sprawcy okazali się włamywaczami do domu lorda Besthorpe'a. Przekazał ich sędziemu w Baldock i wyruszył w dalszą podróż śladem panny Vail.

Rano Louise nie spotkała pana Lintona przy śniadaniu, choć ku swemu zakłopotaniu uświadomiła sobie, że go wypatruje. Pewnie wyruszył znacznie wcześniej. Obie z Betty najadły się do syta, aby mieć siły na cały nadchodzący dzień, zapłaciły rachunek i wsiadły do dyliżansu. Louise z konsternacją stwierdziła, że duchownego z żoną już z nimi nie ma, wsiadła za to bardzo gruba dama z kotem w koszyku i dwaj mężczyźni, z którymi poprzedniego wieczoru grała w karty. Oznaczało to dla niej, że musi zachować podwójną ostrożność i odzywać się jeszcze mniej niż dotąd.

Wkrótce uświadomiła sobie jednak, że elegancki powóz pana Lintona znów ciągnie się za nimi. Czasem przystawał, ale wtedy i oni akurat stali. Bywało że ich wyprzedzał i znikał w chmurze pyłu, zapewne jednak pan Linton zmieniał wtedy konie, bo wkrótce ponownie jechał za nimi.

Podróżowali tak, czasem trochę pod górę, czasem z góry, przez lasy, wzdłuż pól kukurydzy i pastwisk z krowami, przez wioski, gdzie kobiety przyglądały się ich przejazdowi z progów chat, a dzieci bawiące się na drodze odbiegały na bok. Przejechali Ware, potem Wadesmill i Puckeridge, dotarli do Buntingford, gdzie zatrzymali się na pełną godzinę w zajeździe Pod Świętym Jerzym i Smokiem, zamiast pozostać tam ledwie kilka minut, potrzebnych na zmianę koni. Jonathan i jego służący również zrobili tam postój i weszli do środka ku niemałemu zachwytowi Betty, przekonanej, że wpadła Joemu w oko.

- Panie Linton, to dziwny zbieg okoliczności, że wciąż się spotykamy, czyż nie? - odważyła się odezwać do niego Louise. - Czyżby jechał pan za nami specjalnie?

- Nie ma w tym niczego dziwnego, panie Smith - odrzekł Jonathan. - Jesteśmy na Wielkim Trakcie Północnym. Prawdę mówiąc, jest to jedyna droga zasługująca na miano traktu, która prowadzi z Londynu na północ. Dodam, że i ona ma bardzo nieprzyjemne odcinki. Wydaje się więc prawdopodobne, że dwie osoby rozpoczynające podróż mniej więcej w tym samym czasie będą mniej więcej o tej samej porze dojeżdżać do punktów postojowych po drodze. Po to właśnie istnieją zajazdy. - Do sugestii, że jedzie za nimi,

umyślnie wcale się nie odniósł. - Zaraz ruszam, ale nie wątpię, że gdzieś jeszcze znowu się spotkamy. Bardzo mi będzie miło. - Skłonił się przed nią. - Sługa uniżony, szanowny panie.

Z tymi słowami wyszedł na podwórze i wsiadł do powozu zaprzęzonego w nowe konie. Joe już siedział na koźle.

Louise odprowadziła go wzrokiem, odczuwając jednocześnie ulgę i ciche rozczarowanie. Czy pan Linton miał rację? Czy rzeczywiście jeszcze się spotkają? Wbrew sobie polubiła tego człowieka. Podobało jej się, że jest przystojny, ma czarujący uśmiech, lubi żartować i zawsze jest w dobrym nastroju. Przede wszystkim zaś lepiej się czuła ze świadomością, że pan Linton jest w pobliżu, więc mógłby przyjść z pomocą w razie kolejnych przykrych niespodzianek. Zwłaszcza że była teraz skazana na towarzystwo panów Burrowsa i Williamsa.

Usłyszały z Betty, że pasażerowie są wzywani do dyliżansu, więc zostawiły resztki obiadu i wyszły przed zajazd. Zaczynały się przyzwyczajać do rytmu podróży. Długo podskakiwały na wybojach, przystawały na zmianę koni, po czym znowu podskakiwały na wybojach. Czasem konie spieszyły galopem, czasem wlokły się stępa, ale bez względu na prędkość powozu Louise i tak była mocno obolała.

Minęły Huntingdon, staroświeckie miasteczko z wąskimi, krętymi uliczkami. Kiedyś mieszkali tam Oliver Cromwell i Samuel Pepys, w każdym razie tak twierdził pan Burrows, bardziej gadatliwy z tych dwóch. Po drodze musieli niepostrzeżenie wyprzedzić pana Lintona, bo niedaleko za Huntingdon jego powóz znowu znalazł się za nimi.

- Co zamyśla ten człowiek? - spytał w pewnej chwili Williams. - Raz jest przed nami, raz za nami, zupełnie jakby nas śledził.

- Ja też już go o to pytałem - przyznała Louise. - Odpowiedział, że jeśli dwa powozy wyruszają z tego samego miejsca w tym samym kierunku, to co pewien czas niechybnie się spotykają.

- Byłaby to prawda, gdyby nasze pojazdy miały podobną masę i siłę pociągową. Jego powóz jest jednak lżejszy od dyliżansu, wiezie tylko dwóch pasażerów, a ciągnie go tak wspaniała czwórka koni, że dawno podobnej nie widziałem. Ten człowiek musi mieć

niemałe zasoby, jeśli stać go na najlepsze konie w zajeździe. Gdyby chciał, wyprzedziłby nas bez najmniejszego wysiłku.

Louise musiała się z tym zgodzić.

- On pewnie ma oko na swoje pieniądze - wtrącił ze śmiechem Burrows, wskazując ruchem głowy Louise. - Czekaj na okazję, żeby się odegrać.

- On po prostu nas pilnuje - powiedziała Betty, oszczędzając tym Louise konieczności znalezienia odpowiedzi. - Napadnięto nas po drodze, więc pan Linton chce być pewny, że to się nie powtórzy.

- Kiedy was napadnięto? - spytał Burrows.

- Wczoraj. Dwóch zbójców z pistoletami próbowało nas obrabować. Pan Linton bez mrugnięcia okiem strzelił do jednego z nich i wybił mu broń z ręki, potem związał obydwu i posłał za kraty.

- Po co mu to?

- A co miał zrobić z tymi zbójcami? Nie mógł ich przecież zostawić w spokoju, prawda?

- Nie. Pytałem, po co mu jechać naszym tempem.

- Nie wiem. Może on należy do tych, którzy ścigają złodziei. Słyszałam, że robił to już przedtem - powiedziała Betty.

- Tak sądzisz? - spytała Louise.

Wniosek wydawał się bardzo logiczny. Aż się dziwiła, że sama do niego nie doszła.

- Tak. I cieszę się, że pan Linton jest w pobliżu.

Z Huntingdon pojechali do Stilton, wsi wśród pagórków, którą rozświetlała nazwa sera. Tam zatrzymali się Pod Dzwonem, ale tylko na krótko, żeby woźnica mógł zmienić konie, a pasażerowie załatwić swoje potrzeby. Pan Linton znowu więc ich wyprzedził. Do Stamford zbliżali się, jadąc przez las, i Louise zaczęła się obawiać, czy znów nie natkną się na zbójców. Pokonali jednak niebezpieczny odcinek bez przeszkód i wkrótce znaleźli się w pięknym miasteczku, położonym nad wolno płynącą rzeką. Przy wąskich uliczkach stały tu domy z szarego wapienia, było też dużo kościołów. Na nocleg zatrzymali się w zajeździe Pod Świętym Jerzym.

Ledwie Louise wysiadła i przeciągnęła się, żeby rozprostować zeszywniałe członki, pojawił się powóz Lintona i przystanął na podwórzu. Właściciel, radosny jak zawsze, zeskoczył na ziemię i powitał ją i Betty eleganckim ukłonem, a potem zaprowadził je obie do jadalni. Wyglądało to tak, jakby były skazane na jego obecność.

- Panie Linton, czy nie ma innych zajazdów w tym mieście? - spytała Louise.

- Och, jest wiele, ale ja lubię właśnie ten - powiedział z szerokim uśmiechem. -  
Podoba mi się towarzystwo.

TLR

## Rozdział trzeci

Zajazd był wyjątkowo gwarny, więc Louise miała duże wątpliwości, czy uda im się z Betty zdobyć pokój tylko dla siebie. Podczas gdy pertraktowała z gospodarzem, usiłując go nakłonić do znalezienia osobnego pomieszczenia, włączył się do rozmowy Jonathan i zaoferował im swój pokój, który został znaleziony wcześniej kosztem kilku dodatkowych suwerenów.

- Wezmę to, co gospodarz jeszcze jest w stanie mi zaproponować - powiedział do Louise. - Mogę spać gdziekolwiek.

Zawahała się. Nie podobało jej się, że uzależnia się od tego człowieka. Nie chodziło tylko o dumę, ważniejsza była obawa, że wkrótce Jonathan zdemaskuje ją. Wtedy wszyscy dowiedzieliby się, a ona wyszłaby na głupią. Tego stanowczo nie chciała, z drugiej strony jednak dzielenie pokoju z mężczyznami było nie do pomyślenia.

- Dziękujemy panu - powiedziała. - Ja też nie miałbym nic przeciwko zbiorowej sali, ale moja żona to wątpiąca istota, pan rozumie...

Zerknęła na Betty, która znowu gawędziła z Joem i nie wydawała się w najmniejszym stopniu zakłopotana.

- Rozumiem - odpowiedział, uznawszy, że młody człowiek jest zazdrosny i nie chce spuścić żony z oczu. Jeśli to w ogóle była jego żona. - Proszę więc wziąć ten pokój.

Louise i Betty zostały zaprowadzone na górę do przestronnego pomieszczenia z oknem na gwarne podwórze. Przyniesiono im wodę, aby mogły się umyć. Louise rozebrała się i wytarła ciało gąbką, wkrótce musiała jednak przywdziać te same rzeczy, co przedtem. Na zmianę miała jedynie stroje kobiece. Uśmiechnęła się nagle, rozbawiona myślą o minie, jaką zrobiłby pan Linton na widok zawartości jej sakwojażu. To byłoby nawet zabawne, gdyby przebrała się i pojawiła jako panna Louise Vail. Wyobraziła sobie niedowierzającą minę pana Lintona, który całuje ją w rękę i mówi, że zdecydowanie woli ją jako kobietę. Skarciła się za tę myśl. Nie mogła pozwalać sobie na takie fantazje.

Zeszły na kolację do jadalni i znów znalazły miejsca przy Jonathanie Lintonie i Joem Pottonie. Panowie Burrows i Williams siedzieli przy tym samym długim stole, ale w pewnym oddaleniu. Louise coraz lepiej posługiwała się męskim rejestrem głosu,

starala się jednak odzywać jak najmniej. Wysiłki pana Lintona, by wciągnąć ją do rozmowy, kończyły się więc uprzejmymi, lecz bardzo zwięzłymi odpowiedziami. Kiedy podał jej talerz z potrawą, powiedziała tylko: „Dziękuję panu”, a gdy zwrócił uwagę na ładną pogodę, stwierdziła: „Rzeczywiście, jest ładna”. Wydawało jej się, że radzi sobie znakomicie, ale gdy posiłek się skończył, Burrows zaproponował, aby znowu zagrać w karty.

- Musimy dostać szansę odzyskania części strat, panie Smith - powiedział.

- Nie wygrałem aż tak dużo - odpowiedziała z udaną obojętnością. - To całkiem drobna suma.

- Drobna suma - powtórzył. - Podnieśmy więc stawkę. - Zwrócił się do Jonathana. - Przyłączy się pan do gry?

W pierwszej chwili Jonathan chciał odmówić, ale wtedy na czwartego zaproszono by kogo innego, a on chciał znajdować się jak najbliżej tego chłopaka, choćby tylko po to, by uchronić go przed stratą, gdyby stawka niebezpiecznie urosła.

Louise grała bardzo ostrożnie, bo stawkę, wynoszącą poprzedniego wieczoru pół gwinei, podwojono. Nie miała pojęcia, co zrobi, jeśli przegra wszystkie pieniądze. Musiała znaleźć jakiś sposób, żeby przerwać grę jak najszybciej. Wiedziała jednak, że zmęczenie jako pretekst tym razem już nie wystarczy.

Zegrali kilka rozdań, w których najpierw trochę wygrała, a potem trochę przegrała, głównie z powodu nieuwagi.

- Panie Linton, byłbym gotów przysiąc, że nie ma już pan atutów - powiedziała, gdy przebił lewę, którą zamierzała wziąć.

- Oskarża mnie pan o oszukiwanie? - spytał ze złością.

I co teraz? Wcale nie zamierzała niczego mu zarzucać, po prostu dała do zrozumienia, że się zagapiła. Wzruszyła ramionami.

- Uderz w stół, nożyce się odezwą, panie Linton...

Chłopak był odważny, Jonathan musiał to przyznać.

On sam w tej sytuacji położyłby uszy po sobie.

- Nie ma tu żadnych nożyc, panie Smith. A ja nie chowam kart.

Potrząsnął rękawami, żeby dowieść prawdziwości swoich słów.



- Ten gołowąs jest wyjątkowo bezczelny, słowo daję - odezwał się Bill Williams. - Niech pan go wyzwie, Linton. Nie można pozwolić, żeby uszło mu na sucho wyzywanie od oszustów. Służę jako sekundant.

Sytuacja zaczynała wymykać się spod kontroli. Jonathan chciał jak najszybciej zakończyć ten konflikt, obraza jednak była faktem, a tego nie puszczał płazem nikomu, zwłaszcza takiemu żółtodziobowi.

- No, dalej - zachęcał go Charlie Burrows, podczas gdy Louise czekała z zapartym tchem. - Nie boi się pan chyba tego młodego chudziaka?

Jonathan głęboko odetchnął i zwrócił się do Louise.

- Pan nie zostawił mi wyboru. Muszę pana wyzwać. Inaczej wyszedłby na tchórza, a to byłoby nie do przyjęcia.

Louise nie mogła zrozumieć, w jaki sposób wpakowała się w takie tarapaty. Najchętniej wyszłaby natychmiast na podwórze, wsiadła w dyliżans i zawróciła do Barnet. W najkoszmarniejszych snach nie przewidywała takiego obrotu zdarzeń. Nie miała pojęcia, co robić, bo przyjacielskie docinki podczas gry z braćmi były w domu na porządku dziennym. W ogóle nie należało siadać do kart, również poprzedniego dnia. Gdyby teraz chciała przyznać się do błędu, wystawiłaby się na pośmiewisko nie tylko wśród grających, lecz wśród wszystkich obecnych. W dodatku musiałaby zrezygnować z wygranych pieniędzy, a nadal wygrywała.

- Pan również nie zostawia mi wyboru - stwierdziła.

- Przyjmuję wyzwanie.

- Przyjmuje pan? - spytał zdziwiony i chcąc podsunąć mu honorowe wyjście z sytuacji, dodał: - Zadowolę się zwykłymi przeprosinami.

- Czy nie byłoby to równoznaczne z przyznaniem, że nie miałem racji? - spytała.

- Owszem, ale rzeczywiście pan jej nie miał.

- Dość tej gadaniny, Linton - powiedział Williams. - Panie Smith, jako sekundant pana Lintona proszę, aby wskazał pan swojego sekundanta i wybrał broń.

- Szpada - powiedziała bez wahania.

Wiedziała, że jeśli pan Linton nie jest wyjątkowym okrutnikiem, zadowolony będzie byle jakim trafieniem, drobnym skaleczeniem, po którym bez skazy na honorze będzie mógł

uznać, że otrzymał satysfakcję. W pojedynku na pistolety mogłaby zginać, nawet gdyby przeciwnik wcale tego nie chciał. Rozejrzała się w poszukiwaniu sekundanta.

- Czy ktoś zechce mnie reprezentować?

- Ja - powiedział Joe, zauważywszy skinienie głowy Jonathana.

- Nie zgadzam się na pojedynki na moim terenie - odezwał się gospodarz. - Jeśli musicie walczyć, idźcie gdzie indziej. Po drugiej stronie rzeki jest odpowiedni plac tuż za granicami miasta.

- Już jest za ciemno - powiedział Bill Williams. - Spotkamy się tam o świcie.

- Przechowam tymczasem stawkę - powiedział gospodarz, zgarniając pieniądze. - Jutro dostaniecie je z powrotem.

Louise wróciła do pokoju. Głośno chrapiąca Betty zajmowała większą część łóżka. Czy należało ją zbudzić i zarządzić natychmiastowy wyjazd? Tylko dokąd mogłyby pojechać? I czy naprawdę chciała wyjść na tchórza? Miała do siebie pretensje, że w ogóle zdecydowała się na tę eskapadę, zamiast porozmawiać szczerze z rodzicami, ale na żale było już za późno.

Usiadła na skraju łóżka i zapłakała. Żałowała, że nie zwierzyła się zawczasu Luke'owi. Może pojechałby z nią i zadbał o jej bezpieczeństwo. Pozostałaby sobą, zamiast wcielać się w postać pana Smitha. Teraz, co gorsza, czuła się odpowiedzialna także za Betty.

Za kilka godzin wstanie słońce i wszyscy zbiorą się na placu za miastem, czekając na nią i pana Lintona. Dla widzów będzie to zwykła rozrywka, jak sztuka w teatrze, którą się oklaskuje. Usilnie zastanawiała się, jak wyjść z tej opresji cało i jednocześnie nie skompromitować się do cna. Mogłaby powiedzieć, że złamała szpadę, ale wtedy znaleziono by inną broń, a zawsze lepiej walczyć swoją. Wstała i podeszła do wieszaka, na którym pozostawiła pas. Wyjęła broń z pochwy i wykonała na próbę kilka ruchów. Szpada dobrze leżała w dłoni i była wyważona. Louise zawsze lubiła fechtować i nawet dobrze jej to szło. Musiała jakoś przetrwać tę karykaturę pojedynku, aby nie stracić honoru jako mężczyzna.

Jonathan nie miał zamiaru zabić chłopaka. Co więcej, nie mógł pozwolić, żeby włos spadł mu z głowy. Raz już zabił człowieka w pojedynku i wiedział, że widok za-

krwawionego ciała znoszonego z placu jest wstrząsający. Od tej pory unikał sytuacji, w których musiałby bronić własnego honoru. Sam nie rozumiał, jak doszło do spięcia. Był na siebie zły, bo źle poprowadził sprawę. Powinien był oświadczyć, że nie walczy z dziećmi, wszyscy wybuchnęliby śmiechem i o wyzywaniu nie byłoby dłuższej mowy.

Wtedy jednak upokorzyłby chłopaka i wystawił na pośmiewisko, co wydawało mu się niedopuszczalne. Mimo to uważał, że lekcja młodzieńcowi się należy. Nie można nieodpowiedzialnie, bez cienia dowodu oskarżać o oszukiwanie w kartach. Ciekaw był, dlaczego właściwie tych dwoje wybrało się w podróż. Może chodziło o żart albo zakład? A może sprawa była znacznie poważniejsza? Raz czy dwa dostrzegł na twarzy Smitha niezaprzeczalny wyraz smutku, a w jego oczach widział łagodność, która nijak nie pasowała do udawanej pewności siebie. Był gotów mu pomóc, nie oznaczało to jednak, że da się pokonać w pojedynku. Honor i satysfakcja rządzą się swoimi prawami.

Dziękował w duchu swojemu nauczycielowi fechtunku, który potrafił udawać pełne zaangażowanie w walkę, a przecież trafiał tak, by przeciwnikowi nie zrobić krzywdy. Miał nadzieję, że potrafi skorzystać z tego przykładu, choć, prawdę mówiąc, nie sądził, by doszło do walki. Był przekonany, że jego przeciwnik się nie stawi. O świcie już nie będzie go w zajeździe. Jonathan westchnął i usiadł, by uzupełnić dziennik o kolejny wpis. Nie zamierzał jednak wzmiankować o pojedynku.

Louise patrzyła, jak wstaje dzień, słyszała krzątanie stajennych i służących na podwórzu i marzyła, żeby być całkiem gdzie indziej. Wnet jednak rozległo się pukanie do drzwi i rozległ się głos Joego:

- Czas wstawać, Smith. Ma pan pół godziny. Zamówić dla pana śniadanie?

- Nie, dziękuję - odkrzyknęła. Nie przełknęłaby w tej chwili ani kęsa. - Nie jem śniadania. Zaraz będę gotów.

Usłyszała oddalające się kroki, bez wątpienia Joe zszedł na dół. Wstała i ubrała się. Przyszło jej do głowy, że jeśli przeciwnik rozetnie jej szustokor, nie będzie miała innego okrycia. Trzęsąc się ze zdenerwowania, wzięła trzewiki i zapięła kłamrę pasa. Obróciła się z myślą, by zbudzić Betty, zmieniła jednak zdanie i zostawiła ją śpiącą.

Jadalnia była pusta. Louise wyszła na dwór. Na podwórzu też nikogo nie zauważyła, służba już się rozeszła. Zza rogu budynku wyłonił się jednak Joe.

- Gdzie są wszyscy? - spytała.

- Na polu, czekają na pana.

Serce podeszło jej do gardła. Oznaczało to, że będzie wielu świadków jej upokorzenia. Czy będą żądni krwi? Położyła dłoń na rękojeści szpady i ruszyła za Joem. Ich kroki na bruku odbijały się echem. Louise ćwiczyła w myśli wszystkie ruchy, których nauczyła się podczas lekcji, i stawiała sobie pytanie, czy zdąży zrobić z nich użytek, zanim pan Linton przesyje ją na wylot.

Na polu rzeczywiście było dość tłoczno, ale ludzie rozstąpili się przed nią i nawet usłyszała okrzyki zachęty:

- Dalej, młodzieńcze. Pokaż temu zarozumialcowi.

Inni śmiali się, nazywając ją żółtodziobem, który nie jest w stanie unieść broni, a co dopiero walczyć. Kpiny jeszcze wzmogły jej determinację. Dumnie uniosła głowę i podeszła do miejsca, gdzie linami wygradzono pole walki. Pan Linton z sekundantem i właściciel zajazdu, którego mianowano sędzią, stali w oczekiwaniu. Pan Linton miał na sobie tylko spodnie i koszulę, jego męska postura podziałała na nią onieśmielająco. Z pewnością nie mogła się z nim równać sylwetką ani muskulaturą, nie było jednak odwrotu.

Pan Linton obserwował ją, gdy dobyła szpady i palcem sprawdzała stan klingi. Potem Joe pomógł jej zdjąć szustokor i halsztuk, a gospodarz wezwał szermierzy na środek pola walki. Jonathan też się denerwował. Za nic nie chciał skrzywdzić przeciwnika. Powtarzał to sobie bez końca, a przed oczami ciągle miał tamten pojedynek sprzed lat, który zakończył się tragicznie.

Wreszcie formalnościom stało się zadość i zostali między linami, stojąc twarzą w twarz. Unieśli szpady pionowo w górę w powitalnym geście, po czym przyjęli postawę. Gospodarz wydał komendę do rozpoczęcia walki.

Przez chwilę badali swoje siły. Tańczyli wokół siebie, pozorując ataki, Smith raz spróbował sztychu i prawie mu się udało. Jonathan w ostatniej chwili sparował uderzenie i w odpowiedzi wyszedł z kontrą, ale chłopak zrobił zręczny unik. Nagle Jonathan uświadomił sobie, że ten młokos wie, co robi, i widowisko może być całkiem ciekawe.

Zaczął atakować śmieiej, raz czy dwa nawet całkiem na poważnie, ale przeciwnik bronił się bez zarzutu.

Louise, wciągnięta w wir walki, czuła coraz więcej zapału, zirytowało ją więc, gdy uświadomiła sobie, że pan Linton unika starć. Zaatakowała z większym animuszem i zepchnęła go do obrony. Taniec wśród lin trwał, klingi szczękały a gapie wiwatowali.

W pewnej chwili Jonathan uznał, że czas skończyć to widowisko jak najszybciej, i rzucił się naprzód, ale ponieważ nie przygotował odpowiednio ataku, Smith nie tylko odbił jego szpadę, lecz również zaskakująco zripostował. Klinga prześlizgnęła się po ramieniu Jonathana i na jego koszuli pojawiła się krwawa smuga.

Louise pomyślała, że gdyby to ona rzuciła wyzwanie, mogłaby uznać, że otrzymała satysfakcję. Pierwsza krew popłynęła i byłby to pretekst do zakończenia walki. Niestety, to ją wyzowano, więc przeciwnik musiałby uznać się za pokonanego.

Tymczasem tłum wrzasnął z zachwytu. Gapiom daleko było do tego, by uznać, że sprawa honorowa została załatwiona. Pojedynek potoczył się więc dalej, a Jonathan musiał zmobilizować wszystkie swoje umiejętności, by odeprzeć kolejne ataki. Naturalnie, przez cały czas pilnował się, by nie zranić przeciwnika. W końcu jednak na chwilę stracił koncentrację i właśnie wtedy pan Smith wybił mu broń z ręki. Potem stanął w miejscu.

Jonathan zawahał się. Jak to wszystko się skończy? Miał zwyczaj przestrzegać prawa, Klub Dżentelmenów wymagał od niego, by pomagał je egzekwować, więc jak mógł je łamać? Czyżby Louisowi Smithowi wydawało się, że cały ten pojedynek jest zabawą? Korzystając z szansy danej mu przez przeciwnika, pochylił się po szpadę.

Gdy ponownie wyprostował się z bronią w rękę, spostrzegł że Louis Smith ciężko oddycha. Jego falujące piersi wydawały się dziwnie duże i właśnie wtedy Jonathan zrozumiał, że walczy z kobietą. Ależ z niego głupiec! Dlaczego nie zauważył tego wcześniej? Te piękne oczy, niesforne włosy, delikatne dłonie z wypielęgnowanymi paznokciami - wszystko to było oznaką płci przeciwnej. Nie. Z kobietą walczyć nie mógł. Opuścił ramię.

Louise zauważyła jego niepewność i bardzo ją to zdziwiło. Pan Linton był przecież daleki od porażki.

- Widzę wahanie - powiedziała, kierując ku niemu szpadę. - Poddaje się pan?

Tłum wrzasnął z niezadowoleniem.

- Walcz - krzyczeli ludzie. - Nie pozwolisz chyba, żeby taki chłystek okazał się lepszy?

Unieśli więc szpady i znów na siebie natarli. Jonathan to doskakiwał do przeciwnika, to odskakiwał, parował ciosy i przez cały czas wypatrywał sposobności do zakończenia pojedynku, które byłoby honorowe dla obu stron.

Pan Smith zaczął się męczyć pogonią za nieuchwytnym przeciwnikiem. Jonathan dostrzegł w tym swoją szansę. Chwilę później mocno odbił próbę sztychu i zatrzymał klingę o centymetry przed klatką piersiową przeciwnika. Szybkim ruchem nadciął tkaninę tak, że lada chwila cała koszula mogła opaść z ciała. Dostrzegł trwogę w oczach rzekomego pana Smitha.

- Poddaje się pan? - spytał, wiedząc, że przeciwniczka nie może dopuścić do tego, by ją obnażył.

Opuściła szpadę, nagle całkiem pozbawiona woli walki. Kilku gapiów zahuczało. Nie podobało im się, że młokos poddał się tak łatwo, chociaż nie popłynęła ani kropla jego krwi. Większość jednak uznała, że widowisko było znakomite, a obaj przeciwnicy równie wprawni, więc o wynik nie należy mieć pretensji.

Louise zwróciła się do Jonathana, który ocierał krew z ramienia.

- Jest pan ranny, panie Linton?

- To tylko drobne skaleczenie, niewarte uwagi - powiedział. - Gratuluję szermierczych umiejętności, panie Smith.

Czyżby jej się tylko zdawało, czy pan Linton rzeczywiście wymówił jej przybrane nazwisko ze szczególnym naciskiem?

- Dziękuję, panie Linton. Wzajemnie.

Razem zeszli z placu, by odebrać od sekundantów okrycia, wysoki, muskularny mężczyzna i zniewieściały młodzian. Betty tymczasem dołączyła do Joego i przyglądała się temu z nieukrywanym podnieceniem. Sięgając po swój szustokor, Jonathan przypadkowo potracił Louise. Straciła równowagę i niechybnie upadłaby, gdyby natychmiast jej nie podtrzymał.

Pan Linton był silny i niesłychanie męski. Szybko powściągnęła myśli i natychmiast się opanowała.

- Dziękuję panu - powiedziała i odsunęła się o krok.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

Męskie przebranie było z jego punktu widzenia kłopotliwe, choć dziwnie podniecające. Nie mógł uśmiechnąć się do niej tak, jak mężczyzna zwykle uśmiecha się do kobiety, nie mógł ująć jej za rękę ani tym bardziej pozwolić sobie na pocałunek, co wydawało mu się wielką pokusą, bo stali niemal oko w oko.

Tymczasem podeszła Betty z szustokorem.

- Chodźmy stąd - szepnęła do Louise. - Nie powinna była pani zdejmować okrycia. Bandaż się zsunął.

- Przecież nie mogłem walczyć w szustokorze, prawda?

Louise jakoś odparła pokusę, by dotknąć swoich piersi, szybko zapięła okrycie, schowała szpadę i prowadząc Betty, odeszła, starając się, by wyglądało to jak najbardziej naturalnie.

Jonathan obserwował ich oddalające się sylwetki. Był absolutnie pewien, że ma do czynienia z zaginioną panną Louise Vail, nie rozumiał jednak, dlaczego nie wyprzedziła go o wiele mil. Z pewnością nie została porwana i, o ile zdążył się zorientować, nie padła ofiarą przestępstwa. Po prostu rozpieszczona młoda dama szukała przygody. Zirykowała go myśl, że pozwolił się podpuścić i wyruszył na jej poszukiwanie. Klub Dżentelmenów Piccadilly nigdy nie zajmował się tak banalną sprawą. Jonathan uznał, że należy wrócić do Barnet, złożyć sprawozdanie rodzicom panny Vail i zapomnieć o sprawie. Czy jednak mógł zostawić ją w sytuacji, w której łatwo mogła wpaść w tarapaty? Nie potrafił zapomnieć wyrazu lśniącego oczu, spoglądających na niego z błaganiem, by nie rozciął koszuli. Co więcej, pani Vail prosiła, by uchronił jej córkę przed krzywdą, a on obiecał, że zrobi wszystko, co w jego mocy, by znalazła się z powrotem na łonie rodziny.

- Sądzisz, że jeszcze ktoś zauważył zsunięty bandaż? - spytała Louise, gdy znalazły się pod zajazdem, z dala od obserwatorów pojedynku.

- Nie wiem, ale pan Linton na pewno, bo był najbliżej.

Louise miała ochotę powiedzieć, że za blisko.

- Pozostaniemy w naszym pokoju do czasu, gdy dyliżans będzie odjeżdżał. Może już pana Lintona nie zobaczymy.

Powiedziała to bardziej z żalem niż z nadzieją, ale nie był to właściwy czas, by wzdychać do przystojnego mężczyzny. Miała wykonać ważne zadanie, od którego mogła zależeć reszta jej życia. Z pewnością nie należało tracić czasu na grę w karty i pojedynki ani marzyć o obcym. Musiała wznieść się ponad przyziemne sprawy.

- Próżna nadzieja - powiedziała Betty. - On nie chce się od nas odczepić i teraz też na pewno nie zrezygnuje.

Zaprężony dyliżans stał już na podwórzu, a woźnica i strażnik sprawdzali, czy wszystko jest gotowe i można zabrać pasażerów. Na miejsca czekali kobieta z małym dzieckiem, młody człowiek opiekujący się chłopcem w wieku szkolnym i mężczyzna w czarnym okryciu, pozieleniałym ze starości. Louise ledwie zdążyła zajrzeć do swojego pokoju, poprawić bandaż, zabrać sakwojaże i zapłacić rachunek, gdy okazało się, że zaraz odjazd.

Siedziały już w dyliżansie, gdy drzwi się otworzyły i do środka zajrzał pan Linton. Podał Louise sakiewkę.

- Pańska wygrana, Smith. Szkoda byłoby ją zostawić, skoro tak dzielnie pan o nią walczył.

Zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, zamknął za sobą drzwi i znikł.

Louise zamarła. Grubo omyliła się w swoich przewidywaniach nudnej i monotonnej podróży. Wszystko przez to, że nie umiała zlekceważyć niczego, co traktowała jak wyzwanie. Pewnie zresztą właśnie z tego powodu wyruszyła na poszukiwanie prawdziwej matki. Chciała ją poznać i zrozumieć jej decyzję, mimo tęsknoty za domem i poczucia winy, które odzywały się tym głośniejsze, w im większe tarapaty popadała. Powtarzała sobie, że musi zachować więcej ostrożności i że powinna liczyć na pomocną dłoń pana Lintona.

Wiedziała, że podczas pojedynku każdy inny mężczyzna rozciąłby jej koszulę, obnażając ją. Jonathan Linton zaproponował jednak, by się poddała. Wiedział, że straciła siły, i nie chciał wyrządzić jej krzywdy. Co więcej, zwrócił jej potem sakiewkę, mimo że jako zwycięzca pojedynku mógł zatrzymać pieniądze.



Zamknęła oczy. Nie wolno jej było bez przerwy o nim myśleć, tym bardziej że powinna choć trochę pospać. Jednak mimo szczebiotu Betty, która wdała się w rozmowę z panią Slater, podróżującą z dzieckiem, Louise nie potrafiła pozbyć się wyobrażenia intrygującego mężczyzny. Tymczasem o dach dyliżansu zaczął bębnić deszcz.

- Dlaczego ten głupiec nas nie wyprzedzi? - spytał zrzędlawie mężczyzna w wytartym okryciu, niejaki Greg Turner. Miał ogorzałą cerę człowieka, który wiele czasu spędza na dworze. - Ciągnie się za nami od samego początku.

Louise otworzyła oczy i zerknęła przez okno. Doskonale wiedziała, co zobaczy mimo strug wody spływających po burcie dyliżansu i zamieniających drogę w rzekę błota.

- To tylko pan Linton - powiedziała Betty. - Zawsze jedzie za nami.

- Po co?

Mężczyzna wydawał się zdenerwowany i raz po raz sięgał pod szyję, by poprawić halsztuk. Louise zauważyła, że brakuje mu palca wskazującego i czubka kciuka u prawej ręki.

- Opiekuj się nami. - Betty zachichotała. - To nasz anioł stróż.

Wyruszyli spóźnieni, bo woźnica i strażnik koniecznie chcieli obejrzeć pojedynkę. Louise była jednak z tego całkiem zadowolona, bo inaczej dyliżans mógłby odjechać bez niej. Na posiłek zatrzymali się w Grantham, w zajezdzie Pod Aniołem, ale tylko na krótko. Louise, która siedząc przy oknie, usiłowała zjeść jak najwięcej gorącej zupy, zauważyła przejeżdżający powóz Jonathana. Serce jej się ścisnęło. Czyżby miała go więcej nie zobaczyć?

- Ładny mi anioł stróż. Śmignął tak, że błoto mu spod kół pryskało - szepnęła do Betty, gdy stały już na podwórzu.

- Niedługo i my go miniemy. Mogę się założyć. A jeśli nawet nie, to spotkamy się wieczorem w zajezdzie.

- Skąd wiesz?

- Joe mówił, że on ma jakąś sprawę w związku z naszym dyliżansem.

- A czego od nas chce? - spytała spłoszona.

- Nie powiedział, że od nas, tylko że w związku z dyliżansem.

- Myślisz, że może być zbójcą? Nie mamy niczego do oddania oprócz sakiewki, a reszta pasażerów wygląda jeszcze bardziej ubogo.

- Spytałam Joego, ale zaczął się wykręcać. Powiedział, że jego pan służy prawu.

- Aha.

Zamyśliła się. Betty przypuszczała, że pan Linton zarabia na utrzymanie, tropiąc przestępców. Tacy ludzie istnieli i mieli bardzo złą opinię, a najgorszą zyskał niejaki Jonathan Wilde. Podpowiadał on złodziejom, gdzie znajdą dobry łup, a potem zwracał skradzione dobra właścicielom, oczywiście za opłatą, i dzielił się zyskiem ze złodziejami. Ten lukratywny interes trwał, póki Wilde'a nie postawiono przed sądem i nie stracono jako przestępcy. Odkąd jednak przed dziewięcioma laty Henry Fielding utworzył grupę detektywów z Bow Street, którą dowodził obecnie jego brat, sir John, o tropicielach przestępców niewiele już słyszano. Czy Jonathan Linton mógł być właśnie kimś takim? Chociaż tropiciele działali w Londynie, wiadomo było, że w pościgu za przestępcami zdarza im się dotrzeć także na prowincję.

- Czy udawanie mężczyzny jest niezgodne z prawem? - spytała.

- Skąd mam wiedzieć? Ale ukradła pani ubranie, szpadę i pistolet.

- Wcale nie ukradłam.

- To jasne jak słońce, że nie dostała ich pani w prezencie.

- Za dużo sobie pozwalasz, Betty - stwierdziła ze złością, a wszystko przez to, że słowa jej towarzyski były aż nadto trafne. - Wszystko tylko pożyczyłam. Mój ojciec z pewnością nie kazałby mnie za to ścigać. Wracajmy do dyliżansu. I pamiętaj, kim jesteś.

- Twoją strachliwą żoną - powiedziała Betty, z ociąganiem ruszając za Louise. - Mam już tego dosyć. Podoba mi się Joe...

Louise ciężko westchnęła. Miała dość kłopotów na głowie i brakowało jej jeszcze tylko buntu towarzyski.

- Cierpliwości, Betty. Jeszcze jedna noc, jeden dzień i dojedziemy do Yorku. Tam nie będziemy już niczego udawać.

Powiedziała to z dużą pewnością siebie, ale wcale nie była o tym przekonana. Nie należało wykluczać, że dopiero w Yorku kłopoty na dobre się zaczną. Wcale nie było

oczywiste, że Catherine Fellowes okaże się łatwa do odnalezienia. Może zresztą już nie żyła.

Nasilający się deszcz coraz bardziej spowalniał jazdę, aż w końcu Louise doszła do wniosku, że pieszo poruszałyby się szybciej. Pan Linton musiał być już o wiele mil przed nimi. Czyżby naprawdę przejrzał jej maskaradę? Jeśli tak, to utrzymywanie pozorów musiało go bawić. Może zresztą to nie ona go interesowała, tylko pan Turner. Mężczyzna wyraźnie czegoś się obawiał, zwłaszcza odkąd zauważył jadący za nimi powóz. Siedział naprzeciwko niej, z ponurą miną próbował coś dostrzec przez splukaną deszczem szybę i przeklinał opóźnienie.

Pola po obu stronach traktu zamieniły się w maziste bajora, z których tylko gdzieniegdzie wystawały kępy trawy. W tej części kraju nie było jeszcze płatnych dróg ani rogatek, a woda z rowów zalewała nierówną nawierzchnię i zamieniała ją w błoto. Woźnica starał się jechać po garbie między koleinami, co oznaczało, że druga para kół zbliżała się niebezpiecznie do rowu. Nic dziwnego, że co pewien czas koła ześlizgiwały się, a pasażerowie na siebie wpadali.

Dylichans posuwał się naprzód coraz wolniej i groziło mu, że lada chwila utknie na dobre. Teoretycznie miał dojechać przed zmierzchem do Doncaster, ale w tym tempie nie było o tym mowy.

- Żałuję, że nie popłynąłem - powiedział zirytowany Greg Turner. - Nie posuwałbym się wolniej, a środek transportu byłby bardziej niezawodny.

- Czy to możliwe? - spytała Louise, znizywszy głos.

- Owszem, po rzekach pływa wiele barek. Tak podróżowano w dawnych czasach, zanim pojawiły się płatne trakty. Żadnego pożytku z tych rogatek, ech.

Potężny wstrząs oznajmił im początek prawdziwych kłopotów. Woźnica robił, co mógł, ale nie był w stanie utrzymać pojazdu w pionie. Koło zapadło się głęboko w błocie, a dylichans niebezpiecznie przechylił. Wszyscy chwycili za siedzenia, pudło znów drgnęło i coraz szybciej zmieniało pozycję. Rozległ się głośny trzask, pasażerowie upadli jeden na drugiego, lądując na bocznej ścianie dylichansu. Konie, przeraźliwie rżąc, usiłowały pociągnąć przewrócony pojazd naprzód.

Rozległ się krzyk woźnicy. Konie przeciągnęły ich jeszcze kilkanaście metrów i stanęły. Louise omal nie rozplakała się. Uczeń leżał na swoim towarzyszu, kapelusz miał na oczach, a nogi w powietrzu. Betty pojękiwała, a Greg Turner klął na czym świat stoi. Małe dziecko głośno krzyczało, za to jego matka była tak oszołomiona, że chyba nie wiedziała, gdzie się znajduje. Niewątpliwie tylko dzięki jej przytomności umysłu synkowi nic się nie stało, sama jednak miała paskudnie wyglądającą ranę na głowie.

Louise szybko usiadła, wzięła od niej dziecko i zaczęła do niego kojąco przemawiać. Greg Turner wstał, nie zważając na to, po kim depcze, i pchnął drzwi znajdujące się teraz nad ich głowami. Otwarto je od zewnątrz a w otworze ukazała się głowa strażnika.

- Są ranni?

- Mam złamaną rękę - jęknęła Betty.

Louise, choć wstrząśnięta, wyszła z wypadku bez szwanku, za co była wdzięczna losowi. Opatrywanie ran prawie na pewno skończyłoby się dla niej zdemaskowaniem. Pamiętała, że chwilowo nie jest kobietą i nie może sobie pozwolić ani na chwilę paniki. Starając się myśleć chłodno i konkretnie, podała więc dziecko strażnikowi. Uczeń, który zdołał już wstać, podciągnął się bez żadnej pomocy, skazując swojego opiekuna na udzielenie pomocy pani Slater. Louise odwróciła się do Betty. Z całych sił starała się wypchnąć ją do góry, podczas gdy strażnik chwycił ją za ramiona i wyciągał przez otwór drzwi, wywołując głośne krzyki poszkodowanej. W końcu Louise została sama i uznała, że musi za wszelką cenę opuścić dyliżans, zanim ktoś wpadnie na pomysł, by i jej pomóc.

Była wściekła. Nie na woźnicę, nie na konie, nawet nie na współpasażerów, lecz na Jonathana Lintona. Przez całą drogę włókł się za nimi, ale właśnie wtedy, gdy potrzebowała pomocy, jego nie było na miejscu. Wiedziała, że to całkiem irracjonalne pretensje, ale i tak zastanawiała się przez cały czas, gdzie, u licha, się podział.

Jonathan miał wrażenie, że czekają już wiele godzin. Stali na niewielkiej drodze, z pewnością używanej tylko przez miejscowe wozy, obsadzonej po obu stronach żywopłotami i odgradzonej od traktu pasem drzew. Wybrał to miejsce właśnie dlatego, że dla przejeżdżających pozostawali niewidoczni. Woda zaczynała jednak sięgać

niebezpiecznie wysoko i Jonathan wiedział, że jeśli wkrótce nie odjadą, nie uda im się ruszyć z miejsca.

- Coś musiało się stać - powiedział do Joego, który schronił się obok niego w pudle. - Powinni byli nas minąć już dawno. Chyba ich nie przegapiliśmy, jak sądzisz?

- Nie wydaje mi się, milordzie. Musiałbym jednak siedzieć na koźle, żeby widzieć wszystko, co dzieje się na trakcie...

- Chciałbyś umrzeć z zimna?

Nawet w pudle Jonathan przemarzył do szpiku kości. Joe, który przedtem powoził skulony w obszernym płaszczu z postawionym kołnierzem, musiał czuć się dziesięć razy gorzej.

- Piękne lato mamy w tym roku - dodał kwaśno Jonathan.

Joe uchylił drzwi i wysunął głowę na zewnątrz.

- Trakt przypomina rzekę - powiedział. - Jeśli zaraz nie pojedziemy dalej, milordzie, utkniemy tutaj na bardzo długo.

Z niepokojem zerknął na konie. Każdego z czwórki przykrył derką, gdy tylko się zatrzymali, ale zwierzęta i tak wyglądały żałośnie. Raz po raz parskały i potrząsały łbami, próbując bronić się przed deszczem.

- Masz rację. Jazda!

- Dokąd, milordzie?

- Dobre pytanie. Chyba z powrotem. Jestem pewien, że jeszcze nas nie minęli.

Joe zeskoczył na ziemię, doczłapał w błocie do koni, zdjął im derki z grzbietów, złożył je w bagażniku, potem podszedł do przodownika zaprzęgu i ujął uzdę.

- Chodźcie, śliczne, pociągnijcie dobrze, kiedy stary Joe prosi, to zaraz wrócimy na trakt.

Nie było mu przyjemnie myśleć, że z każdym ruchem oddalają się od ciepłego zajazdu oraz stajni, do których pozostało im już niewiele mil, ale nie mógł mieć pretensji do swojego pana.

Gdy znaleźli się z powrotem na trakcie, Joe wspiął się na koziół.

- Niech będzie, że to droga, chociaż nawet na pole w Barnet prowadzi lepsza - mruknął.

Jonathan usłyszał go i uśmiechnął się do siebie. Joe był dobrym młodzieńcem, ale lubił sobie pomarudzić, a ponieważ nigdy nie uczono go posłuszeństwa, nie uważał za konieczne cierpieć w milczeniu.

Na wypadek natknęli się niecałe dwadzieścia minut później. Pasażerowie stali na trakcie, konie wyprzężono. Wszyscy bacznie przyglądali się dyliżansowi, jakby samym patrzeniem mogli go doprowadzić do stanu używalności.

Jonathan wyskoczył z powozu i szybko podszedł do Louise. Obok stała Betty i prawą ręką przyciskała drugą kończynę do ciała.

- Coś się komuś stało? - spytał.

Louise miała na końcu języka gniewne: „A gdzie pan się podziewał?”, ale w porę się powstrzymała.

- Betty uszkodziła sobie nadgarstek. Pani Slater straciła przytomność, ale już się ocknęła. Ma paskudnego guza na głowie. Dziecko bardzo się przestraszyło, czemu trudno się dziwić, ale jest całe i zdrowe. Reszta wyszła z wypadku bez szwanku.

- A pan? - spytał.

- Jestem w jak najlepszym zdrowiu.

Jonathan uśmiechnął się. Czyżby tej młodej kobiety nic nie było w stanie wyprowadzić z równowagi? Okazała niezmaćony spokój. Zawołał Joego, żeby pomógł kobietom i dzieciom przesiąść się do powozu, po czym poddał oględzinom dyliżans. Osie wydawały się całe, ale koła po jednej stronie były niewidoczne, tak głęboko zapadły się w błocie.

- Spróbujemy podnieść dyliżans - zakomenderował. - Przyłożymy się wszyscy razem, żeby podeprzeć go głazem albo konarem. Jeśli stanie na kołach i okaże się niezbyt mocno uszkodzony, może uda się dojechać do najbliższej wsi. - Zdjął okrycie i odwrócił się, by złożyć je w powozie. Louise bacznie mu się przyglądała, więc uśmiechnął się do niej. - Proponuję schronienie przed deszczem.

- A kobiety i dzieci, szanowny panie? - spytała. - Poza tym powiedział pan, zdaje się, że mamy razem podnieść dyliżans.

Zaśmiał się z jej zdecydowania.

- Proszę więc poszukać czegoś, co podłożymy pod koła, kiedy już go podniesiemy.

Wrócił do dyliżansu. Przyłączyli się do niego woźnica, strażnik i młody mężczyzna. Pochylili się i z mozołem zaczęli dźwigać pudło.

Louise zauważyła, że Greg Turner wziął spory kamień ze sterty przy drodze, prawdopodobnie służącej na co dzień do wypełniania dziur. Wsunęła zatem pod nią gałąź, którą uprzednio znalazła nieopodal. Jonathan napał na dźwignię i zdołał nieco powiększyć szczelinę między burtą a podłożem.

- Jeszcze coś do podłożenia - zakomenderował.

Louise obróciła się i zauważyła Turnera, zbliżającego się z dużym kamieniem. Po chwili jednak zorientowała się, że mężczyzna wcale nie zamierza podłożyć go pod dyliżans. Trzymał kamień zbyt wysoko, a twarz miał wykrzywioną mściwym grymasem. Joe zauważył niebezpieczeństwo, ale był zbyt daleko i zdążył jedynie krzyknąć. Na szczęście Louise w porę zareagowała. Uderzyła go kamieniem, który niosła Lintonowi, i mężczyzna padł nieprzytomny na ziemię. Jonathan puścił gałąź i odwrócił się zaskoczony. Louise spoglądała przerażona na leżącego napastnika, niepewna, czy go nie zabiła.

- Próbował rozbić panu głowę - wyjaśniła i upuściła kamień.

- Och, Lou - powiedział cicho.

Widział jej drzenie i bardzo chciał ją objąć, pokrzepić, powiedzieć, że w życiu nie widział równie dzielnej kobiety, ale musiał się opanować. Nie tutaj i nie teraz.

- Dlaczego? - spytała, gdy Joe pochylił się nad niedoszłym napastnikiem. - Dlaczego on chciał pana zabić?

- Nie mam pojęcia, ale żyję już dostatecznie długo, by niejednego człowieka źle mi życzył. Jestem pańskim dłużnikiem, Smith. Uratował mi pan życie.

- Czyli jesteśmy kwita - powiedziała, starając się, by zabrzmiało to jak żart. - Pan zrobił wcześniej to samo dla mnie.

- Żyje - oznajmił Joe. - Ma tylko szpetną ranę głowy.

Przewrócił mężczyznę na plecy. Deszcz zmył mu trochę błota z twarzy, a wraz nim również szminkę czy jakiś inny kosmetyk, nadający skórze śniadość. Jego ciemne włosy nagle posiwiały.

- Przecież ja go znam - powiedział nagle Joe.

- Ja też - przyznał Jonathan. - To Jed Black. Ta podróż robi się naprawdę ciekawa.

- Kim jest Jed Black? - spytała Louise.

- Skazaniec, niebezpieczny człowiek. Przed dziesięcioma dniami uciekł z więzienia Newgate. Władze będą bardzo zadowolone, gdy znajdzie się znowu pod kluczem.

Jego słowa przekonały Louise, że Betty ma rację. Ten człowiek musiał być zawodowym tropicielem przestępców. Najpierw wiedział, że tamci dwaj zbójcy są poszukiwani, teraz rozpoznał zbiega z więzienia. Mimo woli poczuła rozczarowanie, że zainteresowanie pana Lintona dyliżansem nie ma nic wspólnego z nią i Betty.

- Za co go skazano? - spytała.

- Za morderstwo i fałszowanie pieniędzy, co jest równoznaczne ze zdradą stanu.

- Morderstwo! - powtórzyła wstrząśnięta, że spędziła tyle godzin w towarzystwie tego człowieka.

- Owszem. Zwiąż go, Joe. Potem musimy koniecznie się stąd wydostać. Dyliżans, moim zdaniem, trzeba zostawić tutaj.

Woźnica nie chciał się zgodzić, bo ponosił odpowiedzialność za pojazd, ale ustąpił, gdy okazało się, że jedna z obręczy jest złamana, a na trzech kołach jechać nie sposób. Szybko ustalono więc, że woźnica ze stróżem dosiądą koni z dyliżansu i każdy z nich weźmie jeszcze po jednym zwierzęciu na postronek. W powozie Jonathana znalazło się miejsce dla pani Slater z dzieckiem, Louise, Betty i samego właściciela. Uczeń ze swoim opiekunem usiedli na koźle obok Joego. Kufry i sakwojaże przytroczono do dachu, a związanego więźnia wsadzono do bagażnika razem z mokrymi derkami.

Louise stwierdziła, że w porównaniu z publicznym dyliżansem w powozie jest znacznie wygodniej. Pasażerowie mieli miejsce do oparcia głowy, miękką wyściółkę na siedzeniach, większe okna. Największą zaletę stanowiło jednak zawieszenie pudła na sprężynach, chroniących choć trochę przed wstrząsami.

Pan Linton nazwał ją „Lou”, co bez wątpienia podsłuchał u Betty. Powiedział to jednak miękko, niemal z czułością. Nie pierwszy raz zastanawiała się, skąd u niej ten szalony pomysł, by podróżować w męskim przebraniu. Nie najlepiej nadawała się na mężczyznę. Była zbyt drobna i kragłości miała w całkiem niewłaściwych miejscach. Czasem zapominała też zniżyć głos.



Pewnie nie zdziwiłoby jej, gdyby Betty miała rację i pan Linton znał już prawdę.

Co gorsza, pozwoliła panu Lintonowi zobaczyć, jak bardzo jest przerażona tym, że rozbiła głowę rzekomemu Turnerowi. Jeszcze nigdy w życiu nikogo nie skrzywdziła. Aż zadrżała na samą myśl o tym, że mogłaby zabić człowieka.

Jonathan to zauważył i uśmiechnął się pod nosem. Był zdecydowany jeszcze przed zakończeniem swojej misji doprowadzić do przeobrażenia pana Smitha w pannę Vail. Chciał traktować Louise jak kobietę, życzliwie i delikatnie, mając nadzieję, że skosztuje smaku kuszących warg i powie jej wreszcie, jaka jest dzielna i urocza.

- Skąd ten uśmiech, panie Linton? - wyrwał go z rozmarzenia głos pana Smitha.

- Mój?

- Tak. Proszę podzielić się z nami tą facecją.

- Uśmiechałem się do tego chłopca. Proszę zobaczyć.

Nie uwierzyła mu. Wiedziała, że lekceważąco o niej myślał, i to bardzo ją rozzłościło. Zapragnęła, by podróż wreszcie dobiegła końca. Miała dość upokorzeń.

## Rozdział czwarty

Było ciemno, gdy dojechali do Tuxford. Nie zobaczyli ani kawałka wsi, bo Joe zajechał prosto na podwórze zajazdu Pod Koroną. Wszyscy wysiedli z powozu zmęczeni, przemoczeni, brudni i głodni. Młody człowiek z uczniem zakończyli tutaj podróż, a dla reszty Jonathan zorganizował nocleg i ogniska, żeby można było wysuszyć ubrania. Zamówił też suty posiłek i posłał po miejscową uzdrowicielkę, która opatrzyła poszkodowanych. Kobieta nałożyła maść na rozcięcie głowy pani Slater i zabandażowała nadgarstek Betty. Zapewniła, że ręka nie jest złamana, a dama tylko ją wykręciła, więc wszystko wróci do normy za dwa, trzy dni, gdy zejdzie opuchlizna. Betty dostała też solidną porcję kordiału Godfrey'a, który miał wywołać senność. Nie chciała zjeść kolacji, więc Louise zostawiła ją śpiącą w ich pokoju, a sama zeszła do jadalni.

Ledwie usiadła do posiłku, gdy przyłączył się do niej Linton. Przemoczony szustokor wymienił na inny, ciemnozielony ze skórzanymi guzikami.

- Jak czują się inwalidzi? - spytał i natychmiast zwrócił uwagę, że pan Smith nie zmienił stroju, co prawdopodobnie oznaczało, że innego nie ma.

- Dochodzą do siebie. - Louise znowu poczuła zakłopotanie pod wpływem spojrzenia Lintona. - Żonę zostawiłem śpiącą w pokoju.

Jonathan wiedział, że to zdanie miało posłużyć zaakcentowaniu męskości pana Smitha.

- A jak pan zniósł te przygody?

- Czuję się bardzo dobrze, dziękuję.

- Nie ma pan mokrego szustokoru?

- Nie. Wysuszyłem go przy ogniu w pokoju.

- Miejmy nadzieję, że pan się nie przeziębii.

- Jestem zdrów jak ryba. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz chorowałem. - Miała nadzieję, że to nie zwykła fanfaronada. W jej obecnym położeniu nie było czasu na chorowanie. Szybko zmieniła temat. - Co zrobił pan z więźniem?

- Przekazałem go miejscowemu konstablowi. Został zamknięty w więzieniu, a strażnik będzie pilnował go do rana, kiedy zostanie przewieziony z powrotem do Newgate.

- Jak?

To pytanie dręczyło go, odkąd związał tego zbira. Nie chciał opuścić Louise, żeby osobiście konwojować więźnia do Londynu, ale we wsi też nie mógł go zostawić. Jed Black słynął z ucieczek, więc i miejscowe więzienie opuściłby szybciej, niż ktokolwiek zdążyłby się zorientować.

- Trzeba go przewieźć w kajdanach do najbliższego dużego miasta i oddać w ręce sędziego, który zorganizuje powóz przystosowany do transportu więźniów - powiedział.

- Czy nie odwiezie go pan osobiście? Zrozumiał, że panna martwi się o resztę swojej podróży. Czyżby był dla niej użyteczny? Z pewnością potrzebowała opiekuna. Wydawała się mieć talent do wpadania w tarapaty, więc nie tylko nie chciał jej opuścić, ale zważywszy na to, co obiecał jej rodzicom, powinien bezpiecznie dostarczyć ją do domu. To było teraz jego główne zadanie. Niestety, Jedem Blackiem trzeba było się zająć bez względu na to, co sam Jonathan o tym sądził.

- Będę eskortował go do Lincoln. Miasto na pewno dysponuje odpowiednią sumą, by zapewnić dalszy bezpieczny środek transportu.

- Aha.

To utwierdziło ją w przekonaniu, czym zajmuje się Linton. W normalnych okolicznościach nie byłoby to dla Louise problemem, może nawet zainteresowałaby się jego pracą i spróbowała namówić, żeby coś o niej opowiedział. Poza tym wcale nie była pewna, czy Luke nie złożył zawiadomienia o kradzieży rzeczy z domu, przecież nie wiedział, że to ona je zabrała.

Myśl o tym, że mogłaby być konwojowana do więzienia tak samo, jak Jed Black, wydała jej się przerażająca. Gdyby do tego doszło, jej ojciec, a myślała o wielebnym Vailu, wyrzekłby się jej z pewnością, a wtedy nie miałaby już żadnej życzliwej jej duszy na świecie. Z drugiej strony, w czasie pobytu pana Lintona w Lincoln miała szansę zatrzeć za sobą ślady w Yorku. Przecież nie znał celu jej podróży.

- Ciekawe, jak długo potrwa naprawa dyliżansu.

- Jestem przekonany, że na miejscu naprawić go nie można. O ile wiem, podwozie ma zostać wysłane do kołodzieja.

- Chce pan powiedzieć, że jesteśmy tutaj uwięzieni?

- Gospodarz zajazdu powiedział mi, że pojutrze ma przyjechać następny dyliżans i przy odrobinie szczęścia znajdą się tam jakieś miejsca.

- Rozumiem.

Dwa dni?! - pomyślała z przerażeniem. Ciekawe, czy w tym czasie pan Linton zdąży pojechać do Lincoln i wrócić?

Wydawał się czytać w jej myślach, bo nagle uśmiechnął się.

- Jest jeszcze jedno rozwiązanie - powiedział. - Skorzystają państwo z mojego powozu. Ja go nie będę potrzebował, jadąc do Lincoln. Wynająłem sobie konia...

- Ale...

- Proszę nie odmawiać - przerwał jej. - Pani Slater, z którą o tym rozmawiałem, z wdzięcznością przyjęła propozycję. Mąż czeka na nią w Doncaster, a ona już jest spóźniona. Nie chce, żeby niepotrzebnie się niepokoił. - Urwał i przesłał jej oszałamiający uśmiech. - Pani Slater wolałaby jednak nie jechać sama, więc liczy na pana towarzystwo. Poza tym w Doncaster pani Smith będzie mogła zasięgnąć porady medyka w sprawie nadgarstka.

- Czy nie boi się pan powierzyć mi tak wspaniałego pojazdu? - spytała. - Nie znam się na powozach i ich utrzymaniu.

- Zaskakuje mnie pan - odparł. - Ktoś, kto dzielnie stawia czoło w pojedynku, jest nieustraszoną podróżnikiem, bez mrugnięcia okiem znosi napad zbójców i potrafi szybko działać w nagłej sytuacji, musi niewątpliwie mieć wszystkie możliwe talenty, jakich potrzebuje mężczyzna, czyli również wiedzieć co nieco o powozach!

Czy ironia oznaczała, że Linton wie o przebraniu?

Spróbowała wydobyć z siebie najniższy głos, na jaki było ją stać.

- Pan sobie ze mnie dworuje. I tym razem to chyba ja powinienem zażądać satysfakcji!

- Nie, błagam, tylko nie to - powiedział ze śmiechem. - Bardzo przepraszam.

- Przeprosiny przyjęte - odparła z ulgą.

- A wracając do kwestii powozu... - ciągnął. - Wcale nie oczekuję, że będzie pan nim powoził. Tym zajmie się Joe. Jest młody, ale oddałbym w jego ręce własne życie.

- I nasze także - dodała kwaśno.

- To już zależy od was, ale zapewniam, że jeśli mu nie zaufacie, poczuje się głęboko urażony.

- Wcale tego nie powiedziałem! - Uświadomiła sobie, że wykopała pod sobą kolejny dołek. - Naturalnie, z wdzięcznością skorzystam z pańskiego powozu i woźnicy aż do Doncaster.

- A więc ustalone. I proszę skosztować tego puddingu. Jest pyszny - powiedział, podsuwając talerz z potrawą.

Gdy wrócił do swojego pokoju, zajął się ponownie raportem. Opisał aresztowanie Jeda Blacka i przygotowania, by przetransportować go z powrotem do Newgate. Ani słowem nie wspomniał jednak o pannie przebranej za mężczyznę, o jej pięknych orzechowych oczach z zielonymi plamkami, o lśniących jak miedź włosach i alabastrowych dłoniach ani o jej koralowych wargach i piskliwym głosie, który bardzo go śmieszył, ale i budził pragnienie, by ją objąć i pocałunkami skłonić do wyznania prawdy. Krótko mówiąc, nie napisał ani słowa o pannie Louise Vail.

Następnego ranka Louise obudziła się wcześnie. Wstała i podeszła do okna. Po deszczu nie było śladu i świeciło piękne słońce. Spojrzała na okolicę. Odniosła wrażenie, że co drugi budynek jest zajazdem, a w dodatku wszystkie wydawały się stosunkowo nowe. Droga była niemiłosiernie błotnista, a na polach i łąkach, widocznych za zabudowaniami, stała woda. Wyglądało na to, że przejeżdżający tędy podróżni są głównym źródłem utrzymania mieszkańców.

W pewnej chwili ujrzała pana Lintona, który szedł przez podwórze do osiodłanego już konia. Zanim go dosiadł, obrócił się, a gdy zauważył ją w oknie, uniósł dłoń do ronda kapelusza, po czym wziął od stajennego wodze, zręcznie wskoczył na siodło i odjechał.

Przez chwilę śledziła go wzrokiem. Jak mogła tak się uzależnić od tego? Spodziewała się jego pomocy, wręcz oczekiwała jej. Uświadomiła sobie, że polega na panu Lintonie właśnie tak, jak kobieta zwykła polegać na mężczyźnie, i że w innych

okolicznościach łatwo mogłaby się w nim zakochać. Poczuli się tak wstrząśnięta tą myślą, że natychmiast udzieliła sobie surowej reprimendy. Nie wolno jej było pozwolić, by coś odwiodło ją od głównego celu podróży.

Linton na szczęście nie mógł znać jej myśli, a mimo to nieustannie jej pomagał i chyba zamierzał robić to dalej, skoro oddał powóz do ich dyspozycji. Wciąż jednak dręczyło ją pytanie dlaczego.

- Pan Linton pożyczył nam powóz, żebyśmy mogli dojechać do Doncaster - powiedziała Louise, kiedy Betty pomagała jej w porannej toalecie. - Joe nas zawiezie.

- To dobrze - ucieszyła się Betty. - Powóz jest sto razy wygodniejszy niż dyliżans. Będziemy podróżować w wielkim stylu.

Miała rację. Powóz naprawdę był luksusowy i zupełnie nie pasował do prostego stroju pana Lintona i jego swobodnego zachowania. Przystawał bardziej do arystokraty, i to wybrednego. Może nagrody, jakie zgarniał pan Linton za łapanie przestępców, wystarczały na wystawne życie? Jeśli tak, kontynuowała rozważania Louise, to dlaczego nie postarał się o odpowiednią garderobę? I dlaczego nie zamierzał wrócić prosto do Londynu? Po co pożyczył im powóz? To był naprawdę wyjątkowo zagadkowy człowiek. Zapewne i on podróżował pod fałszywym nazwiskiem.

- Zastanawiam się, jak taki człowiek, całkiem przeciętnie ubrany, zdobył tak wytworny pojazd - powiedziała do Betty, gdy schodziły na śniadanie.

- On wcale nie jest przeciętnym człowiekiem - powiedziała Betty.

- Jak to?

- Joe powiedział, że jego pan jest dżentelmenem.

- To oczywiste - powiedziała ze złością Louise. - Tego nigdy nie kwestionowałem.

Joe czekał na nie przy stole. Zamówił jajka z szynką, grzanki i kawę, o czym powiadomił je natychmiast po powitaniu. Podczas gdy jadły, poszedł przygotować powóz i załadować ich bagaże.

Betty miała rację. Podróż powozem jest wygodniejsza, mimo że drogi nie poprawiły się ani na jotę. Louise podejrzewała, że jej towarzyszka wypila przed wyjazdem sporo jakiegoś środka pobudzającego, bo była w bardzo gadatliwym nastroju. Niezniechęcona monosylabami swojego męża, skupiła uwagę na pani Slater i jej synku

imieniem Will. Zaczęła go łaskotać, prowokując głośne chichoty. Louise uśmiechnęła się do nich, ale myślami była przy Lintonie. Jego obecność w powozie była dla niej niemal namacalna. Wyobrażała sobie, że Jonathan siedzi obok niej, ocierają się delikatnie kolanami, a do ucha szepcze jej słowa, od których okrywa się rumieńcem.

Blżej Doncaster ruch na trakcie nasilił się. Do miasta zmierzały dyliżanse, powozy i wielu ludzi konno.

- Wyścigi! - krzyknęła podniecona Betty. - Przyjeżdżamy akurat na wyścigi!

- Doncaster z tego słynie - wtrąciła pani Slater. - W dni wyścigów do miasta zjeżdża mnóstwo ludzi.

Nie wróżyło to dobrze poszukiwaniom kwater. Przy torze wyścigowym znajdującym się niedaleko wjazdu do miasta Joe musiał zwolnić do stopa. Doncaster okazało się całkiem duże. Miało wybrukowaną główną ulicę i kilka zajazdów. Louise liczyła, że nie będzie w nich zbyt tłoczno.

Powoli przyzwyczajała się do noclegów w takich miejscach, a chociaż tym razem nie było pana Lintona, który zająłby się organizacją pobytu, Joe skutecznie go zastąpił. Pożegnali panią Slater i Willa, a potem udali się do zajazdu Pod Aniołem. Louise i Betty zaprowadzono do pokoju na samej górze, ostatniego wolnego. Okazał się droższy, niż Louise przewidywała, ale zniosła to mężnie, zdecydowana nie prosić Joego o pomoc.

Louise zmyła z siebie brud po podróży, korzystając z tego, że przyniesiono im ciepłą wodę, a potem pomogła Betty, wciąż borykającej się z bolącym nadgarstkiem. Obie były jednak bardzo zmęczone.

- Zjemy chyba lekką kolację w pokoju - zaproponowała Louise, usiłując spleść potargane włosy w harcap. - Tak będzie łatwiej.

- Nie, Lou. Chcę zejść do jadalni. Joe na nas czeka.

- Betty, obawiam się, że stanowczo za bardzo polubiłaś tego młodego człowieka. Pamiętaj, że jesteś moją żoną.

- Zmęczyła mnie już ta maskarada - powiedziała buntowniczym tonem Betty. - Chciałabym, żeby pani wreszcie z tym skończyła. To nie ma sensu, skoro i Joe, i pan Linton doskonale wiedzą, że jesteśmy dwiema kobietami.

- A skąd wiesz, że wiedzą? - spytała ostro Louise.

- Ze słów Joego. Zawsze mówi „pan Smith” albo „twój mąż” takim tonem, jakby w ogóle w to nie wierzył, a potem wybucha śmiechem. On mnie lubi, wiem to i...

- Och, Betty, nie możemy zniecka stać się kim innym. Wtedy przyznamy się do oszustwa, a gdyby pan Linton był kimś w rodzaju detektywa z Bow Street...

- Nie jest. Joe mówi, że nie jest.

- A co jeszcze Joe powiedział o swoim panu? - Louise nie potrafiła opanować ciekawości.

- Nic. Tylko tyle, że jest dżentelmenem i najlepszym chlebodawcą, jakiego można mieć. Joe zrobiłby dla niego wszystko. I za nic nie naraziłby się na jego niezadowolenie, więc na pewno nie okaże mi zbyt wiele przyjaźni, bo to nie spodobałoby się panu Lintonowi, ponieważ niby jesteśmy małżeństwem.

- Płaczesz się, Betty. Przed chwilą powiedziałaś, że pan Linton i Joe wiedzą, że nie jestem mężczyzną - roześmiała się Louise.

- Och, nie rozumiesz? Wiedzą, ale muszą udawać, dopóki i ty udajesz. Gdybyś skończyła z tą przebieranką, oni też przestaliby ją podtrzymywać. Pozwól mi powiedzieć Joemu...

- Nie, Betty. Jutro zapytam o dylizansę do Yorku i wyruszymy dalej w podróż zgodnie z planem. Udawanie małżeństwa jest dla nas bezpieczniejsze. Nie mówmy o tym więcej.

Łatwo było wydawać polecenia, ale Betty pojechała z nią jako przyjaciółka, nie służąca, i choć za siebie nie płaciła, to nie miała żadnych dodatkowych korzyści.

- Jeśli chcesz zejść na kolację, lepiej zrobmy to jak najszybciej, póki jeszcze zostało cokolwiek do zjedzenia.

Podczas kolacji wyszło na jaw, że Betty bardzo chce iść nazajutrz na wyścigi, a Joe zgodził się im towarzyszyć. Louise nie miała serca odmówić, zwłaszcza że przed chwilą srogo zrugła towarzyszkę.

- Kiedy pańskim zdaniem przyjedzie pan Linton? - spytała Louise Joego.

- Jutro na pewno nie - odpowiedział i nałożył Betty jedzenie na talerz, choć Louise uświadomiła sobie, że to jej obowiązek. - Może pojutrze, choć przypuszczam, że raczej dopiero dzień później. Czekać na niego, na pewno możemy przyjemnie spędzić czas.



Louise, która była znużona podróżą nie mniej niż Betty i też miała ochotę zatrzymać się na pewien czas w jednym miejscu, ustąpiła. Postanowiła, że wyjadą dopiero po wyścigach. Betty tymczasem zdąży odwiedzić aptekarza i pokazać mu swoją obolałą rękę. Doncaster opuszczą jednak przed powrotem pana Lintona.

Jonathan denerwował się powolnym tempem jazdy. Wóz, którym transportowano Blacka, był ciężki i dostatecznie solidny, by zniechęcić więźnia do prób ucieczki. Ciągnęła go szóstka koni. Dwaj mężczyźni siedzieli na koźle, a dwaj jechali przy wozie razem z Jonathanem. Wszyscy byli dobrze uzbrojeni. Sędzia z Tuxford początkowo śmiał się ze środków ostrożności, jakich zażądał Jonathan. Przecież do Lincoln było zaledwie dwadzieścia mil. Gdy jednak poznał przeszłe dokonania Blacka i obejrzał list gończy, zrozumiał, że to nie byle złodziejasek, lecz brutalny i bezlitosny przestępca, i zgodził się na eskortę.

Ślimacza jazda w tempie dwóch mil na godzinę pozostawiła Jonathanowi mnóstwo czasu na myślenie, a wszystkie jego myśli skupiały się wokół Louise Vail, która była zupełnie nadzwyczajną kobietą. Nie miał pojęcia, dlaczego opuściła dom i włożyła to bezsensowne przebranie. Powinien był dawno ujawnić jej postępek i odwiedzić ją do domu. Tymczasem dowiedział się tylko tyle, że panna Louise włada białą bronią, umie grać w wista i ma mnóstwo odwagi, w dodatku zamiast ją zdemaskować, włączył się do prowadzonej przez nią gry. Podejrzewał jednak, że cała sprawa ma bardzo poważne tło. W oczach panny Vail dostrzegł strach i niepewność. Nie mógł się doczekać, kiedy znów ją zobaczy, bo był zdecydowany wyciągnąć wreszcie od niej całą prawdę.

Zrobiło się ciemno, zanim jeszcze dotarli do celu, więc cały konwój musiał zatrzymać się w karczmie tuż przed Lincoln. Spędzili tam bardzo męczącą noc w saloniku, w którym zajęli kanapy, stół i podłogę. Jednocześnie trzymali na zmiany straż przy wozie, w którym był uwięziony Black. Wypuszczono go tylko na kilka minut, by mógł załatwić swoje potrzeby, ale przez cały czas pilnowało go dwóch uzbrojonych ludzi.

Jonathan stanął na warcie, gdy przyszła jego kolej, i przyjął ten obowiązek z ulgą. W saloniku panowała nieznośna duchota, a ludzie sędziego chrapali jak stado świń. Chodzenie dookoła wozu było znacznie przyjemniejsze, zwłaszcza że mógł rozmyślać o

Louise. Nie spodobało mu się więc, gdy Black zawołał go przez wąską szparę między deskami.

- Hej, łapaczu, ile spodziewasz się za mnie dostać? Sto funtów? Tysiąc? Na pewno mogę dać ci więcej.

- Nie wątpię - odparł obojętnie Jonathan. - Nie jestem jednak zainteresowany.

- Każdy człowiek ma swoją cenę - odparł cynicznie.

Jonathan zastanawiał się, jak daleko Black jest się gotów posunąć, a przede wszystkim, czy któregoś ze strażników nie skusi w końcu taka oferta. Na wszelki wypadek należało mieć na nich oko tak samo, jak na więźnia.

- Śpij i daj mi spokój.

- Jeśli pozwolę odwieźć się do Newgate, będę mógł spać bez końca. Długo, długo. Teraz muszę myśleć, jak się stąd wydostać.

- Szkoda twojego zachodu. Może raczej spróbuj obudzić w sobie skruchę.

W odpowiedzi Black chrapliwie się roześmiał. Potem zapadła cisza.

Po skończonej zmianie Jonathan nie wrócił do karczmy. Zostawił swojego następcę przy wozie, a sam przechadzał się tam i z powrotem po trakcie. Noc była pogodna, a niebo gwiazdziste. Zastanawiał się, czego nauczy go przygoda z Louise Vail. Pierwszy raz poczuł, że przeszkadza mu przynależność do Klubu Dżentelmenów Piccadilly. Wolałby zająć się prywatnymi sprawami, niż konwojować przestępcę, by oddać go w ręce sprawiedliwości. Z drugiej strony to właśnie klub powierzył mu odnalezienie Louise i oddanie jej pod opiekę rodziców. Pierwszy z tych dwóch celów już osiągnął. Powinien był teraz jak najszybciej oznajmić pannie Vail, że gra skończona i zabiera ją do domu, nie mógł jednak niczego zrobić wbrew jej woli. Pozostawało mu nie tracić jej z oczu i czekać, a potem spróbować namówić ją do powrotu.

Co odkryje, jeśli dotrze za nią do celu jej podróży? Czyżby mroczny sekret, który skompromitowałby pannę Vail w oczach towarzystwa? Początkowo spodziewał się, że wyprawa to kaprys młodej panny, pretekst do przygody, której zakazałoby jej rodzice. Teraz jednak w to nie wierzył. Panna niewątpliwie została obdarzona przez naturę pomysłowością i temperamentem, nie sądził jednak, by bez powodu niepokoiła rodziców.

W gwiazdach nie znalazł odpowiedzi na nurtujące go pytania. Teraz jednak postanowił znaleźć jakieś znośne miejsce do spania, żeby do rana odzyskać siły. Wrócił więc do karczmy i wyciągnął się na kanapie, ale ponieważ była twarda i niewygodna, nie pozwoliła mu na nic innego niż na drzemkę.

Louise poszła z Betty do aptekarza, który zapisał jej jakiś lek i unieruchomił rękę przy klatce piersiowej. Zapewnił, że za dzień lub dwa opatrunek będzie można zdjąć. Betty nie narzekała, tak bardzo była podniecona zbliżającymi się wyścigami.

Mimo że Louise daleko było do entuzjazmu Betty, także ona wyczekiwała startu. Już od rana przy torze tłoczyli się właściciele koni, dżokeje, a przede wszystkim widzowie, którzy przybywali powozami, bryczkami, konno i pieszo. W kramach sprzedawano napoje i przekąski, a mężczyźni otaczali ciasnymi wianuszkami bukmacherów przyjmujących zakłady. Wszędzie głośno było od śmiechu, rozmów i muzyki. Louise nigdy jeszcze nie była na wyścigach. Na to ojciec z pewnością by jej nie pozwolił.

W towarzystwie Joego podeszły bliżej do toru, by obejrzyć start do pierwszej z czterech gonitw. Jeszcze nie tak dawno koni dosiadali sami właściciele, ostatnio jednak, chcąc dać koniom większe szanse, zaczęli zatrudniać chłopców lub mężczyzn drobnej budowy. - Podoba mi się ten kasztan - powiedział Joe. - Wygląda na wytrzymałego. Zaryzykuję i postawię na niego pół korony.

- Ja też - powiedziała Betty, sięgając do sakiewki. - Niech pan postawi w moim imieniu szylinga na tego samego konia.

Joe spojrzał na Louise.

- A pan, panie Smith?

Czyżby Betty miała rację? Również w jego ustach to nazwisko zabrzmiało jak żart.

- Nie na kasztana. Mnie się podoba ten wielki kary ogier. Jak on się nazywa?

- Czarny Książę.

- Wobec tego postawię na jego zwycięstwo pół gwinei.

- Straci je pan - powiedział Joe z politowaniem. - On jest niewiele lepszy niż szkapa od wozu. Proszę spojrzeć, jakie ma mięśnie pośladków.

- Spojrzałem - odparła. - Także na kłęby i na głębokość klatki piersiowej. On wciąż będzie walczył, gdy pańskiemu faworytowi dawno zabraknie sił.

Wsunęła rękę do kieszeni w poszukiwaniu sakiewki. Z niepokojem zauważyła, że z każdym dniem staje się lżejsza. Stanowczo nie należało uprawiać hazardu, ale nie wypadało się już wycofać. Tak samo jak wtedy, gdy przyjęła wyzwanie pana Lintona.

- Proszę postawić również za mnie.

Joe wziął pieniądze i znikł, gdy konie zbierały się do pierwszego okrążenia. Gonitwa składała się z czterech osobnych okrążeń, a nagrodę dostawał ten koń, który wygrał ich najwięcej. Wytrzymałość była więc nie mniej ważna niż szybkość. Nie byłoby rozropne stracić wszystkie siły na pierwszym okrążeniu, bo trzeba było zachować je również na trzy kolejne. Louise odniosła wrażenie, że jej faworyt to właśnie potrafi.

W stawce dwudziestu koni kasztan wygrał pierwsze okrążenie, przyszedł drugi na następnym, ale podczas dwóch pozostałych wcale nie było go widać, ku oburzeniu Joego. Tymczasem Czarny Księżę przywłókł się czwarty na początku, potem zajął miejsce tuż za kasztanem, wygrał trzecie okrążenie o łeb, a ostatnie o trzy długości. Louise schowała do kieszeni wygraną z triumfalnym uśmiechem na twarzy. W tej chwili przypomniała sobie o panu Lintonie. Im więcej wygrywała, tym mniej była od niego zależna. To była korzyść większa od pieniędzy.

Podeszła do lin, by obejrzeć drugi wyścig, i dopiero po chwili zorientowała się, że jej towarzyszki nigdzie nie widać. Joe również znikł. Z trudem obroniła się przed atakiem paniki. Stała w samym środku tłumu, musiała więc znaleźć miejsce, z którego mogłaby rozejrzeć się za zaginionymi. Miała nadzieję, że Betty i Joe nie wpadli na pomysł ucieczki we dwoje. Przestraszona, pełna niepokoju i bardzo zła chodziła tam i z powrotem, mierzając wzrokiem tłum i zaglądając do łóż.

Kiedy była już bliska rozpaczy i myślała o opuszczeniu toru wyścigowego, zobaczyła, że Betty i Joe właśnie się zbliżają. Joe prowadził jednego z koni pana Lintona, którego już zdążył osiodłać.

- Joe pojedzie w jednym z wyścigów - zawołała do niej Betty. - Skoro wygrywa taka szkapa od wozu, jak Czarny Księżę, tym bardziej może to zrobić Kwadrans Lintona.

- Kwadrans? A cóż to za imię? - spytała, odetchnąwszy z ulgą.

- Jedna czwarta zaprzęgu, który nas tutaj przywiózł - powiedział Joe z uśmiechem.

- To najlepszy koń z całej czwórki.

- A co powie na to pan Linton? Przecież ten koń nie jest wyćwiczony do jazdy pod jeźdźcem.

- Oczywiście, że jest. Na koniach zaprzęgowych często jeżdżą amazonki. Przyda mu się trochę ruchu. Wczoraj tak się włókł, że szkoda słów.

- Chcę na niego postawić - powiedziała Betty.

- A ty, Lou?

- Zgoda, ja też postawię pół gwinei, ale pod jednym warunkiem, Joe. Nie będzie pan zmuszał zwierzęcia do wysiłku przekraczającego jego możliwości. Za coś takiego pan Linton wygarbowałby panu skórę. Jestem pewna, że nie życzy sobie opóźnień w podróży z powodu niesprawnego konia.

Joe wygrał bez trudu, po czym szybko oddalił się, żeby wyszczotkować konia i odstawić go do stajni. Louise i Betty zdążyły tymczasem odebrać wygrane, a gdy były już w drodze powrotnej do zajazdu, Betty postanowiła powiedzieć, co myśli.

- Panno Louise - zaczęła. - Nie życzę sobie dalej tego ciągnąć. Chcę być Betty Rayment, czyli sobą, a nie panią Smith. Nie rozumiem, dlaczego nie możemy przestać udawać.

- Rozumiem, że chodzi ci o Joego Pottona.

- Mnie się wydaje, że postępujemy bardzo niewłaściwie. Wykorzystujemy pana Lintona i Joego i jesteśmy wobec nich nieuczciwie. Ja nie czuję się z tym dobrze. Opuszczając dom, ani przez chwilę nie sądziłam, że jedziemy tak daleko. Zmęczyłam się podróżą i ciągłymi zmianami miejsc. Chcę odpocząć.

Louise westchnęła.

- Ja też, Betty, ale to jeszcze niemożliwe.

- Dlaczego nie? Wystarczy powiedzieć prawdę panu Lintonowi.

- To nie jest sprawa pana Lintona.

- Też coś! On się nami opiekuje. Pilnuje, żeby nam było jak najwygodniej, pożycza piękny powóz, a pani mówi, że to nie jego sprawa. Nie wiem jak pani, ale ja mam wyrzuty sumienia.

Louise szybko rozejrzała się dookoła, ale na szczęście nie było nikogo, kto mógłby podsłuchać rozmowę.

- Myślisz, że ja nie mam? - syknęła. - Wydaję ci się taką niewdzięcznicą, która bierze wszystko, co pan Linton nam daje, i nie zamierza zaproponować niczego w zamian?

- Mnie się widzi, że właśnie tak pani robi.

Louise nie umiała zaprzeczyć.

- Nic innego mi nie pozostaje. Pan Linton zajmuje się łapaniem przestępców, nawet jeśli inaczej to nazywa, a ja mam na sumieniu więcej niż tylko oszustwo. Zabrałam z domu ubranie, szpadę i pistolet, a to czyni mnie w oczach prawa złodziejką.

Nie była pewna tego, co mówi, ale musiała przekonać Betty. Tylko w ten sposób mogła zapewnić sobie lojalność towarzyszki i odwieść ją od wyznania prawdy Joemu.

- Żałuję, że zgodziłam się pojechać - jęknęła Betty. - Pani nazwała to przygodą, wycieczką, która nikomu nie wyrządzi żadnej krzywdy. Nie mówiła pani niczego o kradzieżach. A kiedy wszystko wyjdzie na jaw, część winy spadnie na mnie, bo przecież pani pomagałam.

- To bardzo prawdopodobne - przyznała Louise. - Dlatego musimy wyruszyć w drogę, zanim pan Linton wróci z Lincoln. Gdyby nie ten człowiek, który próbował go zabić, nie nadarzyłaby nam się taka okazja! Musimy z niej skorzystać.

Betty roześmiała się.

- Pani nie mówi poważnie.

- Jak najpoważniej! I nie rozmawiajmy już o rezygnowaniu z dalszej podróży. Musimy wsiąść do jutrzejszego dyliżansu. - Uściskała Betty. - Nie martw się. Kiedy wrócimy do domu, wszystko rodzicom wytłumaczę i obu nam się upieczę.

- Nie możemy od razu jechać do domu?

- Nie, najpierw muszę załatwić to, po co jadę.

- Czyli co?

- Odwiedzić miejsce mojego urodzenia. Powiedziałam ci to na samym początku.
- Po co? Dlaczego to jest takie ważne? I dlaczego musi to pani zrobić potajemnie?
- Bo tak - odparła. - Błagam cię, Betty, nie zawieź mnie. Do Yorku jest już tak

niedaleko...

- I tam skończymy tę całą maskaradę?

- Prawie.

Louise nie miała pojęcia, jak bardzo zbliżyła się tą odpowiedzią do prawdy. Koniec podróży niekoniecznie oznaczał koniec wyprawy. Być może przestaną ciągle zmieniać miejsce pobytu, ale będą musiały jeszcze zdobyć informacje. Nie umiała przewidzieć, ile czasu może to zająć.

Obiad zjadły z Joem. Betty była wyjątkowo milcząca, a potem powiedziała, że jest zmęczona i musi się położyć.

- Myślę, że i mnie dłuższy sen dobrze dzisiaj zrobi. Dobranoc, panie Potton - powiedziała po chwili Louise.

- Dobranoc państwu.

Joe uśmiechał się od ucha do ucha. Louise pomyślała złośliwie, że nazajutrz nie będzie mu do śmiechu, gdy zorientuje się, że został sam i musi tłumaczyć się przed Lintonem.

Plan Louise spalił jednak na panewce, gdy odkryła, że jedyny dyliżans, odjeżdżający o wczesnej godzinie był pełen ludzi wracających z wyścigów. Razem z Betty chodziły po głównej ulicy z sakwożażami, szukając innej firmy przewozowej, ale bez skutku.

- Musimy wrócić i poczekać na pana Lintona - powiedziała z nadzieją Betty.

Louise toczyła wewnętrzny spór. Nie zamierzała się poddać, będąc tak blisko odpowiedzi na dręczące ją pytania. Gdyby okazało się, że jest dzieckiem z nieprawego łoża, zostałaby wykluczona z eleganckiego towarzystwa i straciłaby nadzieje na dobre zamążpójście, co nieoczekiwanie nabrało dla niej znaczenia, kiedy poznała pana Lintona.

- Nie. Znajdziemy innego przewoźnika i podjedziemy do następnej miejscowości. Może tam znajdziemy wolne miejsca w dyliżansie.

Zbliżyły się do budynku, który okazał się stajnią. Właśnie ładowano przed nim kryty wóz.

- Jedziecie na północ? - spytała Louise starego człowieka dźwigającego worek mąki.

- Mogę was podwieźć do Barnby.

- Gdzie to jest?

- Pięć mil dalej, po drodze do Selby.

Nazwa tego miejsca nic Louise nie mówiła.

- Czy to jest po drodze do Yorku?

- Ani chybi po drodze.

- Wobec tego pojedziemy z wami, jeśli można.

Mężczyzna pomógł wsiąść Betty, a Louise w porę przypomniała sobie, że powinna wsiąść sama, więc zajęła miejsce obok rzekomej żony na workach z mąką, tuż za siedzeniem woźnicy.

Wyjechali z miasta główną ulicą i znaleźli się znów na Wielkim Trakcie Północnym. Louise raz po raz zerknęła za siebie, podświadomie spodziewając się powozu pana Lintona. Przyzwyczaiła się do jego asysty tak bardzo, że dziwnie się czuła, kiedy nie było go z nimi. Wkrótce jednak skręcili z traktu na wschód i wóz zaczął rzucać nie na żarty.

- Dokąd jedziecie? - spytała woźnicę, starając się nie zdradzać niepokoju.

- Przecież mówię, że do Barnby. Rozwożę zapasy do wsi w okolicy i odwożę do Doncaster wszystko, czego tam sobie życzą.

- Aha.

Wkrótce stało się jasne, że drogi łączące te wsie są mało używane, a znaczą je jedynie wyjeżdżone koleiny. Nie wydawało się prawdopodobne, by pan Linton wpadł na pomysł, by szukać ich w tym miejscu. Zaczęła się zastanawiać, co będzie, jeśli wóz utknie. Betty sprawiała wrażenie, jakby myślała o tym samym.

- A jak w Barnby, dobry człowieku? - zwróciła się do woźnicy. - Czy tam jest zajazd?



- Jest karczma, ale dyliżansu nigdy nie widziałem. Zawsze wożę ludzi na dyliżans do Doncaster.

- Stamtąd wyjechaliśmy. Nie chcemy tam wracać.

- Moglibyśmy wrócić - odważyła się wtrącić Betty.

- Nie. Musimy jechać na północ. - Louise wróciła do wypytywania woźnicy. - Powiedzieliście, że tędy wiedzie droga do Yorku.

- A tak, tylko musicie iść.

- Iść?! - pisnęła przerażona Betty. Woźnica roześmiał się szorstko.

- Można jeszcze rzeką. Wpada do Ouse, więc i tamtędy da radę do Yorku.

Louise rzeczywiście zauważyła, że co pewien czas ich droga zbliżała się do rzeki. Widziała na wodzie barki i łodzie żaglowe i przypomniała sobie, co mówił ten odrażający przestępca Black.

- Proszę wobec tego wysadzić nas nad rzeką - powiedziała.

- Jak to nie ma śladu? - spytał groźnie Jonathan, zwracając się do Joego. - Kazałem ci się nimi opiekować.

- Przecież opiekowałem się, tylko do głowy mi nie przyszło, że cichcem się wyniosą, zanim ktokolwiek wstanie. Szukałem wszędzie, ale nie znalazłem nikogo, kto by coś widział. Pytałem przy dyliżansie i we wszystkich zajazdach. W dyliżansach nie było miejsc, bo ludzie wracali z wyścigów.

- Bagaż też znikł? - spytał Jonathan.

- Tak, a rachunek został zapłacony.

Jonathan szpetnie zaklął. Wszystko przez Blacka, pomyślał gorzko. Drab okazał się godzien swojej złej sławy i przez noc zdołał wybić dziurę w podłodze wozu. Kiedy strażnik wszedł do karczmy, żeby zawołać zmiennika, który wciąż smacznie spał na podłodze, Black niepostrzeżenie się wydostał i zaczął uciekać przez pola. Szukali go przez cały ranek. Dopiero późnym popołudniem udało im się dowieźć zbiega do Lincoln i oddać w ręce sędziego. Stamtąd Black wyruszył w dalszą drogę innym wozem i z nową eskortą.

Na wieść o ucieczce najchętniej pogalopowałyby ich śladem na północ, nie czekając ranka, miał jednak dość rozsądku, by oszczędzić koniowi wysiłku. Gdy zapadł zmrok,

znalazł stóg siana, w którym się przespał, a o świcie znów wyruszył w drogę. Niestety, okazało się, że i tak się spóźnił.

Był wściekły na Joego. Kazał mu ze szczegółami opowiedzieć, co zaszło od jego wyjazdu aż do chwili, gdy zauważył brak państwa Smithów.

- Kiedy nie zeszli na śniadanie - tłumaczył Joe - spytałem żonę gospodarza, a ona powiedziała mi, że wyjechali. Potem przez cały czas ich szukałem.

- Zaprzęgnij konie! Ja tymczasem umyję się i zmienię okrycie. Musimy zaraz wyruszyć.

Wpadł do zajazdu, zażądał gorącej wody i prowiantu na drogę. Musiał znaleźć Louise. Nie wybaczyłby sobie, gdyby coś jej się stało. Umierał z niepokoju. Świadomość, że Louise ma wyjątkową umiejętność ściągania na siebie kłopotów, nie pomagała mu.

- Gdzie jesteś, droga Louise? - szepnął do siebie, wkładając świeży szustokor. - Dlaczego nie chciałaś mi zaufać?

## Rozdział piąty

Furman wysadził Louise i Betty w pobliżu przystani. Stały tam z sakwożaczami w oczekiwaniu na przepływającą barcę.

- Wpadłyśmy przez panią jak śliwka w kompot - powiedziała kwaśno Betty, przyglądając się krowom na drugim brzegu. - Nie mamy pojęcia, gdzie jesteśmy. Należało zostać w Doncaster i poczekać na pana Lintona.

Zafrasowana Louise nie umiała zapanować nad złością.

- I dać się aresztować, tak?! Wieźliby nas potem wozem bez okien i wtrącili do zatechłej celi...

- Pan Linton nie zrobiłby czegoś takiego.

- Skąd wiesz?

- Bo wie, że pani jest głupią kobietą, a w dodatku panią lubi.

- Pleciesz androny! - krzyknęła Louise.

- Pani też go lubi, przecież widzę. I to jest połowa naszych kłopotów, chociaż pani tego głośno nie przyzna.

Betty niebezpiecznie otarła się o prawdę, i to jeszcze bardziej rozeźliło Louise.

- Nie możemy wrócić. Przede wszystkim nie mam pojęcia, gdzie dojechałyśmy, po drugiej łada chwila nadpłynie jakaś barka.

- Wtedy pan Linton już na pewno nas nie znajdzie.

- Nie bardzo rozumiem, dlaczego chcesz, żeby nas znalazł.

- To nieuczciwe! Naszym zniknięciem sprowadziłyśmy na Joego kłopoty... I nigdy więcej go nie zobaczę!

Louise zdobyła się na wymuszony uśmiech.

- Nie powiedziałaś mu, gdzie mieszkasz?

- Powiedziałam, naturalnie.

- A więc, jeśli jemu choć trochę na tobie zależy, to na pewno cię odnajdzie.

Przy okazji odnajdzie również mnie, pomyślała, bo przecież obie z Betty mieszkały razem w Chipping Barnet. Ta myśl nieco ją pocieszyła. Louise święcie wierzyła, że gdy wróci do domu i wszystko wyjaśni, pan Linton będzie mógł przyjechać w odwiedzinach i

poznają się wtedy tak, jak należy. Z pewnością nie jest szlachetnie urodzony, więc nie będzie kręcił nosem na jej marne pochodzenie. Przez pół minuty była w radosnym nastroju, póki nie uświadomiła sobie, że gdyby okazała się dzieckiem z nieprawego łoża, nawet on miałby prawo wybrzydzać.

- I co teraz? - spytała Betty.

Louise wskazała dużą barkę. Ciągnął ją koń, z wysiłkiem wlokący się po drodze holowniczej wzdłuż rzeki. Barka płynęła w kierunku, który im odpowiadał, zgodnie z prądem.

- Panie! - zawołała do mężczyzny stojącego przy sterze. - Weźmiecie pasażerów?

Mężczyzna skierował barkę do brzegu.

- Prrr, Piękna! - zawołał do konia. Potem zwrócił się do Louise i Betty. Był mocno zbudowany, nosił skórzane ubranie, złożone z kaftana i spodni. Ciemne włosy miał zebrane z tyłu i związane linką. - Czego chcecie?

- Miejsca na barce, jeśli pan będzie taki dobry. Chcemy dopłynąć do Yorku.

- Nie płynę aż tak daleko. Kawalek mogę was zabrać, jeśli na to zarobicie.

- Mamy pracować? - spytała Louise, w ostatniej chwili przypomniawszy sobie, by zniżyć głos.

- Tak. Ty pomożesz doglądać konia i sterować. A ta mała dama może nam gotować i posprzątać kabinę.

Louise spojrzała na Betty.

- Co ty na to, moja droga?

- A mamy jakiś wybór? - spytała ponuro Betty.

- Możemy zostać i poczekać na następną barkę.

- Lepiej wsiądźmy. Chciałabym jak najszybciej dotrzeć do celu. Przynajmniej nie utkniemy w błocie tak jak ostatnio.

Mężczyzna nagle wybuchnął śmiechem. Wyciągnął rękę do Betty, żeby pomóc jej wejść na pokład, a na Louise w ogóle nie zwrócił uwagi, podobnie jak wcześniej furman. Louise spojrzała z respektem na zieloną wodę pełną wodorostów. Nie byłoby przyjemnie wpaść do czegoś takiego. Wrzuciła sakwojaże na pokład, głęboko odetchnęła i skoczyła. Wylądowała z głośnym łoskotem na deskach.

- Słucham, panie - odezwała się zadowolona, że udało jej się doskoczyć. - Co mam robić?

- Idź rozpalić ogień, żeby twoja kobieta mogła ugotować nam obiad. Jest bekon, trochę jaj i mnóstwo chleba. I ryba. Lubicie ryby, prawda? O ryby nietrudno, kiedy się płynie.

- Tak, panie.

- Skończ z tym „panem”. Nie mogę słuchać, jak ktoś tak gada. Jestem Josh Cottle.

- Witam, panie Cottle - powiedziała Louise i wyciągnęła do niego rękę. - Jestem Lou Smith.

Zignorował jej gest i wskazał nadbudówkę na rufie.

- Tam jest kuchnia.

Prowadziło do niej przejście przy burcie barki. Reszta miejsca, z wyjątkiem skrawka pokładu, na którym stali w tej chwili, była załadowana drewnem. Louise i Betty zaczęły się niepewnie przesuwać wąskim przejściem, w końcu dotarły do celu.

- Mam nadzieję, że nie będziemy musiały nocować na tej barce - powiedziała Betty, rozglądając się po ciasnej kabinie. - Do spania nie ma miejsca.

Umeblowanie składało się ze stołu, dwóch wąskich pryczy, dwóch szafek i pękatego pieca, obok którego leżały drwa.

- Może pan Cottle pozwoli nam zająć prycze, a sam położy się na pokładzie - powiedziała i zadrżała z obrzydzeniem, przyglądając się miejscom spoczynku. Nie wątpiła, że żyje tam mnóstwo rozmaitego robactwa. - A może zatrzymamy się w jakimś nadržecznym zajeździe?

- Co tam, jeśli nawet nie, to ja też nigdzie się nie zatrzymuję i mało mnie obchodzi, co pani na to - stwierdziła Betty.

Louise była skłonna się z nią zgodzić. W kabinie panował nieznośny zaduch. Wzięły się do pracy, którą przydzielił im właściciel barki. Zjadły posiłek wspólnie z panem Cottle'em, potem Betty zaczęła sprzątać, Louise zaś uczyć się sterowania. Chociaż powolność podróży bardzo ją irytowała, musiała przyznać, że widoki są piękne, a świeże powietrze działa bardzo ożywczo.

Dziury w drodze i wyboje były już za nimi, podobnie jak pan Linton. Chociaż próbowała przed nim uciec, musiała przyznać, że gdyby był z nią na barce, cieszyłyby się widokami dalece bardziej. Tęskniła za nim, choć wiedziała, że nie powinna się do tego przyznawać. Nawet przed sobą.

Ostatnie deszcze sprawiły, że miejscami rzeka zaczęła wylewać, więc biedny koń brnął w błocie, a co gorsza, w każdej chwili mógł wpaść do wody, brzeg bowiem nie był wyraźnie widoczny. Pan Cottle przejął ster od Louise, przybił do brzegu i wysiadł, żeby pomóc koniowi. Louise została z wielkim drągiem w ręce i miała powstrzymać barcę przed obijaniem się o brzeg. Starła się z całych sił, ale i tak widać było, że nie ma dość sił, by dobrze wywiązać się z powierzonego zadania. Pan Cottle zareagował bardzo niecierpliwie.

- Do niczego jesteś! - krzyknął, gdy barka uderzyła w brzeg i dotkliwie go ochlapała. - Wiedziałem, że z takiego mikrusa niewiele będzie pożytku.

- To po co nas pan wziął? - spytała zdyszana.

- Nie miałem wyboru. Mój kompan zachorował, rozboleł go brzuch, a potrzebuję drugiego na barce. Poza tym twoja kobieta wygląda lepiej niż ty.

Louise nie zaprzeczyła. Betty wzbiła chmurę kurzu w kabinie, która po chwili zaczynała nawet znośnie wyglądać.

Gdy tylko minęli rozlewisko i granica między rzeką a lądem znów stała się wyraźna, Cottle wrócił na pokład. Z uznaniem obejrzał kabinę.

- Dobrze gospodarujesz, moja miła. Gdybyś miała ochotę na zmianę, możemy wysłać go do diabła. - Skinął głową w stronę Louise. - Doskonale damy sobie radę we dwoje, tylko ty i ja.

- Dziękuję, ale nie - powiedziała Betty.

- Nie powiesz chyba, że wolisz tego pajęczka od dużego, silnego mężczyzny, takiego jak ja? - Uśmiechnął się do niej. - Czy on w ogóle wie, co z tym robić?

- Z czym?

- Chcesz powiedzieć, że nie wiesz? - Plasnął dłonią o udo i zaniósł się głośnym śmiechem. - Chyba muszę ci trochę pokazać.

Wyciągnął ramiona i chciał ją złapać. Nie pozostawił cienia wątpliwości co do swoich zamiarów. Betty cofnęła się. Pan Cottle, nie zwracając uwagi na Louise, nacierał dalej.

Louise nie mogła przyglądać się z założonymi rękami napastowaniu przyjaciółki.

- Zostaw ją! - krzyknęła i chwyciwszy mężczyznę za ramiona, próbowała go odciągnąć. - To moja żona.

- Nie wydaje mi się. Nawet jeśli staliście razem przed księdzem, co też mi się nie widzi, to potrzeba jeszcze więcej, by wziąć kobietę za żonę. Idź do steru.

- Nie.

Odepchnął ją. Uczepiła się go i przejechała mu paznokciami po twarzy jak rozwścieczona megiera, a nie młody mężczyzna. Roześmiał się i chwycił ją za ramiona. Nagle wytrzeszczył oczy ze zdumienia, zorientował się bowiem, kogo trzyma. Louise szarpnęła się do tyłu, zdołała się uwolnić, ale straciła równowagę. Zatoczyła się do tyłu i chwilę później z pluskiem znalazła się w rzece.

Betty krzyknęła i rzuciła się na mężczyznę, który bez trudu ją chwycił i wrzucił do wody śladem Louise.

- Suka do suki - oznajmił ze śmiechem. - Słyszałem o mężczyznach, którzy mają się ku sobie, ale nigdy nie spotkałem takich kobiet. Mam nadzieję, że woda ostudzi wasze zapały.

Louise utrzymywała się na powierzchni gęstej od wodorostów wody, ale Betty była w spódnicach, które ciągnęły ją w dół.

- Nie szarp się - powiedziała Louise. - Już cię trzymam. Wystarczy, że położysz się na plecach i będziesz trochę poruszać nogami.

- Nie mogę. Mam halki...

- Spróbuj, proszę...

Louise przekręciła się na grzbiet, a ponieważ obie poruszały nogami, jakoś udało im się dotrzeć do brzegu. Gdy wyszły z wody, położyły się bezsilnie na trawie, zmarznięte, przemoczone i dotkliwie upokorzone. Co najgorsze, wszystkie ich rzeczy zostały na barce, znajdującej się sto jardów dalej.

Upewniwszy się, że Joe ma rację i dziewcząt nie sposób znaleźć w Doncaster, Jonathan wszedł do powozu i ruszyli na północ. Kierowali się z powrotem na Wielki Trakt Północny, gdy tuż za mostem natknęli się na zmierzającego do miasta furmana. Jonathan kazał Joemu stanąć, wyskoczył z powozu, zanim jeszcze ten na dobre się zatrzymał, i puścił się w pogoń za wozem.

- Widzieliście młodą parę na tej drodze? - spytał, gdy zdołał zwrócić na siebie uwagę furmana. - Mężczyzna w niebieskim okryciu i kobieta w różowej pasiastej spódnicy.

- Tak. Uciekli, prawda?

- Owszem. Trzeba ich znaleźć. - Wyjął sakiewkę z kieszeni, a z niej gwineę. - Gdzie ich widzieliście?

- Podwiozłem ich i wysadziłem w Barnby.

- Barnby? - powtórzył zdziwiony.

Czyżby się omylił, a Louise kłamała, mówiąc, że jadą do Yorku?

- Tak, kiedy im powiedziałem, że stamtąd nie ma dyliżansów do Yorku, powiedziała, że popłyną rzeką.

- Dziękuję. - Wręczył mężczyźnie gwineę. - A będziecie tak dobrzy, żeby wskazać mi drogę?

Wkrótce Jonathan siedział obok Joego. To był znacznie lepszy punkt obserwacyjny niż wewnątrz powozu.

- Tutaj w prawo - powiedział. - Droga jest podobno bardzo zła, ale to dla nas nic nowego. Jedź ostrożnie i módlmy się, żeby nie udało im się dojechać daleko.

Wkrótce po przybyciu do Barnby doszli do wniosku, że uciekinierki już opuściły wieś. Kobieta zamiatająca drogę do drzwi domu powiedziała Jonathanowi, że widziała dwoje ludzi stojących na przystani. Pewnie wsiedli na barękę. Jonathan wrócił do powozu.

- Jedź dalej - polecił Joemu.

Droga czasem oddalała się od rzeki, a gdy to się zdarzało, Jonathan zostawiał powóz pod opieką Joego, a sam szedł wzdłuż brzegu drogą holowniczą. Nie miał pojęcia, jak daleko te dwie panny mogły zajechać i zastanawiał się, czy nie byłoby lepiej



poczekać na nie w Yorku. Gdyby jednak coś je opóźniło, gdyby zdarzył się wypadek lub coś jeszcze gorszego, nigdy by sobie tego nie wybaczył.

- Nie mogę zrozumieć, czemu w ogóle się nimi przejmuję - powiedział, gdy wrócił kolejny raz do Joego skupionego na powożeniu.

- Milord po prostu nie może ich zostawić - powiedział. - To byłoby niepodobne do milorda.

Jonathan uśmiechnął się.

- Masz rację. Ale ty też nie zostawiłbyś pani Smith, prawda?

- Pani Smith! - Joe parsknął śmiechem. - Milord nie sądzi chyba, że to prawdziwe nazwisko.

- Nie. Zresztą pan Smith też nie jest panem Smithem. Tak naprawdę nazywa się Louise Vail. Wiedziałaś o tym, prawda?

- Nazwiska nie znałem. Betty nie chciała mi zdradzić. Czy panna Vail ma coś wspólnego z towarzystwem „Łapaj złodzieja”, milordzie?

- Tak, a co więcej wodzi nas za nos. Gdyby nie ten łotr Black, na pewno nie straciłbym ich z oczu.

- No, nie wiem - odparł Joe, urażony sugestią, że jego pan zachowałby więcej czujności niż on. - Mogłyby mimo wszystko się wyslizgnąć.

- Pewnie masz rację - przyznał ponuro.

- Co one takiego zrobiły poza tym, że uciekły?

- Nie chodzi o to, co zrobiły, Joe. Najbardziej interesuje mnie w tej chwili, co panna Vail zamierza.

Podczas tej rozmowy przemierzyli zagajnik i znowu wyjechali na otwarty teren. Jonathan zobaczył rzekę i kazał Joemu zatrzymać powóz.

- Poczekaj - polecił. - Jeszcze tutaj poszukam, a jeśli nic nie znajdę, to chyba musimy się poddać. Jeśli dojechały do Yorku, to i my musimy tam jechać z nadzieją, że się na nie natkniemy.

Zeskoczył na ziemię i przez łąkę doszedł nad rzekę.

Ruszył wzdłuż brzegu. Rzeka tworzyła liczne rozlewiska, więc musiał przez cały czas patrzeć pod nogi. Słońce już chyliło się ku zachodowi i cienie stawały się z każdą

chwilą dłuższe. Jonathan coraz wyraźniej czuł, że tęskni za dobrym posiłkiem i łóżkiem. Wiedział jednak, że nie zazna spokoju, dopóki nie znajdzie tych panien.

Gdy podniósł głowę, przystanął i wyteżył wzrok. Ujrzał dwie żałośnie wyglądające postaci zmierzające w jego kierunku. Były przemoknięte do suchej nitki, a ubrania miały oblepione wodorostami. Suknia kleiła się do nóg Betty, a szustokor i spodnie Louise ani trochę nie maskowały jej kobiecych krągłości.

Wsparł się pod boki i mimo woli wybuchnął śmiechem.

Louise była bliska załamania. Przemarzła, przemokła i straciła dobytek. Dałaby wszystko za rycerza w lśniącej zbroi, który przyszedłby jej z pomocą, a w najgorszym razie zgodziłaby się nawet na Jonathana Lintona z powozem. Ten śmiech na powitanie przelał jednak czarę goryczy.

- Zabawne, prawda? - burknęła, kiedy podeszła bliżej.

Jonathan zamilkł.

- Bardzo przepraszam, ale przedstawia pani doprawdy niezwykły widok. Jak to się stało? - Podeszedł bliżej i przekonał się, że obie panny szczękają zębami i drżą z zimna. - Mniejsza o to, później wszystko opowiecie. Wracajmy do powozu, trzeba was ogrzać.

Wziął obie pod ramię i zaczął je prowadzić. Joe na ich widok natychmiast zeskoczył z kozła.

- Betty, wygląda pani jak topielica - powiedział bardzo zaniepokojony. - Co się stało?

- Wyjaśnienia później - przerwał Jonathan. - Wysuszyłeś końskie derki?

- Tak, i wyszczotkowałem do czysta. Okrywszy panny derkami, usadowił się w powozie.

- Zjedź przy najbliższej bramie na pole - polecił Joemu Jonathan. - I wracaj do Doncaster najszybciej, jak potrafisz. Będziemy mieli szczęście, jeśli one się nie przeziębą. Pamiętaj tylko, żebyś jadąc, niepotrzebnie nie ryzykował.

Louise cieszyła się, że pan Linton zareagował śmiechem na ich widok, bo już była gotowa rzucić mu się w ramiona i szukać w nich pocieszenia.

Derki były przesiąknięte zapachem koni, ale przynajmniej dawały ciepło, wkrótce więc Louise przestała się trząść i mogła coś powiedzieć.

- Szukaliście nas?

- Naturalnie.

- Jak pan nas znalazł?

- Zadając pytania, moja droga. Niezbyt starannie zacierałyście za sobą ślady.

Owinięta w derki wygląda bardziej jak podtopione dziecko, pomyślał Jonathan. Miał ochotę ją objąć i uściskać.

Spojrzała na niego przenikliwie.

- Pan wie? - spytała cicho.

- Że pan Smith nie istnieje? Oczywiście. Ma pani wspaniałą figurę, ale z pewnością nie męską i nawet nie chłopięcą.

- Och... Kiedy?

- Kiedy na to wpadłem? Podczas pojedynku. Zdejmując szustokor, odkryła pani bardzo apetyczne krągłości - powiedział z uśmiechem.

- I mimo to walczył pan ze mną!

- Nie miałem wyboru. Musiałbym narazić się na kompromitację albo panią zdemaskować. Nie mogłem zrobić ani jednego, ani drugiego. Oboje wyglądalibyśmy jak istoty niespełna rozumu.

- Czułam, że pan nie dawał z siebie wszystkiego.

- Bez przesady. Pani zdolności szermiercze są wyjątkowe...

- Jak na kobietę - dokończyła za niego.

- Płeć nic do tego nie ma - odparł. - I cudownie gra pani w wista. Kto panią tego nauczył?

- Bracia. - Pan Linton stał się nagle podejrzanie ciekawski. - A proszę mi powiedzieć, czy udawanie mężczyzny jest sprzeczne z prawem.

Spojrzał na Louise z rozbawieniem.

- To pewnie zależy od sytuacji. Jeśli ubranie zostało ukradzione... - zamilkł teatralnie.

- Mówiłam - wtrąciła Betty. - Lepiej niech pani wszystko wyśpiewa.

Louise zignorowała przyjaciółkę i kontynuowała rozmowę z Jonathanem.

- Pan przecież zna się na prawie.

- Nie jestem na tyle biegły, bym mógł o tym rozstrzygnąć. A dlaczego pani pyta?

- Ale zajmuje się pan łapaniem przestępców?

- A kto pani to powiedział?

- Ujął pan dwóch zbójców, i tego człowieka z dyliżansu... jak on się nazywał?

- Jed Black.

- Właśnie. Powiedział pan, że jest mordercą. Słyszał pan o nim i dokładnie wiedział, co z nim zrobić - zauważyła Louise.

- A co innego mi pozostało? Zdrowy rozsądek podpowiedział mi takie rozwiązanie, a poza tym, gdyby pani nie zauważyła, że on zamierza się na mnie kamieniem, nie rozpoznałbym go.

- Przykro mi, że to zrobiłam. Ciągle o tym myślę.

- Gdyby pani się wtedy zawahała, nie byłoby mnie tutaj. Jestem pani dłużnikiem - odparł.

- Ale jechał pan za nami przez całą drogę umyślnie, prawda?

- Z czystej ciekawości, moja droga, przynajmniej początkowo - odparł wymijająco. Wolał nie ujawniać, że został wysłany specjalnie po to, by je znaleźć. - Zaintrygowało mnie, co knujecie. Potem zorientowałem się w pani dziwnej skłonności do wpadania w tarapaty, więc uznałem, że przyda się ktoś, kto będzie panią z nich wyciągał. Dziś był na to doskonały przykład. Cóż byście pani zrobiły, gdybym nie nadjechał?

Zadrżała na wspomnienie przygody na barce.

- Wolę o tym nie myśleć.

- Proszę mi opowiedzieć, co się stało. Widzę naturalnie, że panie nieoczekiwanie zażyły kąpieli. I domyślam się, że również pływanie należy do pani cennych umiejętności.

- Owszem.

- Założę się jednak, że do rzeki nie wskoczyły panie celowo.

- Nie. Byłyśmy na barce. Właściciel obiecał, że nas podwiezie, jeśli będziemy pracować. Betty wpadła mu w oko i...

- Był okropny - powiedziała Betty. - Zaczął mnie obłapiać, więc panna... Lou rzucił się na niego. Chwycił ją i wtedy przekonał się, że to nie mężczyzna.

- Co on pani zrobił? - spytał strwożony, zwracając się do Louise.

- Nic. Odepchnęłam go, ale straciłam równowagę i wpadłam do rzeki.

- A mnie wrzucił - dodała Betty. - Myślałam, że utonę.

- Usiłowanie morderstwa - mruknął.

- Och, pan od razu o paragrafach - fuknęła na niego Louise. - Ważniejsze, że udało nam się dopłynąć do brzegu i nie utonęliśmy. Niestety, nasz bagaż został na barce, a ten człowiek nie poczekał. Straciliśmy wszystko... ubrania... i szpadę... moją szpadę.

- To rzeczywiście znacząca strata - przyznał, starając się ukryć uśmiech.

Mimo nieuczesanych włosów i bladości Louise wciąż była urocza, a determinacja, by zachować się dzielnie, jeszcze przydawała jej wdzięku.

Wsunęła rękę pod derkę i po chwili wyciągnęła ją, trzymając pistolet i sakiewkę.

- Przynajmniej to wciąż mam.

- Zawsze coś.

Ani przez chwilę nie wątpił, że Louise uratowała Betty, nie tylko przed właścicielem barki, lecz również przed utonięciem. Nie przestawała go zadziwiać.

- Obawiam się jednak, że pistolet jest w tej chwili nie do użytku - dodał.

- Och, i tak bym z niego nie strzelała - powiedziała. - Był tylko na postrach.

Gdy dotarli do zajazdu Pod Świętym Jerzym, było już ciemno. Czy to możliwe, że opuściły go zaledwie tego ranka? Louise nie bardzo mogła w to uwierzyć.

- Nie mogą się panie pokazać w takim stanie - powiedział Jonathan. - Proszę chwilę poczekać.

Nie czekając, aż Joe otworzy drzwi i rozłoży schodki, zeskoczył na ziemię i wszedł do zajazdu. Patrząc za nim, Louise uświadomiła sobie, że nie odpowiedział jej na pytanie o to, czym się zajmuje, wciąż więc nie wiedziała, jakie są jego zamiary. Mimo to czuła dziwną beztroskę. Po ostatnich wydarzeniach musiała przyznać, że nie są z Betty tak dzielnyimi podróżniczkami, jak jej się zdawało, i aż bała się pomyśleć o tym, co mogłoby się stać, gdyby pan Linton nie zaczął ich szukać.

Wrócił dziarsko dwie minuty później i zamienił kilka zdań z Joem. Potem wsiadł do środka, a Joe wyjechał z podwórza zajazdu.

- Dokąd jedziemy? - spytała zaniepokojona Louise.

A już wyobrażała sobie pokój z ogniem w kominku i możliwością wysuszenia mokrych ubrań, by nie wspominać o gorącym posiłku...

- Nie sądzę, by wypadało paniom pokazać się w takim stanie w zajeździe - powiedział. - Dostałem adres pani Slater. Jestem pewien, że ona zechce paniom pomóc.

- Nie możemy pojawić się u niej niezapowiedziane.

- Ja panie zapowiem - obiecał. - Kiedyś dała mi słowo, że gdy będzie coś, co mogłaby dla pań zrobić, wystarczy tylko poprosić...

- To była tylko grzecznościowe ogólne stwierdzenie - zwróciła mu uwagę.

- Myślę, że powiedziała to z przekonaniem. Wkrótce się zresztą okaże. Zanim jednak złożymy jej wizytę, domagam się od pani uroczystego przyrzeczenia, Louise. A nawet dwóch przyrzeczeń.

- Jakich? - spytała nieufnie.

- Po pierwsze koniec z noszeniem spodni. Od tej pory jest pani kobietą. Wyjaśnię pani Slater, że ta maskarada zaistniała ze względów bezpieczeństwa, ale ponieważ teraz ja się paniami opiekuję, nie ma potrzeby kontynuować przebieranki.

- Problem w tym, że nie mam innych ubrań.

- Wiem, ale na pewno jakieś znajdziemy. Obiecuję pani?

- Tak - powiedziała, całkiem zadowolona z żądania pana Lintona. Miała dość udawania mężczyzny. Tym bardziej że wcale nie zwiększyło to jej bezpieczeństwa.

- Dzięki Bogu - mruknęła z kącika Betty.

- Nie rozumiem tylko, po co chce pan powiedzieć pani Slater, że będzie się mną opiekował - powiedziała.

- Bo to prawda.

- Dlaczego?

Wzruszył ramionami.

- Ktoś musi. I proszę nie kierować się niemądrą dumą. Jeśli pomyśli pani o tym uczciwie, przyzna pani, że mam rację.

Louise puściła to zdanie mimo uszu.

- Wspomniał pan o dwóch obietnicach.

- Proszę mi jeszcze obiecać, że nie będą już panie próbowały uciekać. Jeśli pani Slater zgodzi się udzielić paniom schronienia do czasu, aż postaramy się o jakieś stosowne stroje i ruszymy w dalszą drogę, byłoby wyjątkową niewdzięcznością wymykać się cichaczem.

- Mam być pańskim więźniem? - zapytała smętnym tonem.

Uśmiechnął się, choć w półmroku nie było tego widać.

- Czy to takie straszne? - spytał cicho.

- To zależy od tego, jakie pan ma wobec mnie zamiary. Czy chce mnie pan odesłać do Newgate wozem do transportu więźniów?

Roześmiał się głośno.

- Skąd u pani taki pomysł?

- Jest pan tropicielem przestępców.

- A pani jest przestępczynią?

- Ukradłam strój bratu.

- I sądzi pani, że on jej tego nie wybaczy?

- Naturalnie, wybaczy, ale...

- Louise... Tak ma pani na imię, prawda?

- Skąd pan wie?

- Louis i Louise brzmią prawie tak samo. Domyśliłem się, a ponieważ nie zdradziła mi pani swojego nazwiska, nie mogę się do niej zwracać tak, jak nakazuje etykieta. Poza tym w zaistniałych okolicznościach byłoby to zupełnie nienaturalne. Pani może nazywać mnie Jonathanem.

- Panie Linton. Jonathanie. Bardzo zręcznie potrafi pan unikać odpowiedzi na niewygodne pytania.

- Jakie pytania, moja droga?

- Jakie pan ma wobec mnie zamiary?

- Jedynie towarzyszyć pani do celu jej podróży - powiedział.

- Przecież pan go nie zna.

- Nie, ale pani mi go wyjawi, prawda?

- A potem?

- To zależy od tego, co zastaniemy u celu podróży.

- Chcę odwiedzić krewną, której od dawna nie widziałam. Nic ekscytującego, a pan z pewnością uzna to za rzecz nudną.

- Moja droga, nic co ma z panią związek, nie wydaje mi się nudne - powiedział z uśmiechem. - Może doprowadzać mnie do szału, bawić, niepokoić, ale z pewnością nie nużyć.

- A pańska sprawa w Yorkshire?

- Och, ona może poczekać. Czy mam pani słowo?

- Tak.

Zabrzmiało to bardzo niewdzięcznie, ale Louise wciąż nie mogła zdecydować, czy ważniejsza dla niej jest duma, czy zaspokojenie potrzeby bezpieczeństwa.

- Doskonale. - Joe zatrzymał powóz przed jednym z kilku podobnych domów, stojących w rzędzie. - Zanim porozmawiam z panią Slater, muszę jeszcze poznać pani nazwisko. Nie brzmi ono Smith, prawda?

- Nie. - Przez chwilę zastanawiała się, co mu powiedzieć. Najłatwiej było jednak wymienić nazwisko, do którego przez dwadzieścia lat zdążyła się już przyzwyczać. - Nazywam się Vail.

Uśmiechnął się zadowolony, że zdecydowała się powiedzieć prawdę.

- Panno Vail, przekonamy się teraz, co powie na te niespodziewane odwiedziny pani Slater. Proszę poczekać, póki nie wrócę.

Po jego odejściu Louise bezsilnie wtuliła się w oparcie siedzenia, nagle poczuła bowiem, jak bardzo wyczerpały ją nie tylko nadrzeczne przygody, ale i ciekawość Jonathan. Wyjawiała mu wszystko, co chciał wiedzieć z wyjątkiem celu swojej podróży. Nie mogła przecież zdradzić, że szuka matki, która ją porzuciła. Obawiała się jednak niemiłych konsekwencji, gdyby domysły o pochodzeniu z nieprawego łoża potwierdziły się. Tymczasem pan Linton wrócił razem z panią Slater.

- Och, biedaczki - powiedziała, widząc dwie przemoczone panny owinięte derkami.

- Chodźcie szybko do domu. Zaraz się ogrzejecie i zrobi się wam przyjemniej.

Jonathan pomógł im wysiąść i wszedł za nimi do środka. Dom nie był duży, ale lśnił czystością. Pan Slater, ubrany w barchanową kamizelkę i spodnie z kozłej skóry,



wyszedł z pokoju i skłonił się przed Louise i Betty, które bardzo się cieszyły, że derki nieco maskują stan ich garderoby.

- Witam panie serdecznie w moim skromnym domostwie. Zostawię je w zręcznych rękach mojej żony, ale gdybym mógł w czymkolwiek pomóc...

- Możesz powiedzieć Sadie, żeby przyniosła gorącej wody do pokoju gościnnego - przerwała mu żona. - Na początek potrzebna jest kąpiel. A potem gorący rosół. Panie Linton, może pan bezpiecznie zostawić u mnie te młode damy. Chodźcie - powiedziała i delikatnie popchnęła Betty i Louise w kierunku schodów.

- Szklaneczkę czegoś mocniejszego? - spytał Arthur Slater, gdy Jonathan odprowadzał wzrokiem trójkę wspinającą się na schody.

- Nie, dziękuję. Czeka na mnie powóz przed domem, a już czas na spoczynek. Za pańskim pozwoleniem przyjdę rano z wizytą i wtedy ustalimy co dalej.

- Naturalnie. Zapewniam, że pańska podopieczna i jej przyjaciółka będą u nas bezpieczne. Moja żona znajdzie im jakieś ubrania, zanim zdoła pan odzyskać ich rzeczy.

- Jestem pańskim dłużnikiem.

Wcześniej powiedział Slaterom, że jest opiekunem Louise, co w pewnym sensie było nawet prawdą. Gdyby jednak Slaterowie zrozumieli to określenie jako termin prawniczy, nie zamierzał wyprowadzać ich z błędu. Wy tłumaczył, że panny znalazły się w kłopotcie, bo pomysł, na który wpadły, okazał się dla nich zgubny. Louise wbiła sobie do głowy, że chce odwiedzić kuzynkę w Yorku, ale nie miała pojęcia, jakie problemy pociąga za sobą podróżowanie bez przyzwoitki.

- Dług bez wątpienia mam ja. Żona opowiadała mi, jak wspaniale pan się opiekował nią i synem, gdy przewrócił się dyliżans. Akurat jechali z wizytą od jej siostry, która niedawno urodziła córkę. Gdybym wiedział, że pogoda tak się pogorszy, należałbym, żeby żona poczekała z podróżą.

Jonathan odjechał z ociąganiem. Miał nadzieję, że panna Louise Vail dotrzymuje danych obietnic i nazajutrz rano wciąż będzie gościć u pani Slater, w dodatku ubrana w suknię. Zamierzał to sprawdzić, najpierw jednak czekało go napisanie kilku listów i zrobienie zakupów.

Louise zbudziła się w wygodnym łóżu. Zaslony były odsunięte, a do pokoju wpadały promienie słońca i dźwięk śpiewu ptaków. Przez chwilę nie mogła sobie uzmysłowić, gdzie jest, ale szybko wszystko sobie przypomniała. Podróż na północ, pana Lintona, więźnia do konwojowania, swoją kolejną przykrą przygodę i niespodziewane ocalenie. Wyglądało na to, że ma niebagatelny dług wdzięczności u tajemniczego wybawiciela.

Odwróciła głowę na bok i przekonała się, że ten ruch sprawił jej ból. Na krześle przy łóżku siedziała pani Slater i bacznie jej się przyglądała.

- Och, nie wiedziałam, że pani tu jest - powiedziała Louise. - Czy już bardzo późno?

- Południe, moja droga, ale to nieważne...

- Południe! Ojej, nie mogę tutaj leżeć... - Chciała usiąść, ale pokój nagle zawirował. - Jejku, zakręciło mi się w głowie.

- Nic dziwnego po tym wczorajszym nurkowaniu. A potem bardzo długo była pani w mokrym ubraniu.

- A Betty?

- Jej nic nie jest. Zjadła śniadanie i wyszła z panem Lintonem. Pożyczyłam jej suknię....

Co Betty robi z panem Lintonem w mieście? Dlaczego jej nie zbudzili i nie zaproponowali wspólnego wyjścia? Poczwała się porzucona, chciała jednak za wszelką cenę zachować godność.

- Bardzo jest pani miła - odparła - ale muszę wstać. - Spróbowała jeszcze raz, ale znowu z tym samym wynikiem. Była zamroczone i bolała ją głowa, podobnie jak wszystkie mięśnie. - Widocznie bardzo się zmęczyłam, odpychając tę barcę - powiedziała i wzięła się uśmiechnęła. - Czy o tym pan Linton też pani opowiedział?

- Tak, wspomniał również, że straciła pani wszystkie swoje rzeczy. Obiecałam znaleźć dla niej stosowne okrycie, póki pan Linton czegoś nie przyniesie. - Uśmiechnęła się nagle. - Ciekawam, jaki on ma gust.

- Nie mam pojęcia. I nie bardzo rozumiem, dlaczego miałby się tym zajmować. Lepiej włożę z powrotem spodnie.

- Nie wydaje mi się, żeby męski strój był dla pani odpowiedni, moja droga. Poza tym spodnie były podarte i ubłocone. Wyrzuciłam je, bo pan Linton powiedział, że nie będą pani więcej potrzebne - wyjaśniła pani Slater.

- Ach, tak. - Nie miała siły spierać się o arogancję Jonathana.

Poza tym obiecała mu więcej w spodniach nie chodzić. Opadła na poduszkę, żalując, że brak jej sił, by zamanifestować swoją niezależność.

- Przeziębila się pani, panno Vail. Musi pani poleżeć w łóżku.

- Och, proszę mnie tak nie tytułować. Mam na imię Louise. I nie chcę się pani narzucać.

- To nie ma nic wspólnego z narzucaniem się, Louise. Mnie naprawdę jest przyjemnie. Wszyscy powinniśmy sobie pomagać w życiu, nie sądzisz? Tak nauczał nasz Zbawiciel.

- Mówi pani jak mój ojciec.

- Pani ojciec? Zrozumiałam, że pani nie ma ojca. Pan Linton powiedział, że jest jej opiekunem - stwierdziła pani Slater.

Louise omal nie powiedziała ze złości, że nikim takim pan Linton nie jest, ale uświadomiła sobie, że prawdopodobnie chodziło mu o jej dobrą opinię. Zresztą wielbny Vail naprawdę nie był jej ojcem. Tego jednak nie mogła tej poczciwej kobiecie powiedzieć, by nie prowokować dalszych pytań. Musiałaby wyjaśnić, kim jest, skąd pochodzi i dokąd jedzie.

- Jest, owszem, ale dopiero od niedawna. Mój tata był przykładnym chrześcijaninem.

- Miło mi to słyszeć. - Poczciwa kobieta zdawała się przyjmować to dwuznaczne stwierdzenie bez podtekstów. - Byłam pewna, że nie jest pani trzpiotką, na jaką wyglądała. Trzpiotka nie byłaby taka troskliwa i gotowa do pomocy, kiedy powóz się przewrócił, a ten straszny człowiek... - Zadrżała. - Była pani bardzo dzielna, i pan Linton też.

- Dziękuję.

Pani Slater bez wątpienia żyła zgodnie z zasadami religijnymi, które nie przewidywały dawania schronienia uciekinierce, zwłaszcza takiej, która prawdopodobnie pochodzi z nieprawego łoża. Pan Linton był na tyle miły, że ochronił ją przed niewygod-

nymi pytaniami. Ciekawiło ją tylko, jak wyjaśnił, że jechała publicznym dyliżansem, podczas gdy on podążał za nimi własnym powozem.

- Każę przynieść trochę rosołu, a potem musi pani jeszcze pospać. Dobre jedzenie i sen są najlepszymi lekarstwami na tę przypadłość. Kiedy już poczuje się pani lepiej, będziemy mogły rozmawiać do woli.

Wstała, wygładziła kołdrę i zostawiła Louise z jej rozmyślaniami. Gorączka jednak przeszkadzała jej nawet logicznie myśleć, a co dopiero mówić o układaniu planu działania. W każdym razie nie wydawało jej się, by dobre jedzenie i sen mogły ją wyleczyć. Miała ochotę jak najszybciej stąd uciec, dlatego bardzo żałowała obietnicy danej panu Lintonowi. No właśnie, po co on poszedł do miasta z Betty? Betty zachowała się nielojalnie. Louise postanowiła powiedzieć jej na ten temat kilka słów po ich powrocie.

A jeśli Betty w ogóle się nie pokaże? - zadzwięczały w jej głowie wątpliwości. Przecież chciała wrócić do domu. Może jest już w drodze do Barnet pod opieką pana Lintona. A ją zostawili tutaj, żeby zgniła, zbyt słaba, by się ruszyć...

Jonathan wziął Betty do miasta, żeby pomogła wybrać stosowne stroje dla Louise. Odwiedzili kilka sklepów, w których można było nabyć gotowe suknie. Matka i siostry Jonathana wszystkie stroje zamawiały u krawcowej, i to za niemałe pieniądze, ale nie było czasu, by zamawiać cokolwiek dla Louise, zresztą nie wydawało mu się, by w tych okolicznościach kosztowne suknie i halki na rogówce były na miejscu. Uśmiechnął się pod nosem i zaczął przebierać wśród gotowych muślinów, lnianych kratek i bawełnianych rzucików. Różowe, niebieskie, zielone, z dużym dekoltem i bez dekolту, z pikowanym przodzikiem... Do tego jeszcze jedwabne halki, koronkowe gorsety, zwiewne szale i trzewiki.

- Co pani o tym sądzi? - spytał Betty.

Dziewczyna wytrzeszczyła na niego oczy i wyraźnie wpadła w chichotliwy nastrój.

- To wszystko jest bardzo ładne, proszę pana. Jestem pewna, że pa... Lou zadowolili się wszystkim, co pan wybierze, ale...

- Ale co? I dlaczego pani nie mówi na nią „Louise”?

- Powiedziała, że mam do niej mówić „Lou”, póki nie pozwoli mi używać jej prawdziwego imienia.

- Ono brzmi Louise?

Skinęła głową i wbiła wzrok w ziemię, aby starannie ominąć kilka kałuż pozostałych jeszcze po ulewie sprzed dwóch dni. Bez wątplenia krępowano ją takie wypytywanie, a choć wcześniej Jonathan zamierzał je bezlitośnie kontynuować, to doszedł do wniosku, że mu nie wolno. Robiąc z Betty donosicielkę, postąpiłby nieuczciwie. Louise Vail musi powiedzieć mu wszystko sama, a dopóki tego nie zrobi, on nie będzie jej odstępował ani na krok. Doskonale wiedział, że nie tego dotyczy zadanie. Miał przecież tylko ją odnaleźć i przekonać do powrotu do domu. Nie umiał jednak stłumić ciekawości. Musiał dowiedzieć się, co przemieniło Louise ze szczęśliwej i trzpiotowatej panny w zasepioną, szukającą samotności podróżniczkę. Nie mógł zmusić jej do powrotu, nie zrobiłby tego nawet gdyby mógł, a co więcej, miał przeczucie, że panna Vail będzie go potrzebować.

- Ale? - spytał jeszcze raz, wracając do rozmowy o strojach. - Powiedziała pani, że panna Louise zadowoli się wszystkim, ale...

- Będzie nalegała, żeby za wszystko zapłacić osobiście, a jej sakiewka jest prawie pusta, więc bardzo proszę, aby nie był pan zbyt ekstrawagancki.

- Będę ekstrawagancki, jeśli tylko tak mi się spodoba. Skrupuły panny Louise może pani spokojnie zostawić na mojej głowie.

Wybrał suknię z tafty, która urzekła go czystą zielenią, przypominającą mu piękne oczy panny Vail.

- Co pani powie na tę? Będzie jej pasowała, prawda? Panna Louise jest nieco wyższa od pani, ale figury macie podobne. Mogłaby pani przymierzyć, sprawdzimy, czy rozmiar jest dobry.

Betty została zaprowadzona do pomieszczenia w głębi sklepu i kilka minut później wyłoniła się stamtąd ubrana w zieloną suknię. Jaskrawy kolor jej nie służył, Jonathan wiedział jednak, że dla Louise będzie odpowiedni.

- Tak, będzie bardzo dobra - powiedział, podając jej granatową suknię z jedwabiu.

- Proszę teraz przymierzyć tę.

Szli od sklepu do sklepu i kupowali takie suknie, których nie uszyto do noszenia na rogówkach. Jonathan nie znosił tego fasonu, więc wybierał wzory wymagające jedynie lekko usztywnianych halek.

Dopóki zajmowali się okryciami wierzchnimi, sukniami, szalami, rękawiczkami i trzewikami, nie było żadnego problemu, jednak przy pończochach i bieliznie Betty zarumieniła się po cebulki włosów. Pan Linton zdawał się tego nie zauważać, ale przynajmniej nie kazał jej przymierzać i przed nim paradować! Gdy uznał, że ma już dla Louise wystarczająco dużo garderoby, by starczyło do końca podróży, kupił również suknie, trzewiki i bieliznę dla Betty, która, zawstydzona, z trudem wybąkiwała podziękowania. Zapłaciwszy za wszystko i załatwiwszy dostawę, Jonathan wrócił z Betty do domu Slaterów, gdzie przekonał się, że Louise ma się nie najlepiej.

- Jest przeziębiona - oznajmiła mu pani Slater. - Prawdę mówiąc, nie ma się temu co dziwić. Dałam jej kordiału Godfrey'a na sen. To zawsze pomaga mojemu małemu Willowi.

Zaskoczyło go, jak bardzo się zaniepokoił i jak bardzo chciał pomóc. Omal nie pobiegnął natychmiast do pokoju Louise, by osobiście sprawdzić, jak się czuje.

- Co mogę dla niej zrobić? - spytał, gdy Betty się oddaliła. - Czy pani posłała po doktora?

- Tak. Przed chwilą wyszedł.

- Co powiedział?

Pani Slater uśmiechnęła się i pomyślała, że nawet jeśli był opiekunem tej młodej damy, z pewnością nie wyjawiał całej prawdy.

- To tylko przeziębienie. Ciepło i pożywne posiłki powinny wystarczyć, by nic złego jej się nie stało.

- Dzięki Bogu - powiedział żarliwie. - Jestem bardzo wdzięczny za pomoc, pani Slater.

- Cieszę się, że mogę jej udzielić. Doktor zalecił panie Vail pozostanie przez trzy dni w łóżku, więc chętnie ugoszczę obie młode damy do czasu, aż chora w pełni odzyska siły.

- Czy to na pewno nie zbyt duże obciążenie? Czy mam nająć kobietę do opieki nad chorą? - spytał.

- Nie ma potrzeby. Będę ją pielęgnować z pomocą Betty. Co pan zamierza?

- Pozostanę w zajeździe do czasu, aż będziemy mogli wyruszyć w dalszą podróż.

Czy mogę teraz iść na górę i ją odwiedzić?

Pani Slater wahała się tylko chwilę. Pan Linton był opiekunem panny Vail, a przy tym dżentelmenem w najlepszym tego słowa znaczeniu.

- Tak, tylko proszę jej nie męczyć. Ona musi dużo spać, bo to jest najlepsze lekarstwo. Chyba zgodzi się pan ze mną?

- Naturalnie. Nie zabawię tam długo.

Z tymi słowami ruszył po schodach na górę. Pani Slater odprowadzała go wzrokiem, znacząco się uśmiechając.

## Rozdział szósty

Lekko zapukał do sypialni, spodziewając się, że otworzy mu Betty, ale gdy tak się nie stało, uchylił drzwi i zerknął do środka. Louise leżała w łóżku wsparta na poduszkach. Wyglądało na to, że śpi. Wiedział, że nie powinien wchodzić, gdy jest sama, ale wydała mu się taka blada i bezbronna, że nie umiał zawrócić. Przeszedł po cichu przez pokój i usiadł na krześle przy łóżku, żeby na nią popatrzeć.

Była urocza. Gęste, kręjące się włosy rozsypały się na poduszkach i tworzyły miedziany nimb. Długie ciemne rzęsy prawie dotykały policzków, znacznie bledszych niż zwykle. Usta Louise miała lekko rozchylone, zapewne z powodu trudności z oddychaniem. Częściowo odchylona kołdra odsłaniała nocną koszulę, zsuniętą z jednego ramienia. Podczas gdy klatka piersiowa rytmicznie unosiła się i opadała, widać było skrawek jednej piersi. Na ten widok zaparło mu dech, ogarnęło go bowiem najprawdziwsze pożądanie. Powinien był natychmiast wyjść i oddalić pokusę, powtórzyć sobie w myślach, kim jest i co powinien robić. Zamiast tego pochylił się, ujął ją za rękę i jak urzeczony dalej przyglądał się jej rysom.

Drgnęła i uniosła powieki. Spojrzała na niego zadziwiająco orzechowymi oczami z zielonymi plamkami.

- Wrócił pan - szepnęła.

- To oczywiste - powiedział i uśmiechnął się. - Nie pozbędzie się mnie pani tak łatwo, moja miła, póki wszystko się nie wyjaśni. Jest pani na mnie skazana.

- Och. - Chciała usiąść, ale zorientowała się, że nie jest kompletnie ubrana, więc położyła się z powrotem i podciągnęła prześcieradło pod brodę. - Rozumiem, że to rozciąga się również na moją sypialnię.

Powiedziała to z pięknym uśmiechem, bo myślała właśnie o tym, jak bardzo się cieszy, że go widzi.

- Jeśli akurat nie może jej pani opuścić, to tak.

- Pan mi nie ufa, a raczej podejrzewa, że udaję chorą, aby łatwiej uciec.

- Przecież dała mi pani słowo. Zakładam, że go pani dotrzyma.

- Nie łamię danego słowa.



- Miło mi to słyszeć. Dlaczego jednak w ogóle musi pani uciec? Czy moja obecność jest taka trudna do zaakceptowania?

Spytał o to bardzo łagodnie.

- Dobrze pan wie, że przez ostatnie kilka dni nieraz była dla mnie prawdziwym darem niebios.

- Kilka dni... - powtórzył. - Czyżby tak niedawno spotkaliśmy się po raz pierwszy?

Louise wydawało się podobnie. Wszystko, co działo się przed tą podróżą, stało się nagle bardzo odległe. Zaistniała między nimi niewidzialna więź, która ciągnęła ich ku sobie i z każdym dniem, z każdą minutą stawała się mocniejsza. Louise wiedziała, że musi zerwać te więzy, jeśli chce ukończyć z powodzeniem podróż. Ale nie teraz. Jeszcze nie. Najpierw...

- Dlaczego przedstawił się pan pani Slater jako mój opiekun?

- Miałem powiedzieć, że spotkaliśmy się przed kilkoma dniami i zawarliśmy znajomość po drodze? Chciałem, żeby została tu pani powitana jako szlachetnie urodzona kobieta.

- Rozumiem. Co jeszcze jej pan powiedział?

- Że wybrała się pani w podróż dla żartu, a ja, gdy tylko się o tym dowiedziałem, wyruszyłem pani śladem i bardzo się teraz z tego cieszę, bo podróż z pewnością nie przebiegała gładko. Oczywiście nie wspominałem o grze w karty ani toczeniu pojedynków, bo to pograżyłoby panią w oczach pani Slater raz na zawsze.

- Dziękuję za to. Dokąd się wybieram dla żartu?

- Z wizytą do krewnych w Yorku.

- Przecież to jest prawdą - zwróciła mu uwagę.

- Nie ma sensu kłamać, jeśli nie trzeba, prawda? - powiedział z uśmiechem.

- Nie ma, ale przecież nie jest pan moim opiekunem. To była nieprawda.

- Nie. Dopóki nie osiągniemy celu tej odkrywczej podróży, występuję w funkcji rodzica, więc nie skłamałem.

Zdziwiło ją, jak bardzo trafne było określenie „odkrywcza podróż”. Pan Linton nie wiedział jednak, co ma zostać odkryte, więc jaki miał w tym wszystkim cel? Znaleźć

jeszcze więcej złodziei i morderców? Jednak nie myślała w tej chwili dostatecznie jasno, by móc rozwiązać ten problem.

- Całe życie jest odkrywczą podróżą - szepnęła, choć powieki jej ciążyły. - Dlaczego jednak chce pan dzielić odkrycia ze mną?

- Sam zadaję sobie to pytanie, a w dodatku nie znam na nie odpowiedzi. - Wstał, chociaż nie puścił jej ręki.

- Jest pani zmęczona. Dzisiaj i jutro proszę odpoczywać, a pojutrze może wrócimy do tej rozmowy o życiu i o tym, co nami kieruje. Tymczasem panią opuszczę.

- Pocałował wewnątrz jej dłoni. - Obiecuję jednak wrócić.

Odprowadziła go wzrokiem, a potem zamknęła oczy. Była niewyobrażalnie zmęczona, ale mimo to pobudziło ją delikatne muśnięcie warg Jonathana. Dzięki niemu pierwszy raz od wielu dni zaznała spokoju i zasnęła z lekkim uśmiechem na ustach.

Miała silny organizm i szybko wracała do zdrowia, wkrótce więc chciała wstać i prosiła o ubranie. Pani Slater była jednak zdecydowana zatrzymać ją w łóżku przepisane trzy dni i dopiero potem pozwoliła jej schodzić na dół w szlafroku, jednej z wielu części garderoby kupionych jej przez Jonathana. Louise była oburzona, gdy usłyszała od Betty, ile ubrań przyniósł pan Linton. Chyba nigdy nie byłoby jej stać na zwrot pieniędzy za te zakupy. On jednak oświadczył stanowczo, że nie życzy sobie zwrotu, uważa bowiem, że to i tak mała cena za to, by uczynić z niej ponownie godną szacunku damę. Skoro było go stać na takie wydatki, musiał być naprawdę zamożnym człowiekiem. Czy zgromadził ten majątek, łapiąc złodziei? Co się za tym wszystkim kryło? Dlaczego pan Linton tak się nią interesował? Przecież w jej przypadku na nagrodę w ogóle nie mógł liczyć.

Nie skończyło się zresztą na ubraniach. Pan Linton przychodził codziennie, przynosił jej kwiaty, słodczyce i suszone owoce w cukrze. Pani Slater twierdziła, że jest troskliwy jak zakochany, co wywoływało uśmiech na twarzy Louise. Ta poczciwa kobieta nie miała pojęcia, że pan Linton jest opiekunem samozwańcem, który mianował się na to stanowisko z trudnego do zgłębienia powodu. Betty tymczasem świetnie się bawiła w towarzystwie Joego. Nie obchodziło jej jednak, co dalej z podróżą, i dla Louise był to poważny problem. Doceniała życzliwość pani Slater, ale z dnia na dzień stawała się nie-

cierpliwsza. Spieszyło jej się do Yorku, tym bardziej że z każdym dniem zwłoki rodzice w Barnet niepokoiли się z pewnością coraz bardziej.

Podczas choroby wiele myślała o swoim życiu w Chipping Barnet pod opieką pary kochających ludzi, którzy ją wychowali. Pamiętała wiele szczęśliwych rodzinnych wydarzeń: lekcje z braćmi, pikniki, naukę jazdy konnej, strzelania, łowienia ryb. Pamiętała też, jak bardzo była zniecierpliwiona szyciem i rysowaniem, których chciała nauczyć ją mama. Czasem przytrafiały jej się różne dziecięce choroby i wtedy była pielęgnowana z wielką troskliwością. Gdy leżała w łóżku, odwiedzali ją bracia i zawsze starali się rozweselić. Bardzo za wszystkimi tęskniła.

Uświadomiła sobie, że chce, aby Jonathan poznał ich wszystkich i aby oni poznali Jonathana. Powinni się dowiedzieć, jak dobrze sobie radził, odgrywając rolę opiekuna, tym bardziej że był niewiele starszy od Luke'a. Wciąż jednak nie wiedziała, czym się zajmuje, nie wiedziała nawet, czy naprawdę nazywa się Jonathan Linton, choć nie mogła zaprzeczyć, że za nim zatęskni, gdy ich drogi się rozejdą.

Pod koniec tygodnia Louise pierwszy raz elegancko się ubrała i zeszła na kolację, na którą zaproszono również Jonathana. Włożyła zieloną suknię, która leżała na niej tak doskonale, jakby była szyta na miarę. Przędzik był pikowany, wykonany z brokatu nieco jaśniejszego niż tafta sukni. Zieleń mogła swą żywością konkurować ze świeżo ściętą trawą. W talii suknia była dopasowana, a rozcięcie ukazywało falbaniastą halkę z rąbkiem z kremowej koronki. Lekkie usztywnienie halki służyło uwydatnieniu bioder, co z kolei podkreślało smukłość talii, a zarazem pobudzało do miłych domysłów o krągłościach poniżej. Rękawy, wąskie do łokci, rozszerzały się kremowymi koronkami. Stroju dopełniały zielone aksamitne pantofelki, wachlarz z jagnięcej skórki oraz perłowy naszyjnik, jedyna sztuka autentycznej biżuterii, jaką miała Louise, a którą zabrała, by w razie problemów sprzedać. Wysoką fryzurę Louise zdobiły u szczytu loki, z tyłu zaś kilka anglezów opadających na kark.

Louise jako uosobienie wdzięku zrobiła piorunujące wrażenie na Jonathanie, który czekał w salonie razem z gospodarzami. Czy to możliwe, że tak wygląda kolejne wcielenie tego młodzieńca, z którym krzyżowali szpady, czy tej podtopionej trzpiotki, ocieka-

jącej wodą, czy jeszcze tego dziecka złożonego chorobą i potrzebującego słów otuchy? Louise z pewnością kryła w sobie jeszcze znacznie więcej.

Jonathan miał wrażenie, że dzieje się z nim coś bardzo dziwnego, ale uśmiechnął się i skłonił nad jej dłonią.

- Moja droga, wygląda pani prześlicznie. Wiedziałem, że zieleń jest dla niej wymarzona.

- Bardzo dziękuję - odpowiedziała, zachwycona tym komplementem.

Doszła do wniosku, że pan Linton się zmienia. Niecierpliwy mężczyzna, który chce jak najszybciej poradzić sobie z uciążliwym kłopotem, ustąpił miejsca elegantowi. Gdyby nie знаła go lepiej, pomyślałaby, że nawet trochę ją polubił. Z pewnością wydawał się znać jej upodobania co do strojów.

Betty zeszła w jednej z nowych sukni, wsparta na ramieniu wymuskanego Joego, który czuł się niesłychanie ważny, mogąc zjeść kolację z lepszymi od siebie. Zaraz potem służąca Sadie przyszła ogłosić, że kolacja została podana, i wszyscy przenieśli się do jadalni. Posiłek był prosty, ale spożywany w serdecznej atmosferze. Rozmawiano o wszystkim: o muzyce, sztuce, złej pogodzie, stanie dróg i narastającym problemie zbójców.

- Przynajmniej jeden z tych łotrów znalazł się za kratkami, i to dzięki panu, Linton - powiedział pan Slater.

- I dzięki Louise - odpowiedział z uśmiechem. - To ona go powaliła.

- Nie zdążyłam nawet pomyśleć - powiedziała Louise.

- To wiemy, moja droga - przyznał. - Jeszcze musi się pani nauczyć, żeby najpierw myśleć, a potem działać.

- Czasem nie ma czasu na takie subtelności - wtrąciła pani Slater, zanim Louise zdążyła zapłonąć oburzeniem. - Bywa, że najlepiej słuchać instynktu.

- Naprawdę mam nadzieję, że nie będę musiała więcej posługiwać się instynktem - powiedziała Louise. - I cieszę się, że pan Linton był w stanie zidentyfikować tego przestępcę.

- Jeśli dobrze pamiętam, to zasługa Joego - powiedział Jonathan, spoglądając na swojego pomocnika, który zupełnie nie zwracał uwagi na tok rozmowy, pochłonięty

rozmową z Betty. Jonathan mocno kopnął go pod stołem. Młody człowiek poderwał głowę i przybrał potulną minę. - Mówimy o Jedzie Blacku - wyjaśnił mu Jonathan.

- A co z nim? - spytał Joe.

- Jak pan go poznał? - doprecyzowała Louise.

- Nie jest najprzystojniejszym mężczyzną świata, prawda? - powiedział Joe. - Poza tym brakuje mu półtora palca u ręki.

- Wie pan, dlaczego?

- Nie. Mógł stracić w walce, przytrzasnąć sobie drzwiami albo skaleczyć się w pracy.

- W pracy! - zaśmiał się Jonathan. - Ten człowiek nie wie, czym jest uczciwa praca.

Louise zadrzała.

- Nie mówmy już o nim. Szczęśliwie siedzi za kratami, a ponadto są przyjemniejsze tematy do rozmowy. - Odwróciła się do pani Slater. - Czy wie pani, że w drugim dniu naszego pobytu w Doncaster pan Potton wziął nas na wyścigi? Bardzo nam się podobało. Postawiłam skromną sumę na Czarnego Księcia i udało mi się wygrać. To było bardzo ekscytujące.

- Wyścigi są znaną atrakcją Doncaster - powiedział pan Slater. - Ludzie przyjeżdżają tutaj z bardzo daleka, niektórzy aż z Londynu.

- Tak, właśnie dlatego nie mogliśmy znaleźć miejsca w dylizansie i musieliśmy się zadowolić furmanem i barką.

- Dlaczego nie poczekały panie na pana Lintona?

Louise spłonęła rumieńcem.

- Obawiam się, że mieliśmy wcześniej małe nieporozumienie.

Jonathan parsknął śmiechem.

- Wierzę, że Louise nauczyła się już nie lekceważyć moich wysiłków, by jej pomóc. Jedziemy dalej razem. Czyż nie, moja droga?

- Tak - powiedziała. - Kiedy ruszamy?

- To zależy od pani samopoczucia, to znaczy wtedy, kiedy znajdzie pani dość sił.

- Czuję się doskonale. Chociaż jestem bardzo wdzięczna państwu Slaterom za to, co dla mnie zrobili, sądzę, że zaczynam nadużywać ich gościnności.

- Bardzo nam miło panią gościć - powiedziała pani Slater. - Może pani jeszcze u nas pobyc.

- Wiem - powiedziała Louise z wdzięcznością. - Czuję jednak, że powinniśmy czym prędzej ruszać w drogę.

- A więc jutro - powiedział Jonathan. - Jeśli wyruszymy odpowiednio wcześnie, powinniśmy dotrzeć do Yorku w jeden dzień. Ta część drogi jest w niezłym stanie, o ile się nie mylę.

O ósmej następnego ranka powóz Jonathana stał przed drzwiami domu. Wymieniono formułki grzecznościowe i obietnice pisania listów. Louise, ubrana w bursztynową suknię, która uwydatniała kolor jej włosów, wsiadła i spodziewała się, że Betty pójdzie za jej przykładem, ta jednak oznajmiła, że dotrzyma towarzystwa Joemu, i usiadła na koźle.

- Czy pan sądzi, że to stosowne? - spytała, gdy Jonathan zajął miejsce obok.

- Stosowne? - spytał ze śmiechem. - Jak pani może o coś takiego pytać, Louise? Od kiedy zawsze postępuje pani stosownie?

- Cóż, czuję się odpowiedzialna za Betty.

- Pani? Odpowiedzialna? - spytał z udawanym niedowierzaniem.

- Czemu nie? To ja poprosiłam ją, żeby ze mną pojechała. Nie wiedziałam, że wplączę ją w tyle awantur.

- Po co ją pani poprosiła?

- Nie chciałam podróżować sama. Sądziłam, że mąż z żoną będą przyciągać mniej uwagi.

- Moja droga, pani nie może nie przyciągać uwagi, w żadnej sytuacji. Taka już pani natura...

- Skąd pan wie, jaka jestem? Niczego o sobie panu nie mówiłam. Przecież mogę być wstydliva i nieśmiała, bać się własnego cienia i starać się uchodzić za dzielną, żeby ukryć własne tchórzostwo - odparła kwaśno.

- Oczywiście, ale proszę pozwolić, że pozostanę przy swoim zdaniu. Tchórz nie przyjąłby wyzwania do pojedynku, nie zaatakowałby osiłka z wielkim kamieniem w ręku, nie rzuciłby się na właściciela barki i nie uratował przyjaciółki przed utonięciem. Tchórz już dawno temu umarłby ze strachu. Mogę tylko zakładać, że odebrała pani raczej nietuzinkowe wychowanie.

- Skądże, było całkiem przeciętne.

- Opowie mi pani o tym?

- Po co?

- Bardzo mnie to interesuje. Czy ma pani oboje rodziców, braci, siostry, krótko mówiąc, ludzi, którzy się o nią troszczą?

- Tak, rodziców i trzech braci, ale żadnej siostry.

Gdy tylko to powiedziała, przyszło jej do głowy, że mogła skłamać. Skąd miała wiedzieć, czy nie ma sióstr? Albo że ma braci? Takie pytania wprawiały ją niezmiennie w zakłopotanie. Była przecież kobietą, dla której nie było miejsca w towarzystwie.

- Po co więc pani ich porzuciła i wyruszyła w podróż? Powód musiał być bardzo naglący. Może kochanek?

Spojrzała na niego karcąco. Nie przyszło jej do głowy, że ktoś mógłby wpaść na taki pomysł.

- Nie - burknęła. - To, że chcę odwiedzić krewną, nie oznacza, że może pan podawać w wątpliwość moją przyzwoitość.

- Bardzo przepraszam.

- Poza tym nie porzuciłam rodziny - ciągnęła. - Wiedzą, gdzie jestem.

- Na pewno? - spytał cicho.

- Tak.

- I dali swoje przyzwolenie na tę wyprawę? Och, Louise, chyba nie oczekuje pani, że w to uwierzę?

- Zostawiłam im list z wyjaśnieniem, dokąd jadę, i informacją, że wkrótce wrócę. Nie spodziewałam się, że podróż potrwa tak długo. Z Yorku napiszę do nich i wytłumaczę, dlaczego mój powrót się opóźnia.

- A potem?

- Potem pójdę swoją drogą, a pan swoją - powiedziała z udaną beztroską.
- A jeśli się na to nie zgodzę?
- Dlaczego miałby się pan nie zgodzić? Poza tym wspomniał pan, że ma w Yorks-hire sprawę do załatwienia.
- Powiedziałem też, że może ona poczekać. Zostanę z panią aż do końca podróży.
- Przecież nie wie pan, dokąd zmierzam.
- To prawda, ale jeśli będę pani towarzyszył dostatecznie długo, to sam się przekonam, prawda?
- Nie potrafię zrozumieć dlaczego. Nie chciałabym być dla pana kłopotem.
- Ale jakże wdzięcznym kłopotem by pani była - odpowiedział z humorem. - Będzie mi bardzo przykro, gdy nasza podróż dobiegnie końca. Najchętniej przedłużałbym ją w nieskończoność.

Spojrzała na niego badawczo. Dlaczego w jednej chwili na nią wrzeszczał, a w kolejnej prawił komplementy? Czyżby bawił się jej kosztem?

- Ja aż tak dobrze się z panem nie bawię. W Yorku rozstaniemy się.

Linton nic nie odpowiedział, ponieważ powóz wjeżdżał akurat do Ferrybridge. Było to bardzo gwarne miejsce, z przeprawą przez rzekę Aire, położone na rozstaju dróg biegnących stąd w różne strony - do Yorku i Edynburga, do Glasgow i Carlisle oraz do Leeds. Nie brakowało tu dyliżansów, powozów i jeźdźców. Joe zatrzymał się na podwórzu zajazdu Pod Aniołem i zajął się zmianą koni, a Jonathan pomógł Louise wysiąść. Nareszcie mogła rozprostować nogi, napić się i coś przekąsić.

Wciąż zastanawiał się, dlaczego panna Vail koniecznie chce się go pozbyć. Pierwszy raz w życiu został odrzucony przez młodą damę, zamiast jednak wzruszyć ramionami i pozwolić jej odejść, był tym bardziej zdecydowany pozostać. Doświadczał sprzecznych uczuć. Miał ochotę ją zmusić do wyznania prawdy, wyłócić się na nią, ale jednocześnie współczuł jej, widząc, że pewność siebie jest tylko pozorna. Chciał ją chronić, ale nie wiedział przed kim i dlaczego. Jeśli nie jechała w odwiedziny do kochanka, to do kogo? Przypomniał sobie zdanie z listu, który zostawiła rodzicom: „Na pewno rozumiecie, dlaczego muszę wyruszyć w tę podróż”. Żałował teraz, że nie naciskał pani Vail, by wyjawiała całą prawdę.



Nie wiedział jednak, czy ją poznawszy, podjąłby się zadania. Spojrzał na obgryzającą nóżkę kurczęcia Louise i uśmiechnął się nieznacznie. Dużo by stracił, gdyby nie poznał panny Vail.

Tymczasem Louise podniosła wzrok i zauważyła, że jest obserwowana. Kiedy Jonathan to robił, czuła się naga, jakby nic przed jego wzrokiem nie mogło się ukryć. Czyżby wiedział, dlaczego chciała podróżować sama? Nie zniosłaby wstydu, gdyby musiała się przyznać, że pochodzi z nieprawego łoża, a jej prawdziwa matka ukryła poród przed ojcem. Swoją drogą, zastanawiała się Louise, jak to w ogóle było możliwe. Jak często małżonek musiał przebywać poza domem! A może jej matka nigdy nie wyszła za mąż?

Wkrótce Louise miała poznać prawdę i była tym coraz bardziej przerażona.

Skończyli posiłek i wkrótce znaleźli się na drodze do Tadcaster, gdzie czekała ich kolejna zmiana koni. Pogoda im sprzyjała, a Jonathan bez trudu znajdował najlepsze zwierzęta, więc poruszali się szybko.

- Dojedziemy do Yorku już dzisiaj - powiedział. - Czy cel pani podróży jest dostatecznie blisko, by dotrzeć tam przed zmrokiem?

- Nie wiem. Popytam. Jeśli nie, to muszę gdzieś się zatrzymać. A pan?

- Ja?

- Tak. Wypytuje mnie pan nieustannie, a jeszcze nic o sobie nie opowiedział. Równie dobrze mógłby się pan okazać największym hultajem w całym królestwie.

Uśmiechnął się.

- Chyba pani tak nie myśli.

- Nie. Dowiódł pan, że jest inaczej. Wiele razy mógł pan wykorzystać swoją przewagę nade mną, ale tego pan nie zrobił, Jonathanie. Zastanawiam się dlaczego. Czy moje trzpiotowate pomysły budzą w panu odrazę?

- Nie. One są częścią pani uroku. - Urwał. - A czy chciałaby pani, abym wykorzystał swoją przewagę?

- Och, nie! Po prostu byłam ciekawa, nie sądzę, by każdy mężczyzna na pana miejscu zachował się równie przyzwoicie.

- Jestem wyjątkowy, Louise.

- A czy jest pan także żonaty?

- Żonaty? Nie.

- Może zaręczony?

- Też nie. Nie spieszy mi się do małżeństwa. To zbyt poważna sprawa, by pochopnie decydować. Niewłaściwy wybór damy może dwojgu zatruć życie. Zbyt ślepo polega się w tym względzie na losie.

- Pan wydaje się zgorzkniały.

- Nie zgorzkniały, Louise, tylko ostrożny.

- Czyli nigdy nie był pan zakochany!

Roześmiał się.

- Dziesiątki razy w moich młodych latach. Nigdy jednak nie straciłem rozsądku na tyle, by się oświadczyć, a żadne z tych uczuć nie przetrwało, za co jestem losowi wdzięczny.

- To znaczy, że nie był pan zakochany naprawdę. Prawdziwa miłość trwa - odparła zwyczajnym tonem.

- Bez wątpienia ma pani rację.

- A damy z pana lat młodości?

- Nie sądzę, żeby miały złamane serce.

- Pan chce uchodzić za niewrażliwego, ale nigdy w to nie uwierzę. Skąd u pana taka niechęć do małżeństwa?

- Nie odczuwam niechęci do małżeństwa, tylko do pospiesznego zawierania związku jedynie dlatego, że takie są rodzicielskie oczekiwania.

- Czy pana rodzice mają takie właśnie oczekiwania?

- Mówiłem ogólnie - wyjaśnił wymijająco.

- Czy dlatego jeździ pan po całym kraju, tropiąc przestępców? Ucieka pan przed cudzymi oczekiwaniami?

Louise poruszyła krępujący temat, którego Jonathan nie zamierzał kontynuować.

- To nie ja uciekam, tylko pani.

- Mojej podróży z pewnością nie można nazwać ucieczką.

- Rzeczywiście - mruknął. - Wycofuję zarzut. Nie można powiedzieć, by pani przed czymś uciekała. Wręcz przeciwnie. Prędzej rzuciłaby pani wyzwanie swoim lękom nawet wtedy, gdy rozsądniej byłoby się wycofać.

- Pan znowu stroi sobie ze mnie żarty!

- Ależ skąd! Mówię poważnie. Pani bracia mają dużo na sumieniu.

- Co pan przez to rozumie?

- To z ich winy pani jest tak nieustraszona, tak niezależna i zupełnie niepotrafiąca oceniać niebezpieczeństwa. Dlaczego nie podda się pani i nie wróci do domu? Z przyjemnością panią odwiozę.

- Nie! Jestem już zbyt blisko celu.

Wyjrzała przez okno, zastanawiając się nie pierwszy raz, czy nie lepiej byłoby zrezygnować z poszukiwań zgodnie z radą Lintona, zwłaszcza teraz, gdy wiedziała, że w Yorku ich drogi się rozejdą. Nie mogła przecież pozwolić, by pan Linton poznał prawdę o jej pochodzeniu.

Łąki i pola ustąpiły miejsca zabudowie i wkrótce stanęli w zajeździe, by ostatni raz przed Yorkiem zmienić konie. Do przejechania mieli jeszcze dziewięć mil, co wydawało się zupełnie bagatelną odległością w porównaniu z tą, którą już pokonali.

Gdy powóz potoczył się naprzód, rozmowa sama z siebie wygasła. Oboje w milczeniu próbowali odgadnąć, co przyniesie przyszłość.

Półtorej godziny później przejechali przez bramę wieży strzegącej wjazdu do otoczonego murami miasta York, potem pokonali most, po drodze mijając domy i warsztaty rzemieślników. Wreszcie skręcili w lewo i stanęli przed zajazdem Pod Czarnym Łabędziem. Joe zeskoczył na ziemię i podszedł do drzwi powozu, który Jonathan właśnie otworzył.

- Przenocujemy tutaj, milor... proszę pana? - spytał starając się szybko zatuszować pomyłkę.

- Tak, jeśli są miejsca dla nas wszystkich. Panna Vail i ja mamy niedokończoną sprawę.

Brzęcząca sakiewka i ujmujący uśmiech Jonathana zapewniły im pokoje, więc Louise z Betty wnet szły po ciemnych dębowych schodach, prowadzone do wygodnej

sypialni. Dostarczono im dzbany gorącej wody, żeby mogły umyć się po podróży i przebrać w świeże stroje przed zejściem do jadalni na kolację.

- Nareszcie jesteśmy - powiedziała Betty, rozkładając się na łóżku. - Tego pani chciała, prawda?

- Tak. Przepraszam, że zajęło to tyle czasu. Obawiam się, że nasze rodziny się niepokoją. Napiszę do rodziców i zawiadomię ich, że dotarliśmy całe i zdrowe. Jeśli chcesz, dołączę również liścik od ciebie. Alfred bez wątpienia się z niego ucieszy.

- Dobrze, tylko, co dalej? Nie uwierzę, że przejechała pani taki kawał drogi jedynie po to, żeby natychmiast wrócić.

- No, nie. Powiedziałaś ci przecież, że chcę odwiedzić krewną w Moresdale.

- Gdzie to jest?

- Jeszcze nie wiem. Mam nadzieję, że niedaleko.

- Nie wie może pani, czy pan Linton zechce nam towarzyszyć?

- Nie będzie towarzyszył, jeśli tylko zdołam temu zapobiec.

Nalała gorącej wody do miski i zaczęła obmywać ciało.

- Dlaczego nie? Zawiezie nas tam swoim powozem. Joe mówi, że on nas nie zostawi, dopóki nie wrócimy do Barnet - poinformowała ją Betty.

- Naprawdę? Joe nie wie wszystkiego, sama chyba rozumiesz - odparła cierpko Louise.

- Nie pojmuję, dlaczego pani uparła się jechać sama.

- Nie twoja sprawa.

- Proszę więc mnie zostawić tutaj z Joem i panem Lintonem.

- Nie mogę, Betty. Ponoszę za ciebie odpowiedzialność. Kiedy już odwiedzimy Moresdale, pojedziemy do domu, razem. Proszę, nie utrudniaj czegoś, co i tak jest skomplikowane.

Wylała wodę do wiadra i obróciła się, by poszukać sukni na kolację. Tym razem wybrała jedwabną w białoniebieskie paseczki, z przodem zdobionym rzędem kokardek biegnących od kwadratowego dekoltu aż po wąską talię. Betty również umyła się i przebrała, tak że buntowniczy nastrój szybko ją opuścił. Właśnie kończyły toaletę, gdy rozległo się pukanie. Louise otworzyła drzwi.

- Przyszedłem zaprowadzić panie na kolację - oznajmił Jonathan z ujmującym uśmiechem.

Przyjrzał się towarzyszce z uznaniem. Ilekroć widział ją po krótkiej przerwie, zachwycał się jej urokiem, który nie potrzebował ani pudru, ani pomady. Gdyby Dorothea Mantle była choć w połowie tak urodziwa i pełna życia jak ta panna, może posłuchałby rodziców i zaczął się do niej zalecać.

Uśmiechnął się i od razu skarcił za niedorzeczne myśli.

- Czy panie są gotowe?

York był zabytkowym miastem, pamiętającym czasy wikingów i Rzymian. Następnie zaś stał się siedzibą arcybiskupa, rezydującego przy katedrze zwanej The Minster. Miasto ucierpiało podczas wojny domowej z rąk oddziałów Cromwella, ale jego mury, choć miejscami zniszczone, wciąż stały i stanowiły atrakcyjną trasę spacerową, podczas której można podziwiać z góry całą okolicę.

Kolację jedzono w gwarnej atmosferze, ponieważ zajazd był pełny i wszyscy próbowali mówić jednocześnie. Głównym tematem rozmów był zuchwały rabunek, który zdarzył się na miejskich murach. Zbój napadł młodego człowieka i zagroził mu, że jeśli nie odda sakiewki, szpady i brązowego szustokoru, zostanie strącony z murów na ziemię. Młodzieniec posłuchał, łotr natychmiast włożył okrycie i uciekł.

- To zadanie dla pana - powiedziała Louise do Jonathana. - Ujęcie przestępcy przyniesie panu więcej korzyści niż dotrzymanie mi towarzystwa.

- No, no, moja droga - odparł. - Mam wrażenie, że pani chce się mnie pozbyć.

- Cóż, nie zamierzam pana rozczarować. Dostanie pan ode mnie niewielkie wynagrodzenie, ale chwytanie niebezpiecznych przestępców z pewnością przynosi znacznie większe zyski. Może nawet mógłby pan kupić sobie trochę modnych strojów, które pasowałyby do jego eleganckiego powozu.

Jonathan roześmiał się.

- Ma pani rację, ale nie należę do ludzi, którzy tylko patrzą, skąd wiatr wieje, będąc niczym chorągiewka na dachu. Zresztą miejscowi konstable bez wątpienia są już na tropie. Nie interesuje mnie ten zbój.

- Szkoda - powiedziała.

Przez chwilę milczeli zanurzeni w szmerze rozmów. Udawali, że zajmują się jeżdzeniem, tym bardziej że Joe i Betty obok nich byli całkowicie pochłonięci sobą.

- Zamówiłem pokoje tylko na jedną noc - powiedział w końcu Jonathan, odsuwając od siebie na wpół zjedzone danie. - Jeśli jednak chce pani zostać dłużej, z pewnością można to załatwić.

- Dlaczego miałabym chcieć zostać dłużej? - spytała Louise.

- Jeśli cel pani podróży znajduje się tuż-tuż, może pani potrzebować miejsca w pobliżu, chyba że krewna zaprosi panią do siebie.

- Tego nie jestem pewna.

- Bliskości celu podróży czy gościnności krewnej?

- Ani jednego, ani drugiego.

- Rozumiem. - Uśmiechnął się do niej w taki sposób, że poczuła przyjemny dreszczyk na plecach. - Z pewnością jednak zna pani cel swojej podróży z nazwy.

- Owszem. Po prostu jeszcze nie wiem, jak się tam dostać - przyznała.

- To jest całkiem proste - powiedział radośnie. - Pojedzie pani moim powozem. Myślałem wcześniej, że mówię to całkiem jasno, w każdym razie byłoby mi dużo łatwiej, gdybym wiedział, dokąd Joe ma jechać.

- Panie Linton, ile razy jeszcze mam panu powtarzać, że nie potrzebuję jego pomocy. Jeśli zajmuje się pan łapaniem złodziei, z pewnością znajdzie pan lepsze zatrudnienie gdzie indziej.

- Pierwszy raz słyszę, żeby kobieta go przemogła - szepnął Joe do Betty.

- Słyszałem, co powiedziałaś - stwierdził Jonathan.

- Ta dama wcale mnie nie przemogła, poza tym byłbym wdzięczny, gdybyś zachował własne zdanie dla siebie.

Joe popatrzył na niego zdziwiony. Pan jeszcze nigdy nie skarcił go tak publicznie. Panna Louise Vail musiała mu solidnie zaleźć za skórę, pomyślał.

- Bardzo przepraszam, milordzie - odrzekł skruszony.

- Milordzie? - powtórzyła Louise i spojrzała z uwagą najpierw na Joego, który spurpurowiał na twarzy, a potem na Jonathana, który groźnie zmarszczył brwi.

- Czy pan Potton zatytułował pana przed chwilą milordem?

Jonathan wzruszył ramionami.

- Chyba tak i na pewno wypruję mu za to flaki.

- Kim pan jest? - spytała cicho Louise. - Nie nazywa się pan Jonathan Linton, prawda?

- Dla celów tej przygody tak właśnie się nazywam.

- A kim pan jest, kiedy nie oddaje się przygodom? Nieznacznie skłonił przed nią głowę. Elegantszy ukłon był w tej chwili niemożliwy, ponieważ siedzieli przy długim, wieloosobowym stole.

- Wicehrabia Jonathan Leinster, do usług szanownej pani.

- Wicehrabia!

Przypomniały jej się żarciki Luke'a, a zaraz potem podsłuchana rozmowa rodziców o jej ślubie z arystokratą, a tu arystokrata przyprawił ją właśnie o atak paniki. Słyszała kiedyś, jak Luke o nim opowiada. Był synem hrabiego Chastonbury mającego ziemie niedaleko Barnet. Jako sąsiad mógł ją znać ze słyszenia, należało więc jak najszybciej się od niego uwolnić.

- Obawiam się, że tak - przyznał - ale tytuł i nazwisko nie czynią różnicy. Wciąż jestem tym samym człowiekiem, którego pani poznała...

- Sądzi pan, że udało mi się milorda poznać? Nie wydaje mi się. Jest pan dla mnie tak samo obcym człowiekiem, jak w dniu, gdy się spotkaliśmy - powiedziała.

- Kłamczucha - odparł.

- Zabawił się pan moim kosztem, milordzie, a teraz proszę zostawić mnie w spokoju. Nie potrzebuję pana.

Rozzłoszczona wstała z ławy i opuściła jadalnię. Nawet nieco się uniósł, by ruszyć za nią, ale zmienił zdanie i ponownie zajął miejsce. Skonstatował w duchu, że tak irytującej kobiety jeszcze nie spotkał.

- I nie waż się robić kolejnych uwag - zwrócił się do Joego. - Idź lepiej przygotować konie na jutro.

Joe wyszedł z Betty, podobnie jak reszta uczestników kolacji, którzy rozpierzchli się w poszukiwaniu wieczornych rozrywek. Jonathan zamówił brandy i siedział z ponurą

miną, rozmyślając o pannie o czarujących oczach. Nikogo podobnego w życiu jeszcze nie poznał.

Młode damy spotykane przez niego na gruncie towarzyskim były albo córkami przyjaciół ojca, i z nimi czasem flirtował, jeśli wymagała tego sytuacja, albo kobietami z półświatka, i z tymi czasem romansował. Louise Vail nie należała do żadnej z tych dwóch grup. Musiał raz po raz powtarzać sobie, że nie jest ona panną z jego świata. Dlaczego więc pozwalał, by tak często krążyły wokół niej jego myśli?

Louise poprosiła gospodarza, żeby dostarczył jej przybory do pisania, po czym poszła do pokoju. Nie od razu jednak zaczęła list. Naturalnie, wiedziała, co chce w nim zawrzeć, ale jej myśli zaprzętało w tej chwili oszustwo Jonathana. Od pewnego czasu darczyła go zaufaniem, pozwalała mu dyktować rytm ich podróży, przyjmowała od niego podarunki i nawet przyznała, choć tylko przed sobą, że bardzo go lubi. Gdyby nie cel, który jej przyświecał, może nawet by się w nim zakochała.

Czy to możliwe? Usiadłszy na łóżku, próbowała zgłębić swoje uczucia, ale tylko pograżyła się w większym chaosie.

Westchnęła ciężko i podeszła do sekretarzyka, by napisać do mamy. Zrelacjonowała podróż tak, jakby minęła całkiem zwyczajnie. Opóźniło ją przeziębienie złapane wskutek niesprzyjającej pogody, ale pomogła jej pani Slater, współtowarzyszka podróży, z którą się zaprzyjaźniły. Następnie wspomniała, że zawarła znajomość z wicehrabią Leinster, przebywającym w Yorkshire w swoich sprawach. Wicehrabia bardzo na miejscu jej pomógł. Doniosła też, że nazajutrz wybiera się do Moresdale, a potem zamierza wrócić do domu. Prosiła o wybaczenie i wyrażała nadzieję, że rodzice przyjmą ją z powrotem pod swój dach, ponieważ nie wyobraża sobie życia bez nich i bez braci.

Napisawszy to, poczuła się znacznie lepiej i właśnie składała podpis, gdy do pokoju weszła Betty.

- Jeśli napisałaś do Alfreda, zapieczętuję oba listy razem i zaniosę na pocztę - zaproponowała.

Pół godziny później zarzuciła chustę na ramiona i wyszła na ulicę. Po zatęchłej atmosferze zajazdu miło było znaleźć się na świeżym powietrzu, pomyślała i zaczerpnęła głęboko powietrza z nadzieją, że odzyska w ten sposób spokój ducha.



Zapytała o drogę wcześniej, więc bez wahania skierowała się ku katedrze, której wieża górowała nad dachami domów. Potem skręciła w prawo i znalazła się na ruchliwej ulicy, gdzie zaczęła wypatrywać karczmy York. Tam według właściciela zajazdu Pod Czarnym Łabędziem codziennie wieczorem odbierano pocztę. Pozostawiła list, a potem wstąpiła jeszcze na chwilę do katedry.

Wnętrze było olbrzymie, kilka razy większe niż w kościele jej ojca, ale mimo kunsztownego wystroju sprzyjało wyciszeniu. Chodziła po nawach, czytała inskrypcje i z podziwem obejrzała wspaniały witraż w prezbiterium. W końcu uklękła przed ołtarzem i pomodliła się o to, by Bóg jej wybaczył i wskazał właściwą drogę.

Znacznie spokojniejsza, wyszła i skierowała się z powrotem do karczmy.

W pobliżu zajazdu ulica była nawet ruchliwa. Minęła młodą parę, kobietę z dzieckiem na rękach, dżentelmena, zapewne wracającego do domu z przejażdżki, i nieletniego żebraka, któremu dała pensa. Potem przeszedł obok niej kominiarczyk ze szczotką do czyszczenia kominów na ramieniu, przejechał powóz, w którym dwóm damom towarzyszyli dżentelmeni. Wreszcie zatrzymała wzrok na mężczyźnie z krótką zaniedbaną bródką, który opierał się o ścianę i palił obskurnie wyglądającą fajkę. Miał na sobie brązowy szustokor z jedwabiu, dziwnie niepasujący do brudnych sukiennych spodni. Zdawało się, że obserwuje ludzi, którzy przekraczają próg zajazdu. Gdy podniósł rękę, by wyjąć fajkę z ust, Louise wzdrygnęła się. Mężczyzna nie miał palca wskazującego i czubka kciuka.

## Rozdział siódmy

Niemożliwe. Przecież tego człowieka odesłano pod strażą do Londynu. Powinien już być z powrotem zamknięty w więzieniu Newgate. Chciała rzucić się do ucieczki, opanowała się jednak i dalej szła tym samym lekko powolnym krokiem. Czy ten oprych mógłby ją poznać w nowym stroju? Przecież kiedy ją ostatnio widział, odgrywała rolę Louisa Smitha.

Szybko weszła do zajazdu i natychmiast udała się na poszukiwanie Jonathana, zapomniawszy o wcześniejszej kłótni. Powiedziano jej, że pan Linton jest w swoim pokoju. Głęboko odetchnęła, wspięła się na piętro i zapukała. Chwilę później drzwi się otworzyły. Jonathan miał na sobie spodnie i pończochy, ale na tym jego ubiór się kończył.

- Louise! - zawołał. - Czemu zawdzięczam ten zaszczyt?

- Milordzie... - zaczęła i urwała, onieśmielona jego niekompletnym ubiorem i atletyczną sylwetką.

Pierwszy raz poczuła mrowienie w dłoniach wywołujące nieodparte pragnienie, by go dotknąć, poczuć szorstkość skóry i sprężystość poskręcanych włosów, które zaczynały się u podstawy szyi i ciągnęły przez cały tułów aż po pas. Zacisnęła dłonie na fałdach spódnicy, chcąc jakoś się opanować.

- Jonathanie... - poprawił ją. - Trudno zachowywać oficjalne formy w takich okolicznościach. - Słyszając kroki, spojrział szybko za jej plecy. - Lepiej niech pani wejdzie do pokoju - powiedział, wciągnął ją do środka i zamknął za nimi drzwi.

- Milordzie!

Stała tak blisko, że czuła promieniujące od niego ciepło i oddech muskający jej policzki zapachem brandy. Po ciele znowu przebiegł ją przyjemny dreszczyk.

- Chce pani, żeby pół świata wiedziało o jej wieczornych odwiedzinach w moim pokoju? - spytał.

Uśmiechnął się łagodnie, by osłabić nieco jej niepokój. Domyślał się, że panna Vail nigdy dotąd nie widziała półnagiego mężczyzny, było jednak za późno, by szukać kożuli.

- Nie, oczywiście, nie. Nie przyszedłbym do pana, gdyby nie to, że właśnie zobaczyłam Jeda Blacka, o którym mówił pan, że jest przewożony pod strażą do Newgate. Tego samego, który poprzysiągł zemstę...

Chwycił ją za ramiona i spojrzał jej prosto w oczy. Miał wielką ochotę ją pocałować i może nawet uległby temu pragnieniu, gdyby nie to, że mimo swej niezależności, ducha przygody i siły charakteru Louise była całkowicie niewinna. Zanadto przejęła się tym, co miała mu powiedzieć, by zdawała sobie sprawę z efektu, jaki wywiera na nim jej obecność.

- Moja droga, czy na pewno nie ponosi pani wyobraźnia? - spytał z wymuszoną lekkością.

Puściła mimo uszu poufałość, która przecież nic nie znaczyła.

- Jestem tego pewna. Zapuścił brodę i zmienił okrycie, ale nie mógł przyprawić sobie brakujących palców.

To obudziło jego czujność. Niemożliwe, żeby Louise fantazjowała.

- Gdzie go pani widziała?

- Na ulicy. Stał na rogu, paląc fajkę. Jestem pewna, że nas wypatrywał. - Uwolniła się z jego objęć i podeszła do okna. - Wybrał taki róg, żeby mieć oko na zajazd i widzieć wszystkich wchodzących i wychodzących ludzi.

Podszedł do niej i spojrzał nad jej ramieniem we wskazane miejsce, ale nikogo już tam nie było.

- A co pani robiła na dworze? Znowu próbowała pani przede mną uciec?

- Nie.

Czuła na karku jego oddech, zapragnęła odwrócić się i wtulić w jego objęcia. Z największym trudem powstrzymała się jednak.

- Zaniiosłam na pocztę list - wyjaśniła. - A ponieważ był pogodny wieczór, wstąpiłam potem do katedry. Blacka zauważyłam, wracając.

- Poznał panią?

- Nie, przecież zna mnie jako Lou Smitha, a ja nie zdradziłam się z tym, że wiem, kim jest. Ale pana, Joego i Betty na pewno pozna.

- To prawda - powiedział i delikatnie obrócił ją ku sobie.

- Co zrobimy?

Uśmiechnął się, słysząc liczbę mnogą.

- My nie zrobimy nic. Proponuję, żeby wróciła pani do pokoju i zostawiła wszystko mnie. - Ujął ją za rękę i zaprowadził do drzwi. - Zobaczymy się rano. Musimy poważnie porozmawiać, ale to może poczekać do jutra. - Wyjrzał na korytarz. - Droga wolna - powiedział i przytknął palec do warg. - Proszę już iść i niczym się nie martwić. Nie pozwolę mu pani skrzywdzić.

- Nie o siebie się martwiłam - odparła. - Stanowczo nie o siebie.

- Wielkie nieba. Schlebia mi to, że pani o mnie myśli! - Roześmiał się, żeby ukryć zakłopotanie. - Na pewno nic mi się nie stanie, proszę jednak już iść, bo ktoś gotów nas zobaczyć i wyciągnąć całkiem opaczne wnioski.

Szybko pokonała kilka metrów korytarza i weszła do pokoju. Wewnątrz rozebrała się i położyła na łóżku. Była tak poruszona, że nawet nie zainteresowała się, dlaczego jeszcze nie ma Betty. Rozmyślała o tym, że ilekroć usiłuje zerwać kontakt z Jonathanem Lintonem, czy raczej z wicehrabią Leinster, jakaś siła nie pozwala im się rozstać.

Gdyby tylko on nie miał tytułu... Setny już chyba raz w ciągu ostatnich dwóch tygodni zadała sobie pytanie, kim jest. Dawna Louise mogłaby marzyć o uwiedzeniu wicehrabiego, ale Louise podróżniczka musiała wybić sobie z głowy takie nedorzeczności. Nazajutrz uda się do Moresdale, żeby poznać prawdę. Znowu nawiedziły ją rozmaite wątpliwości. Co zrobi, jeśli okaże się, że w Moresdale nikt nie słyszał o Catherine Fellowes albo jeśli już umarła i zabrała swoją tajemnicę do grobu? Louise wiedziała, że w takiej sytuacji będzie musiała spędzić resztę życia w niepewności. I kto ją wtedy zechce poślubić?

Jonathan szybko się ubrał, wsunął pistolety do kieszeni, zapiął pas ze szpadą i ruszył na poszukiwanie Joego. Znalazł go w kącie salonu razem z Betty, która chichotała z czegoś, co powiedział.

- Proszę iść do swojej pani, ona może czegoś potrzebować - zwrócił się do niej Jonathan.

- Nie jest moją panią - odparła Betty. - Nawet jeśli tego nie widać po tym, jak mnie traktuje. Przyjechałam tu z nią wyłącznie po to, by dotrzymać jej towarzystwa i przeżyć przygodę.

- Proszę więc teraz dotrzymać jej towarzystwa - powiedział stanowczym głosem. - Od tej chwili zatrudniam panią do opieki nad Louise.

- Wydaje mi się, milordzie, że sprawy mają się odwrotnie - wtrącił Joe. - To panna Vail opiekuje się Betty.

- Tak czy inaczej żadna nie wywiązuje się ze swoich obowiązków. - Zrobił wymowną pauzę. - Jed Black znowu uciekł i jest w Yorku.

- Niemożliwe!

- Ale prawdziwe. Pamiętasz ten napad, o którym rozmawiano przy kolacji? To jego sprawka. Nosi teraz brązowy jedwabny szustokor i zapuścił brodę, ale palców nowych przyprawić nie mógł.

- Będziemy go ścigać, milordzie?

- Tak. Groził nam zemstą, więc nie można zostawić go na wolności. - Zwrócił się do Betty. - Proszę iść do swojego pokoju i nie wystawiać stamtąd nosa, póki nie dam znać, że już jest bezpiecznie. Rozumie pani?

Przestraszona szybko się oddaliła, a Joe wyszedł z Jonathanem na ulicę. Zapadł już zmrok, a choć przy drzwiach niektórych domów paliły się pochodnie, większa część ulicy była pogrążona w ciemności.

- Wiadomo, gdzie go szukać? - spytał Joe.

- Nie, ale obserwował nasz zajazd, więc nie sądzę, żeby odszedł daleko. Pewnie nie zdaje sobie sprawy z tego, że o nim wiemy, więc możemy po prostu odbyć małą przechadzkę.

- Skąd milord to wszystko wie?

- Louise wyszła na ulicę i wtedy go zauważyła - powiedział Jonathan.

- Może go sobie wyobraziła. Kobiety często widzą zagrożenie tam, gdzie wcale go nie ma.

- Nie ta kobieta - odparł ze śmiechem. - Ona raczej nie dostrzeże zagrożenia, które istnieje. W każdym razie Louise zachowała przytomność umysłu i nie zdradziła się z

tym, że go poznała, a ponieważ była w kobiecym stroju, zapewne nie zwróciła jego uwagi. Pójdziemy zatem do sędziego i spytamy, czy nie oddałby nam do pomocy kilku godnych zaufania konstabli.

- A potem co? Sami zawieziemy tego łotra do Newgate i dopilnujemy, żeby go tam zamknięto?

- Nie. W Yorku powinno być odpowiednio strzeżone miejsce, w którym Black poczeka na zaufaną eskortę. Napiszę do lorda Portmana, żeby po niego przyjechał. To była przecież jego sprawa, ja mam co innego na głowie.

- Pannę Louise Vail - stwierdził Joe.

- Tak.

- Co w niej jest takiego wyjątkowego?

- Dobre pytanie - powiedział Jonathan zadumanym tonem. - Ma tyle wyjątkowych cech, że aż trudno wszystkie wymienić. Przede wszystkim jest ładna, poza tym dzielna, pomysłowa, bystra i nieprzewidywalna. No i zachowuje zimną krew zarówno w obliczu niebezpieczeństw, jak i groźby konsekwencji...

- Jest też córką duchownego.

- A co to ma do rzeczy?

Joe powstrzymał się przed przypomnieniem, że panna Vail nie jest damą, w każdym razie nie w sensie przyjętym w towarzystwie, zatem nie może być uważana za właściwą kandydatkę na wicehrabinę. Nie była też kobietą, z którą można nawiązać przelotny romans ani która była chętna zostać jego kochanką. Jego lordowska mość sam doskonale to wie.

- Chciałbym wiedzieć, co ona knuje - powiedział Joe.

Jonathan westchnął.

- Ja też, Joe, możesz mi wierzyć.

- Państwo Vail nie powiedzieli tego milordowi?

- Nie. W ich pojęciu miałem ją znaleźć i przywieźć do domu, nie przejmując się resztą.

Joe parsknął śmiechem.

- A milord oczywiście nie mógł, jak to on.

- Otóż to. Czy Betty coś ci powiedziała?

- Betty wie nie więcej niż my, mogę przysiąc. Zdołałem wyciągnąć od niej tylko tyle, że panna Vail bardzo chce odnaleźć dawno niewidzianą krewną, a kiedy jej się to uda, wróci do domu. Mnie się to wydaje podejrzane, osobiście obstawiałbym kochanka.

- Ona twierdzi, że tak nie jest - odparł szorstko Jonathan.

- A milord sądzi, że przyznałaby się? To najbardziej prawdopodobny powód, dla którego tak bardzo chciała zerwać się ze smyczy.

Jonathanowi wcale nie spodobał się ten pomysł, i to nie tylko dlatego, że nie chciał widzieć w Louise istoty kłamliwej. Wolał jednak nie zastanawiać się zbyt dokładnie nad swoją słabością do tej panny.

- Zróbmy dziś wieczorem to, co do nas należy, a o jutro będziemy martwić się później - powiedział i zapukał do drzwi okazałego domu.

Nazwisko Jonathana i wzmianka o Towarzystwie na rzecz Ujawniania i Ujmowania Przestępców wystarczyły, by wpuszczono ich do środka, wkrótce więc mogli opowiedzieć sędziemu wszystko, co wiedzą o Jedzie Blacku, i poprosić o pomoc.

- To bardzo zręczny łotr, cokolwiek robimy, zawsze udaje mu się uciec - wyjaśnił.

- Chciałbym dostać wsparcie dwóch rośłych ludzi, dwie pary kajdanków i ciężki łańcuch. Potrzebny będzie też odpowiedni wóz, żeby przetransportować go do więzienia. Zakładam, że w waszych lochach ściany i drzwi są solidne.

- Tak właśnie jest. Zaraz pošlę po Fletchera i Maxwella. Jeden jest rzeźnikiem, drugi kowalem, obaj są silni i muskularni. Nikt im nie ucieknie. Proszę jednak wybaczyć pytanie, czy wie pan, gdzie go szukać?

- Niestety nie, ale był widziany dziś wieczorem na Coney Road, więc przypuszczam, że pozostaje niedaleko.

Sędzia poczęstował ich flamandzkim winem, a tymczasem przywieziono dwóch konstabli. Z ich pomocą Jonathan i Joe zaczęli przeczesywać teren wokół zajazdu Pod Czarnym Łabędziem? Nie znaleźli Blacka, ponieważ jednak musiał się gdzieś zatrzymać, rozciągnęli poszukiwania na wszystkie zajazdy i karczmy. Byli bliscy rezygnacji, gdy Joe zauważył go w salonie zajazdu Pod Gwiazdą. Siedział tam i grał w karty.

- Nie możemy ująć go w zajeździe, bo ktoś z gości mógłby ucierpieć - powiedział Jonathan. - Musimy wywabić go na zewnątrz.

- Ja to zrobię - zaofiarował się Joe.

Zanim Jonathan zdążył go powstrzymać, chłopak wszedł chwiejnym krokiem do zajazdu i zażądał kufła piwa. Następnie odwrócił się i potoczył wzrokiem po zebranych. Jed zerknął na niego i znów zajął się kartami, potem jednak skojarzył Joego i wstał od stołu.

- Przepraszam, panowie - powiedział do swoich partnerów. - Mam pilną sprawę do załatwienia.

Joe udał zaskoczenie jego widokiem i szybko skierował się do drzwi. Black ruszył za nim. Przecisnął się wśród zaintrygowanych gości i wyszedł na ulicę. Jonathan już czekał, odłożywszy szpadę, a gdy Black ukazał się na progu, rzucił się na niego i powalił go na ziemię. Drab jednak nie zamierzał poddać się bez walki. Przetoczyli się kilka razy po ziemi, wzajemnie zadając sobie ciosy, podczas gdy Joe i konstable przyglądali się bezradnie z boku. Nie mogli wkroczyć do akcji, bali się bowiem, że zranią Jonathana. Tymczasem zgromadzili się gapie i zaczęli kibicować walczącym.

Jonathanowi wydawało się, że jest górą, ale Black był śliski jak węgorz. Niespodziewanie wyciągnął nóż zza cholewy i zanim Jonathan zorientował się, miał rozciętą skórę na twarzy i głęboką ranę w ramieniu. Próbował dosięgnąć odłożonej szpady, ale bez powodzenia.

Wtedy interweniował Joe. Stanął nad walczącymi ze szpadą, czekając na okazję do zadania ciosu.

- Chcę go żywcem - sapnął Jonathan i przetoczył się bezsilnie na bok.

Jed Black też jednak miał już dość. Próbował się podnieść, ale Joe posłał go z powrotem na ziemię dobrze wymierzonym uderzeniem pięści. Konstable rzucili się na przód, by skuć ręce i nogi przestępcy. Potem połączyli kajdanki przyniesionym łańcuchem.

Jonathan usiadł i przycisnął dłoń do krwawiącego ramienia.



- Cokolwiek się zdarzy, nie zdejmujcie mu tych łańcuchów - powiedział. - Trzeba go zamknąć w najgłębszym lochu i strzec bez przerwy dniem i nocą, póki nie przyjedzie po niego ktoś, kto zwolni was z tego obowiązku.

Osunął się na bruk, bo wstać już nie miał siły. Joe zatrzymał lektykę i pomógł swemu panu wsiąść.

- Nie wygłupiaj się - powiedział Jonathan, chcąc dodać sobie otuchy. - To tylko draśnięcie.

Mimo to pozwolił, by zanesiono go do zajazdu, a Joe przez cały czas biegł obok lektyki. Po kilku minutach Jonathan odzyskał siły na tyle, by samodzielnie wejść do środka i wspiąć się na schody. Joe tymczasem pobiegł szukać bandaży i brandy.

Louise wyrwał z lekkiego snu szmer na korytarzu, odgłos ledwie słyszalny, jakby ktoś przechodził ukradkiem, starając się nie zbudzić innych gości. Było jeszcze za wcześnie, by mógł to być ktoś ze służby. Nagle usłyszała łoskot i przekleństwo. Zaintrygowana wstała i podeszła do drzwi. Gdy je uchyliła, ujrzała Jonathana ze świecą w ręku, który pochylał się po upuszczoną szpadę. Chwilę potem wyprostował się i jego twarz znalazła się w blasku świecy. Wyglądał upiornie. Krew sączyła mu się z rozciętej skóry na czole i rozlała się jaskrawą plamą na koszuli, przewiązanej na ramieniu chustką. Również włosy, nieprzykryte już kapeluszem, lepiły się od krwi

Miał podbite oko i wielki siniak na podbródku. Okrycie niósł przerzucone przez drugie ramię.

- Jonathanie, co się stało? - zawołała półgłosem, podbiegając do niego.

- Nic poważnego.

Nawet w tym stanie zauważył, że Louise nie ma na sobie niczego oprócz cienkiej koszuli nocnej, którą sam jej kupił, a rozpuszczone włosy opadają na ramiona. Mimo osłabienia zauważył, że wyglądała bardzo ponętnie. Posłał jej więc niewyraźny uśmiech, który w jego zamierzeniu miał być krzepiący.

- Niech pani wraca do łóżka.

- Nie! Pan wymaga opieki.

Ujęła go za ramię i wciągnęła do swojego pokoju.

- Louise, co pani robi? - spytał tonem sprzeciwu, ale pozwolił zaprowadzić się na skrzynię z ubraniami stojącą przy łóżku. - Czy reputacja nie ma dla pani znaczenia?

- Mam wrażenie, że nic już nie jest w stanie jej uratować - powiedziała. - Zresztą nie mogę pana opuścić, wiedząc, że jest mu potrzebna pomoc. - Podeszła do stojaka, na którym stał dzbanek z wodą. Zmoczyła szmatkę nad miską i zaczęła delikatnie przemywać mu czoło. Cierpiał w milczeniu i wzdrygnął się tylko raz, gdy zanadto zbliżyła się do rozcięcia. - Trzeba nałożyć maść na tę ranę. - Odwróciła się do łóżka i potrząsnęła ramieniem przyjaciółki. - Zbudź się, Betty! Zbudź się! - Potem znów spojrzała na Jonathana. - Jej nie wyrwałoby ze snu nawet trzęsienie ziemi.

Jeszcze raz szarpnęła Betty. Wreszcie głowa z potarganymi włosami uniosła się nad poduszkę.

- Co się stało?

- Wicehrabia jest ranny. Zejdź na dół i sprawdź, czy ktoś już wstał. O tej porze służba powinna się budzić. Poproś o maść na rany i trochę czystego płótna na bandaż. Pospiesz się, zanim rana znowu zacznie krwawić.

Betty otworzyła oczy na całą szerokość, gdy ujrzała Jonathana siedzącego w samej koszuli przy ich łóżku.

- Co się stało? - spytała.

- Mała potyczka, nic poważnego - powiedział.

- Gdzie? Kiedy? Czy Joe też jest ranny?

Uśmiechnął się.

- Joe jest niezniszczalny. Wysłałem go na poszukiwanie brandy.

Betty szybko wstała z łóżka, ubrana od stóp do głów w płócienną koszulę. Okryła się dodatkowo cienką narzutką i znikła.

- Teraz zajmiemy się ramieniem - powiedziała Louise i zaczęła zdejmować improwizowany opatrunek.

Ostrożnie zmoczyła tę część, która przywarła do skóry potem wyjąwszy z sakwojazu parę nożyczek, rozcięła rękaw i zdjęła Jonathanowi koszulę. Rana była nierówna i głęboka.

- Szpada? - spytała.

- Nie, nóż. Miał go w bucie.
- Rozumiem, że chodzi o Jeda Blacka.

Wylała czerwoną wodę do wiadra i naląła świeżej, po czym wróciła do opatrywania rany.

- Tak. - Uśmiechnął się. - Mogłaby pani pracować w szpitalu. Robiła pani wcześniej coś podobnego?

- Moi bracia nieustannie coś sobie kaleczyli. Pomagałam mamie czyścić ich rany. Uważała, że warto się tego nauczyć. Nigdy nie wiadomo, kiedy taka umiejętność się przyda.

Roześmiał się, chociaż każde dotknięcie Louise, mimo że delikatne, bolało jak diabli.

- Pani nie przestanie mnie zadziwiać.

Puściła tę uwagę mimo uszu.

- Co się stało?

- Znaleźliśmy go Pod Gwiazdą.

- Pan i Joe?

- Tak, i jeszcze dwóch roślących konstablów. Joe wywabił go na zewnątrz, ale drań był czujny i zaczął się bronić. W końcu go jednak dostaliśmy.

- Gdzie jest teraz?

- Konstable porządnie go skuli i wrzucili do najgłębszego lochu.

- A potem, jak sądzę, pan będzie go eskortował do Londynu - powiedziała cicho.

- Och, moja droga. Myślę, że byłoby pani przykro...

- Już raz pan to zrobił - przypomniała mu.

- I żałowałem tego.

- Dlatego że Jed Black uciekł?

- Tak, ale również dlatego, że nie było mnie na miejscu, kiedy pani potrzebowała pomocy.

- Czuje się pan za mnie odpowiedzialny?

- Tak.

Drgnął, bo Louise próbowała wydobyć brud z rany.

- Przepraszam, ale to trzeba zrobić. - Starła się dotykać go jak najdelikatniej. - Dlaczego czuje się pan za mnie odpowiedzialny? I proszę mnie znowu nie zwodzić. Chcę usłyszeć prawdę.

- Prawda, moja droga panno Vail, jest taka, że nie wiem. Może nienawidzę przyglądać się, jak młoda dama wystawia się na pośmiewisko, a może wydaje mi się, że mimo swojej odwagi i niezależności jest pani dość bezbronna. Nie chciałbym, żeby stało się pani coś złego, kiedy mógłbym temu zapobiec.

- To bardzo rycerska postawa, milordzie, ale...

- Do diabła, kobieto, co ty wyrabiasz?! - ryknął. - To jest jak klucie gorącą igłą.

- W ranie jest brud i muszę go jakoś wyjąć. Nóż, powiada pan. Ten człowiek musiał wcześniej kroić nim swój obiad albo obdzierać ze skóry królika. Bóg raczy wiedzieć, do czego naprawdę używał tego noża.

Dokończyła czyszczenia rany i włożyła szlafrok, a tymczasem Betty wróciła z maścią i bandażami. Zaraz za nią szedł Joe z butelką brandy i szklaneczką, więc kłopotliwa rozmowa się skończyła. Gdy Joe nalewał alkohol, Louise nałożyła maści na rany Jonathana i obwiązała mu ramię.

- Lepiej tego nie umiem zrobić - powiedziała, wstając. - Proponuję, żeby pan się położył do łóżka.

Wziął trunek od Joego i wychylił zawartość szklaneczki jednym haustem.

- A pani co będzie robić w czasie, gdy śpię? Wymknie się pani na swoją schadzkę?

- To nie jest schadzka - odparła.

- I nie jest pani przez nikogo oczekiwana?

- Nie, i właśnie z tego powodu zwłoka nie ma dla mnie znaczenia. Nie zostawię pana, póki nie przekonam się, że odzyskał pan siły.

- Odzyskał siły! - krzyknął. - Po co tak się przejmować jednym małym skaleczeniem? Nie jest gorsze niż to, które miałem po pojedynku z panią.

- Jest o wiele głębsze, zwracam też panu uwagę, że moja szpada była czysta.

- Chodźmy, milordzie - powiedział Joe, ujmując go za zdrowe ramię i pomagając mu wstać. - Panna Vail ma rację. Czas odpocząć.

Jonathan pozwolił się wyprowadzić. Louise zajęła się porządkowaniem pokoju, usuwaniem wody zmieszanej z krwią i szmat, którymi czyściła rany. Przez chwilę uciśkała w dłoniach zniszczoną koszulę, która wciąż jeszcze była ciepła. Coraz bardziej żałowała, że jej uczucia, nasilające się z każdym dniem spędzonym z Jonathanem, są całkiem beznadziejne. Westchnęła ciężko, wyrzuciła koszulę i zaczęła się ubierać, gotowa zacząć nowy dzień.

W południe, gdy Louise przyszła zapytać o zdrowie Jonathana, zafrasowany Joe powiedział jej, że pan ma gorączkę i trzeba było posłać po doktora. Zaniepokojona tą wiadomością odsunęła go na bok i podeszła do łóżka. Jonathan leżał zlany potem i bredził. Omal nie pękło jej serce, gdy to zobaczyła.

Nalała zimnej wody do miski, usiadła na krześle przy łóżku i zaczęła przemywać mu czoło.

- Boże, proszę, nie pozwól mu umrzeć - powtarzała, a potem zaczęła cicho do niego przemawiać.

Opowiadała mu o wszystkim, co jej przyszło do głowy. Nie miała pojęcia, czy Jonathan ją słyszy i rozumie, ule jej głos zdawał się go uspokajać.

Przyszedł doktor i obejrzał rany. Cięcie na czole nie było głębokie i wyraźnie zaczynało się goić, ale z ramieniem było gorzej.

- Rana się paskudzi - powiedział, zbadawszy dokładnie Jonathana przy akompaniamencie jego soczystych przekleństw. - Proszę ją jeszcze raz wyczyścić i zbandażować. Tylko tyle można zrobić. Pani mąż jest młody i silny, więc pozostaje nam się modlić, żeby to wystarczyło. Należy mi się gwinea.

Joe, który przez cały czas stał nieco z tyłu, wyjął monetę z sakiewki Jonathana i podał ją doktorowi, który schował honorarium i wyszedł. Louise pomyślała, że to wyjątkowo łatwo zarobiona gwinea. Ten człowiek nie zrobił nic, jedynie potwierdził słuszność jej zabiegów.

Zacząła od nowa przemywać ranę. Jej brzegi były zaczerwienione i puchły. Zrobiła, co tylko umiała, i jeszcze raz owinęła mu ramię bandażem. Umyła mu też ręce i rozpięła koszulę nocną pod szyją. Wreszcie usiadła nieruchomo przy łóżku.

Oczy miał zamknięte. Jej uwagę zwróciły bardzo długie i gęste rzęsy oraz mocno zarysowane brwi. Potem przeniosła wzrok na kształtne usta i męski podbródek pokryty jednodniowym zarostem. Nie mogła nie zauważyć, że wicehrabia był bardzo atrakcyjnym mężczyzną.

Przewracając się na łóżku z boku na bok, zrzucił z siebie kołdrę. Krótka koszula nocna odsłoniła mocne, męskie uda i ładnie ukształtowane łydki. Louise szybko go okryła i próbowała trochę uspokoić.

- Ćśś, Jonathanie - szepnęła. - Wszystko będzie dobrze, mój drogi. - Zerknęła kątem oka na Joego, który stał w kącie pokoju i udawał, że ma jakieś zajęcie. - On z tego wyjdzie, prawda?

Joe spojrzał na nią i dostrzegł jej lęk.

- Oczywiście, panno Vail. Jest silny jak wół. Kiedy oprzytomnieje, będzie potrzebował czegoś do zjedzenia. Sprawdzę, co tu można dostać, dobrze?

Wyszedł z pokoju. Louise tymczasem przyniosła wodę i znów zmieniła mu opatrunek na ramieniu. Zamruczał coś i wydało jej się, że brzmiało to jak „Lou”.

- Jestem tutaj - powiedziała, choć nie miała pojęcia, czy ją słyszy. - Chce pan się napić?

Przyniosła kubek z wodą i podniosła mu głowę, żeby mógł przełknąć mały łyk. Potem Jonathan opadł na poduszki i zasnął, trzymając ją za rękę.

- Zdrowiej - szepnęła stanowczo. - Zdrowiej.

Pochyliła się nad nim i musnęła jego wargi. Zdawało jej się, że uśmiechnął się przez sen.

Minęły trzy dni, zanim Jonathan ocknął się w pełni świadomy. Trzy dni i trzy noce Louise pielęgnowała go na zmianę z Joem. Któregoś ranka Jonathan otworzył oczy i przekonał się, że leży ona na nim w poprzek łóżka. Przez chwilę nie mógł zrozumieć, gdzie jest i co się stało. Dopiero potem domyślił się, że Louise zasnęła, czuwając. Wyciągnął rękę i dotknął jej podbródka, by ostrożnie obrócić głowę. Chciał patrzeć na jej twarz.

- Moja droga, ty naprawdę nie masz ani krzty przyzwoitości, prawda? - powiedział cicho, delikatnie ją wybudzając.

Zerwała się jak oparzona.

- Och, nie chciałam zasnąć! A pan tymczasem się zbudził! Dzięki Bogu!

Wciąż była senna i Jonathan pomyślał, że jej oczy zasnutę mgiełką wyglądają niezwykle uwodzicielsko. Intensywna zieleń plamek wydawała się łagodniejsza, jakby przydymiona. Chętnie podziwiałby ją codziennie.

- Jak długo pani przy mnie czuwa? - spytał, z irytacją płosząc te myśli.

- Nie wiem.

- Całą noc?

- Tak. Był pan bardzo chory.

- Jak długo?

- Trzy dni. Dzisiaj jest czwarty.

- Pamiętam scenę walki. Był nóż... I pani... Tak, pani przyszła...

- To oczywiste, że przyszłam. Myśli pan, że mogłabym go opuścić?

Uśmiechnął się.

- Nie byłem w stanie racjonalnie myśleć, moja droga, ale cieszę się, że pani nie odeszła.

- Jak mogłabym odejść? Pan też się mną zajmował, kiedy byłam chora.

Chciała, żeby zabrzmiało to obojętnie, ale nie pozwolił się oszukać, skoro czuwała tak długo, że aż zasnęła.

- Gdzie jest Joe? - spytał, rozglądając się.

- Kazałam mu się położyć. Bez wątpienia wkrótce się zjawi. Martwił się przez cały czas tak samo jak ja.

- Pani się martwiła, moja droga?

Nie mogła zrozumieć, dlaczego ciągle dodaje „moja droga”. Bardzo ją to kępo-  
wało.

- Wszyscy się martwili. Był pan o włos od śmierci. Pańskie ramię...

Spojrzał na czysty bandaż i spróbował unieść rękę. Poczł ból.

- Sądziłem, że to tylko draśnięcie.

- Rana była brudna, paskudziła się. Gdyby zakażenie zaczęło się rozprzestrzeniać, mogłoby to się źle skończyć

Zadrżał.

- Dzięki Bogu za pani umiejętność pielęgnowania rannych. Mam wobec pani dług wdzięczności. Nie wiem, jak go spłacić.

- Proszę wyzdrowieć. Chcę, żeby znowu był pan taki jak dawniej.

Uśmiechnął się szeroko.

- Czy byłem uciążliwym pacjentem?

- Bardzo pan kłął przy zmianie opatrunków.

- Ojej, przepraszam.

- Przeprosiny przyjęte - odpowiedziała z uśmiechem.

- Jestem diabelnie głodny.

- To dobrze. Każę przyrządzić dla pana rosół.

- Rosół!? Nie chcę rosółu! Zjem solidny kawałek steku z ziemniakami i kapustą, a na deser ciasto owocowe. I wypiję kufel piwa. Potem ubiorę się...

- Milordzie, nie wolno...

- Nie wolno, Louise? Czy pani zamierza mi dyktować, co mogę robić, a czego nie?

- Skądże znowu. Myślałam wyłącznie o pańskim zdrowiu.

- Bardzo za to dziękuję. A teraz proszę, niech pani będzie grzeczna i zajmie się swoją toaletą. Taka rozczochrana fryzura jest urocza, ale przecież nie chcemy wywołać skandalu, prawda?

Wstała ze łzami w oczach. Siedziała przy nim tyle godzin, zmieniała mu opatrunki, przytrzymywała głowę, żeby mógł pić, ciągle modliła się za niego, a on ot tak, po prostu ją odprawił.

Usłyszała z korytarza, jak głośno woła Joego. Nie wiedziała, że to wcale nie niewdzięczność kazała mu ją wyprosić, wręcz przeciwnie. Bał się, że powie coś, czego nie powinien. Musieli jak najszybciej wrócić do dawnych sporów i złościwości. Tak będzie lepiej dla nich obojga, skoro miał odwiedzić Louise do domu, na plebanię. Bardzo żałował, że ta panna jest tak piękna i pełna życia. Gdyby tylko...

W tej chwili wszedł Joe i spłoszył te nierozsądne myśli.



Było to trudne, ale Louise starała się nie myśleć o Jonathanie i skupić na tym, jak dostać się do Moresdale. Przebrała się w pasiastą, kremowo-żółtą suknię z pikowanym kremowym przodkiem i wielką żółtą kokardą, osłaniającą górną część piersi. Poprosiła Betty o ułożenie włosów i wyszła z przyjaciółką zaczerpnąć świeżego powietrza.

- Czy jego lordowska mość już wyzdrowiał? - spytała Betty.

Skręciły właśnie z Coney Road w kierunku nabrzeża i przystani nad rzeką, gdzie czekało wiele łodzi wiosłowych, żaglowych oraz barek.

- Tak. I znów się irytująco wywyższa. Powiedział mi, że jestem rozczochrana! A kto nie byłby po spaniu na krześle?

- Na pani miejscu nie przywiązywałabym do tego wagi. Pies, który dużo szczeka, nie gryzie, tak w każdym razie twierdzi Joe. Zresztą może powinna mu pani wybaczyć, bo na pewno bardzo cierpiał.

- Bez wątpienia masz rację. Mam nadzieję, że Jed Black nie ucieknie jeszcze raz.

- Nie. Joe poszedł sprawdzić, co z nim zrobiono. Siedzi w zamkowych lochach i podobno nie ma sposobu, by stamtąd wyjść. Powiadomiono już lorda Portmana, żeby po niego przyjechał. To właśnie lord Portman pierwszy go aresztował i doprowadził do jego skazania.

- Kim jest lord Portman?

- Przyjacielem wicehrabiego i członkiem Klubu Dżentelmenów Piccadilly.

- Co to takiego? Jedna z londyńskich jaskiń hazardu?

- Nie. Klub dżentelmenów szukających i aresztujących sprawców przestępstw. - Betty nagle zachichotała. - Joe nazywa ich brygadą „Łapaj złodzieja”.

- Czyli lord Leinster jednak zajmuje się tropieniem przestępców.

- W pewnym sensie.

- Czego więc chce ode mnie? Nie chodzi mu chyba o to, że ukradłam rzeczy brata.

- A pani nie wie?

- Nie pytałabym, gdybym wiedziała.

- To jasne jak słońce, że pani po prostu wpadła mu w oko - powiedziała Betty z uśmiechem.

- Pleciesz androny. W to nie uwierzę!

Nie chciała, żeby tak było. To mogło oznaczać tylko jedno, i nie było to małżeństwo. Poczowała złość i zakłopotanie. Była zła na niego, że mógłby ją posiąść w ten sposób, i na siebie, że wciąż o tym myśli.

- Tak czy inaczej, pozbedziemy się go, gdy tylko odkryję, gdzie leży Moresdale i jak się tam dostać - powiedziała stanowczo.

Skreśliły w stronę śródmieścia, gdzie mieściła się większość zajazdów, przy których stawały dyliżanse. Zaczęły wypytywać i wkrótce stało się jasne, że do Moresdale nic nie jeździ.

- To mała wieś - powiedziano jej. - Całkiem nie po drodze.

- Jak daleko stąd?

Odległość zmieniała się w zależności od pytanej osoby, zawsze jednak wynosiła przynajmniej dziesięć mil. Dla pieszego była to długa droga, zwłaszcza gdy trzeba było dźwigać sakwojaż.

- Powinniśmy przyjąć propozycję wicehrabiego, który chce nas tam zawieźć - powiedziała Betty.

- On jeszcze nie ozdrowiał na tyle, by podróżować - odparła Louise, gorączkowo szukając wymówki, by uniknąć towarzystwa wicehrabiego. - Naprawdę nie powinniśmy go narażać na niepotrzebne niewygody. Może ktoś będzie jechał w tamtą stronę.

- Ostatnim razem, kiedy podwoził nas furman, narobiłyśmy sobie kłopotów - przypomniała jej Betty. - Nie jestem pewna, czy mam ochotę drugi raz ryzykować.

- To nie z furmanem były kłopoty, tylko z człowiekiem na barce.

Mnóstwo furmanów wybierało się z Yorku w różne strony, nikt jednak nie jechał w najbliższym czasie do Moresdale. Jeden za drugim tłumaczyli, że aby dokądś jechać, muszą mieć ładunek, i kazali pytać za kilka dni.

Louise i Betty nie pozostało nic innego, jak wrócić Pod Czarnego Łabędzia. W zajeździe zastały Jonathana w jadalni. Siedział z Joem, był ubrany i miał przed sobą pełny talerz. Najwyraźniej zdecydował, że nie chce już być panem Lintonem, włożył bowiem śliwkowy szustokor zdobiony białą koronką i srebrnymi guzikami ogolił się i starannie zaplótł włosy. Wyglądał jednak blado. Jego siniaki przybrały barwę żółtawą, było też

pewne, że rana na czole pozostawi niewielką bliznę. Na pewno nie odzyskał jeszcze pełnej sprawności ramienia, ręką bowiem poruszał z ostrożnością.

- Co pan tu robi wystrojony? - spytała groźnie, gdy wstał, by się przed nią skłonić.

- Chce pan znowu być chory?

- Rozkoszuję się posiłkiem i muszę przyznać, że nigdy nie czułem się lepiej.

- Kłamca - powiedziała.

- Chce pani stoczyć ze mną kolejny pojedynek? - spytał żartobliwie. - Obawiam się, że w tej chwili nie jestem w stanie, ale w niedalekiej przyszłości, gdyby znów wytknęła mi pani tę skazę charakteru...

- Nie zamierzam toczyć żadnych pojedynków. Dlaczego pan zawsze jest gotów do walki? Moim zdaniem powinien pan już mieć dość.

- Proszę więc nie nazywać mnie kłamcą. Zamówić posiłek również dla pani? Mają tu dobrego halibuta i smakowite kotlety wieprzowe. A może gotowaną szynkę? Albo kurczaka?

- Szynkę poproszę i do tego jakieś warzywa.

Dowiedział się jeszcze, czego życzy sobie Betty, i złożył zamówienie, po czym ciężko usiadł. Wiedział, że daleko mu jeszcze do odzyskania pełni sił, ale nie chciał dać Louise pretekstu, by odjechała z Yorku bez niego.

Kelnerka wkrótce przyniosła zamówione dania. Louise, która pielęgnując Jonathana, niewiele czasu poświęcała na jedzenie, zajęła się swoją porcją z dużym apetytem.

- Gdzie pani była dziś rano? - spytał Jonathan.

- Poszłyśmy na przechadzkę, a przy okazji zasięgnęłyśmy języka. Pytałam o dyliżanse, którymi mogłabym kontynuować podróż.

- Nie ma żadnego - wtrąciła Betty.

- Bez wątpienia wypytała pani również furmanów i właścicieli barek oraz innych środków transportu - dodał Jonathan.

Nie rozumiał, dlaczego Louise tak bardzo chce się go pozbyć, ale był zdecydowany to odkryć.

- Do końca tego tygodnia nic tam nie jedzie - dodała Betty.

Louise spojrzała na nią morderczym wzrokiem, co Jonathan skwitował wybuchem śmiechu.

- Są więc panie skazane na mnie.

Odsunęła od siebie talerz, licząc, że znajdzie szybko jakąś zręczną odpowiedź. Kłopot polegał na tym, że sama nie mogła zdecydować, czy chce być skazana na obecność wicehrabiego, czy wręcz przeciwnie. Zdawała sobie sprawę, na jakie niebezpieczeństwo się naraziła. On znał jej prawdziwe nazwisko, a jej brat chodził z nim do jednej szkoły. Na szczęście w hierarchii społecznej stała dużo niżej, a gdyby okazała się bękartem z nieznanego ojca i matki, która pozbyła jej się przy pierwszej sposobności, mogłaby wzbudzić u arystokraty jedynie odrazę. Betty na pewno twierdziłaby, że należy się cieszyć z takiego opiekuna. Ale nie ona, Louise Vail. Ona miała swoją dumę!

- To niedaleko. Możemy iść tam piechotą - powiedziała.

- Czas chyba, abyśmy poważnie porozmawiali, tak jak zapowiadałem - powiedział, wstając od stołu. Podał jej ramię. - Jeśli nie jest pani zbyt zmęczona, zapraszam na mały spacer.

Zignorowała jego gest, więc choć wyszli z zajazdu razem, to ich ciała się nie stykały.

- Dobrze więc - zaczął i z rozmysłem umieścił jej dłoń na swoim przedramieniu. - Skończmy tę zabawę w podchody. Proszę mi powiedzieć wprost, dokąd pani jedzie.

Prawdę mówiąc, była już zmęczona udawaniem i ciągłymi sekretami. Zresztą gdyby okazało się, że nie znajdzie żadnego śladu matki i będzie musiała wrócić do domu z niczym, pomoc wicehrabiego mogła okazać się naprawdę przydatna.

- Do Moresdale - powiedziała.

- No, nareszcie!

- Wie pan, gdzie to jest?

- Tak, to jest wieś na północny zachód od Yorku, w jednej z dolin rejonu The Dales. Czy jednak jest pani absolutnie pewna, że chce tam jechać? Wciąż może pani zmienić zdanie i od razu wrócić do domu. Rodzice na pewno powitają panią z otwartymi ramionami.

- Skąd pan to wie?

- Trzeba by wyjątkowo nieczulej matki, żeby nie przebaczyła córce, czymkolwiek by zawiniła. Gdybym miał córkę, na pewno kochałbym ją bez względu na to, w jakie tarapaty wpadnie.

Zwłaszcza, gdyby córka miała taką matkę jak pani, dodał w myśli. Bardzo jednak uważał, by tego nie powiedzieć.

Louise poczuła jednak jeszcze większy niepokój. Przecież prawdziwa matka z pewnością jej nie kochała. Gdyby kochała, nie oddałaby jej na wychowanie obcym.

- Napisałam do mamy i zawiadomiłam ją, że bezpiecznie dojechałyśmy do Yorku. Mama wie też, że poznałam pana i pan się nami zaopiekował. Naturalnie, wspomniałam o tym wyłącznie po to, żeby ją uspokoić.

Uśmiechnął się uprzejmie.

- Rozumiem.

Nie powiedział jednak, że z Doncaster i on napisał list do wielbego Vaila i jego żony. Poinformował, że znalazł ich córkę oraz jej przyjaciółkę Betty i samozwańczo mianował się opiekunem podróżniczek, by namówić pannę Vail do powrotu.

- Ustaliliśmy już, że nie chce pani zranić swoich rodziców - odezwał się ponownie.

- Czy sądzi pani, że oni nie będą cierpieć, jeśli pani nie wróci do domu?

- Wcale nie odmówiłam powrotu do domu. Pojadę tam niezwłocznie, gdy załatwię to, co mam tutaj do załatwienia.

- Im szybciej pani wróci, tym lepiej. W tym chyba się zgadzamy? Pojedziemy więc razem do Moresdale, a potem odwiozę panią do domu. I dość już sprzeciwów.

Głośno westchnęła.

- No dobrze. Ponieważ nie mogę pana namówić, żeby przestał marnować na mnie swój czas, wyrażam zgodę.

Uśmiechnął się szeroko. Miał poczucie, że wygrał ważną bitwę. Postanowił zawieźć Louise tam, gdzie sobie zażyczy, i nie dręczyć jej więcej pytaniami. Z czasem może sama zaufa mu dostatecznie, by wszystko wyjawić.

## Rozdział ósmy

Moresdale leżało w odległości osiemnastu mil od Yorku. Joe jechał powoli nie tylko dlatego, że drogę znaczyły w zasadzie jedynie koleiny, lecz i dlatego, że nie chciał narażać pana na niepotrzebne niewygody. Wicehrabia naturalnie za nic nie przyznałby się do swojej słabości, nie w obecności dam.

Louise nawet trochę się cieszyła, że jadą tak wolno. Im bliżej celu byli, tym bardziej niepewnie się czuła. Powtarzała sobie, że chce poznać prawdę, ale obawiała się, że ta wiedza odsunie ją na zawsze od mężczyzny, który siedział obok niej.

- Może zatrzymamy się i trochę pan odpocznie - zaproponowała, gdy zobaczyła, jak Jonathan skrzywił się, gdy powóz podskoczył na wyboju.

- Nie ma mowy. Odpoczniemy, gdy dojedziemy na miejsce. - Na chwilę zamilkł. - Proszę mi powiedzieć, czy niezwłocznie po przyjeździe zamierza pani udać się do domu krewnej?

- Nie. Muszę najpierw zorientować się, gdzie jej szukać. Chcę zatrzymać się w zajęździe, jakiś na pewno we wsi się znajdzie.

Zaskoczyło go, że Louise rzeczywiście zamierza szukać krewnej. Wbrew swemu postanowieniu nie umiał powstrzymać się przed zadaniem jeszcze jednego pytania.

- Jak nazywa się pani krewna, Louise?

- Catherine Fellowes. Nic mu to nie mówiło.

- Staniemy więc w zajęździe, zajmiemy pokoje i zapytamy o dom panny albo pani Fellowes. Czy tak?

- Nie. Chcę najpierw czegoś się dowiedzieć, obejrzeć wieś i sprawdzić, co to za osoba. Nie mogę pojawić się u niej nieprzygotowana. Zresztą ona może już nie mieszkać w Moresdale...

To zabrzmiało bardzo tajemniczo, dla Jonathana nie ulegało jednak wątpliwości, że kimkolwiek jest Catherine Fellowes, trzyma ona w rękach klucz do szczęścia Louise.

- Rozumiem - powiedział, choć nie rozumiał niczego.

Moresdale leżało w dolinie między dwoma grzbietami wzgórz. Jeśli sędzić po liczbie owiec, które widzieli na stokach, była to kraina pasterska. Zdarzało się nawet, że

owce wychodziły na drogę, więc Joe musiał zwolnić jeszcze bardziej. Po obu stronach drogi krajobraz stawał się coraz dzikszy, wzgórza były coraz gęściej upstrzone poszarpanymi skałami, natrafili też na wodospad zasilający przydrożny strumień, który z kolei biegł aż do rzeki Swale, która wpadała do Ouse.

Sama wieś składała się z kilkunastu domów, kuźni, rzeźni, sklepiku, zajazdu Pod Herbem Moresdale i kościoła z plebanią. Miejsce wydawało się zbyt małe na tłumy, które napotkali. Najwyraźniej coś się działo na błoniach. Mężczyźni nieśli deski, stoły, ławki i krzesła. Niektórzy wywieszali flagi, a kobiety ozdabiały domy. Wszędzie biegały rozbawione dzieci.

Joe zatrzymał powóz przed bramą prowadzącą na błonia i dalej poszli pieszo.

- Co tu się dzieje? - spytał Joe krzepkiego mężczyznę wyprzęgającego konie z wozu załadowanego deskami i płótnem.

- Musicie być tu obcy, jeśli o to pytacie - odpowiedział. - Jutro będzie tu, jak co roku, słynny w całej okolicy targ owiec. Ludzie ściągają z daleka.

Jonathan podziękował mu za informację i ruszyli dalej. Wkrótce stało się jasne, że oprócz samego targu będzie jeszcze wiele innych atrakcji, rozstawiano bowiem kramy i przygotowywano przekąski. Louise zaniepokoiła się, że może to być zły moment na wypytywanie o Catherine Fellowes, bo wszyscy są zajęci. Nagle zresztą ogarnął ją lęk przed pytaniem o cokolwiek. W pół drogi między Yorkiem a Moresdale z nieustraszonej podróżniczki stała się nagle zagubioną młodą damą, która boi się odezwać.

- Dokąd teraz? - spytał Jonathan.

- Pospacerujmy trochę. Chcę poczuć atmosferę tego miejsca.

Otoczenie wydawało jej się znajome, tak jakby kiedyś już tu była. Nic dziwnego, przecież do Barnet przeprowadzili się dopiero, gdy miała pięć lat. Dlaczego jej rodzice postanowili poszukać nowego domu? Z Moresdale do Barnet było daleko, więc takiej decyzji nie podejmuje się z dnia na dzień.

Stanęli przed kościołem, w którym kiedyś proboszczem musiał być wielebny Vail.

- Wejdziemy do środka? - zaproponowała. Jonathan wysłał Joego z Betty do zajazdu, żeby załatwili nocleg. Wiedział, że zbliża się ważna chwila dla

Louise, uznał więc, że im mniej będzie świadków, tym lepiej. Ujął ją za ramię i weszli przez bramę w ogrodzeniu. Udawał, że nie widzi, jak Louise zwalnia kroku. Chwilę potem znaleźli się w chłodnym wnętrzu skromnego kościoła. Przyklekli i ramię w ramię podeszli do ołtarza. Jonathan zobaczył nagle oczami wyobraźni Louise w stroju panny młodej, ale szybko odrzucił ten obraz. Zbyt często ponosiła go ostatnio wyobrażenia, a co więcej pozostawała w wyraźnej niezgodzie z jego decyzją, by nie zawierać małżeństwa bez głębokiego namysłu.

Louise postępowała ku prezbiterium głęboko zamyślona. Zdawało jej się, że nagle wróciły dawne czasy. Była małą dziewczynką trzymającą matkę za rękę i otoczoną przez trzech braci. Mijali wieśniaków, którzy przyszli wcześniej, by zająć miejsca w pierwszej ławce i tam poczekać, aż ojciec zacznie odprawiać nabożeństwo. W pierwszej ławce po drugiej stronie przejścia siedziała wielka pani z dżentelmenem, a między nimi mały chłopiec. Dama miała lśniącą suknię i białą perukę, którą wieńczył wielki kapelusz z piórem. Patrzyła prosto przed siebie i wydawała się całkiem nieświadoma obecności rodziny po drugiej stronie przejścia. Za to chłopiec rozglądał się nieustannie. Był pulchny i bardzo ładny, ubrany w niebieski szustokorek i dopasowane kolorystycznie atłasowe spodnie. Na lśniących czarnych trzewikach miał srebrne klamry.

Louise, która była ubrana w swój najlepszy strój - niebieską suknię z dymki z białymi bawełnianymi halkami - wlepiła w niego wzrok i zachichotała. Odpowiedział jej szerokim uśmiechem, jakby byli spiskowcami. Jego matka zauważyła to jednak i coś do niego groźnie powiedziała. Chłopiec posłusznie odwrócił się ku prezbiterium i właśnie wtedy wielebny przeszedł przez główną nawę kościoła na czele procesji i stanął przy ołtarzu, aby rozpocząć nabożeństwo. Pamiętała głos ojca i śpiew zboru, modlitwy odmawiane na klęczkach i ukradkowe spojrzenia, jakie kierowała ku dżentelmenowi, damie i chłopcu. Czy wiedziała, jak chłopiec ma na imię? Jak dobrze go znała? Czy bawili się razem? Nie wydawało jej się, ponieważ najwyraźniej była to rodzina o wysokiej pozycji społecznej.

Jonathan wyczuł, że Louise drży, i z całego serca zapragnął jakoś jej pomóc. Cokolwiek ją tutaj przygnało, nie była to zabawa. Ona tymczasem obróciła się i chciała wyjść na zewnątrz. Przy drzwiach zagadnął ich jednak mężczyzna w stroju duchownego.



- Dzień dobry - powiedział, uchyłając płaskiego kapelusza. - Czy nasz kościółek wydał się państwu interesujący?

- Tak, nawet bardzo - odpowiedział Jonathan. - Czy jest bardzo stary?

- W części. Wzniósł go pierwszy hrabia Moresdale, gdy przybył tutaj za panowania królowej Elżbiety. Wszyscy członkowie rodziny, począwszy od tego czasu, są tu upamiętnieni. - Wskazał ku ścianom z licznymi tablicami, na których inskrypcje były zdobione wizerunkami aniołów i wieńców. - Mężczyźni byli wybitnymi wojownikami. Walczyli w wojnie domowej, a zaledwie piętnaście lat temu mieli udział w zdławieniu powstania jakobitów. To były złe czasy, bardzo złe...

Louise uświadomiła sobie, że mniej więcej przed piętnastoma laty jej ojciec przeprowadził się do Barnet. Zaczęła się zastanawiać, czy powstanie miało jakiś wpływ na jego decyzję, chociaż przez cały czas wracała myślami do tamtego nabożeństwa. Od urodzenia musiała być w kościele setki razy, a jednak właśnie ta jedna wizyta zapadła jej w pamięć. Dlaczego?

- Czy wielebny zna rodzinę o nazwisku Fellowes? - spytała, zdobywszy się na odwagę.

- Naturalnie, pani też musi znać, skoro zainteresował ją kościół. To jest rodowe nazwisko tutejszych hrabiów.

Gdyby Jonathan nie trzymał jej pod łokieć, chyba nie ustałaby wyprostowana. Podziękowała mu i wyszła na świeże powietrze. To, co podsłuchiwała w domu, wskazywało, że jej prawdziwą matką jest Catherine Fellowes. Czyżby jednak wyciągnęła błędne wnioski? Trudno było jej uwierzyć, że ma arystokratyczne pochodzenie. Z drugiej strony oddanie dziecka dla uchronienia rodziny przed hańbą dobrze do arystokratów pasowało. Po głowie tłukło jej się mnóstwo pytań, które bała się zadać. Czy mogła zapamiętać sprzed lat hrabiego z żoną? Jeśli tak, to co ją wiązało z nimi i z tym małym chłopcem? Gdzie chłopiec podziewał się teraz? Czy wiedział o jej istnieniu?

Jonathan, który nie odstąpił Louise ani na krok, miał jedynie ogólne wyobrażenie o tym, co dzieje się z nią w tej chwili. Widział jednak, jak pobladła i jak nieobecne jest jej spojrzenie. Jaki rodzinny sekret ukrywała? Może jakiś związek z hrabią Moresdale, do którego nie należy się przyznawać?

- Hrabina wdowa będzie jutro otwierać targ - odezwał się znowu duchowny, który wyszedł za nimi przed kościół. - Dawniej robił to pan hrabia, ale od dłuższego czasu nie mieszka już we dworze. O ile wiem, ważne sprawy zatrzymują go w Londynie. Czy można spytać o powód pani zainteresowania tą rodziną?

- Słyszałam, jak mówi o nich mój ojciec - powiedziała Louise, starając się, by zabrzmiało to całkiem zwyczajnie. - Mieszkał tutaj wiele lat temu. Ponieważ byłam akurat w Yorku, postanowiłam skorzystać z okazji i zajrzeć do wsi.

- Poza kościołem i dworem hrabiego Moresdale niewiele jest tu do obejrzenia, chociaż można chodzić na przechadzki po wzgórzach, jeśli ktoś lubi chodzić.

- My lubimy - powiedział Jonathan, chcąc dać Louise czas na ochłonięcie. - Między innymi dlatego tutaj przyjechaliśmy.

Pożegnali się z księdzem i wrócili do ludzi przygotowujących targ.

- Tego pani się nie spodziewała, prawda? - spytał.

- Czego?

- Że pani Catherine Fellowes była arystokratką.

- Tego wcale nie wiem. Może przecież być jedynie daleką krewną hrabiów, dziesiąta woda po kisielu.

- To prawda. Jak pani proponuje to sprawdzić?

- Pozostać tutaj nieco dłużej i zobaczyć, co się zdarzy.

- Nie ma pani ochoty złożyć wizyty pani hrabinie?

- Na pewno nie. Nie lubię się narzucać.

- Boi się pani - powiedział bez ogródek.

Przed koniecznością udzielenia odpowiedzi uratowali ją Joe i Betty, którzy akurat nadeszli w świetnych humorach.

- Jak poszło w zajeździe? - spytał Joego Jonathan.

- Nie ma miejsc, milordzie. Za nic w świecie.

- Ojej - zmartwiła się Louise. - Pewnie będziemy musieli wrócić do Yorku.

- Ja chcę iść jutro na targ - jęknęła Betty. - To będzie świetna zabawa, tyle konkursów, kręgle, wyścigi i poszukiwanie skarbów. Joe powiedział, że zgłosi się do wszystkiego.

- Naprawdę? - spytał Jonathan, spoglądając na Joego. - Zakładasz, że nie będę cię potrzebował?

- Czy milord będzie mnie potrzebował? - spytał, przekrzywiając głowę.

- Nie, ale pozostaje jeszcze kwestia zakwaterowania.

- Widziałem zajazd w poprzedniej wsi, przez którą przejeżdżaliśmy - powiedział Joe. - Nazywa się Pod Laską Pasterza. Moglibyśmy tam się zatrzymać.

- Zgoda, sprawdźmy, co mają tam do zaoferowania. Jeśli warunki będą znośne, lepiej zostać w sąsiedniej wsi, niż wracać aż do Yorku - zdecydował Jonathan.

Zajazd cztery mile dalej przy drodze do Yorku był nieduży, lecz czysty. Tytuł i sakiewka Jonathana wystarczyły, by przekonać gospodarza, by szeptem porozumiał się z żoną, jak zaspokoić życzenia przyjezdnych.

- Możemy oddać wam, milordzie, dwa pokoje - powiedział, wracając do nich, podczas gdy żona oddaliła się z szelestem halek. - Jeśli milord ze swoją miłą panią zechce usiąść i czegoś się napić, polecę przygotować te pokoje. - Wprowadził ich do salonu. - Co podać? Mam piwo, koniak, wino albo nalewkę. W okresie targu w Moresdale zawsze jesteśmy dobrze zaopatrzeni.

Louise i Betty wybrały nalewkę, a mężczyźni piwo. Gospodarz, który przedstawił się jako Jeremiah Winter, podał napitki i znikł.

- Jonathanie - szepnęła nagle Louise. On nazwał mnie pańską „miłą panią”.

- Wiem - odpowiedział z uśmiechem.

- Musi pan natychmiast mu wytłumaczyć, że jest w błędzie.

- To znaczy że pani nie jest miłą, nie jest panią czy nie jest moja? - spytał figlarnie.

- Nie jestem pana. Na pewno nie pana żoną.

- Mimo wszystko miłą panią wciąż może pani być.

- Nie mogę! Jak pan śmie w ogóle występować z taką sugestią? Jeśli sądzi pan, że zgodziłam się na jego towarzystwo, aby stać się... - zająknęła się - ...jego miłą panią, to grubo się myli. Chciałabym odpłacić panu za życzliwość, ale na coś takiego nigdy się nie zgodzę!

Spojrzał zaskoczony, nie spodziewał się, że Louise wyciągnie takie wnioski.

- Nie miałem zamiaru niczego podobnego sugerować - sprostował. - Pani towarzystwo i przygody, które ją spotykają, stanowią aż nadto godną rekompensatę. Za nic nie chciałbym, żeby mnie to ominęło.

- Zdaje mi się, że pana nienawidzę.

- Tylko się pani zdaje, Louise? Nie jest pani pewna?

Roześmiał się głośno, a i ona poczuła, że mimo woli się uśmiecha.

- Och, jak pani ładnie chwyta przynętę - powiedział.

- Nie jestem w nastroju do żartów - odparła surowo.

Natychmiast przybrał obojętną minę.

- Proszę więc o wybaczenie. Będziemy poważni. Proszę mi powiedzieć, jak mogę sprawić pani przyjemność.

- Wyjaśniając gospodarzowi, że nie jesteśmy małżeństwem.

- To mogłoby wzbudzić zainteresowanie. Czy mam ponownie udawać pani opiekuna?

Znów przyglądał jej się w taki sposób, że całe jej wnętrze topniało. Musiała być stanowcza. Wicehrabiowie byli poza jej zasięgiem, dobrze pamiętała, jak ojciec wspominał o tym matce podczas tej pamiętnej rozmowy. Zupełnie, jakby ona sama nie zdała sobie z tego sprawy.

- Niech pan mówi, co chce, byle gospodarze wiedzieli, że nie dzielimy sypialni.

- Szkoda - powiedział i ostentacyjnie westchnął.

- Przekracza pan wszelkie granice, lordzie Leinster. A jeśli potrafi pan tylko stroić sobie żarty, to wychodzę.

- Dokąd?

- Na przechadzkę.

Wstała i opuściła pokój. Jonathan ruszył za nią, ale po drodze zwrócił się jeszcze do Joego:

- Powiedz gospodyni, że wkrótce wrócimy i będziemy chcieli zjeść kolację.

Gdy znaleźli się na dworze, Jonathan położył sobie rękę Louise na przedramieniu i lekko ją przytrzymał.

- Chodźmy razem na spacer, obiecuję już nie stroić sobie z pani żartów.

Za zajazdem wyrastał stromy stok, na który prowadziła biegnąca zakosami, mocno wydeptana ścieżka. Wspinali się nią w milczeniu. Zbrązowiałą trawę urozmaicały kępy fioletowych i różowawych wrzosów, biel pasących się owiec i szarość licznych ostrych skałek. Jeśli nie liczyć chrzęstu ich stóp na żwirze i śpiewu skowronka w górze, panowała absolutna cisza.

- Przepraszam za te żarty - powiedział w końcu.

- Chciałem trochę panią rozbawić, ale powinienem był być delikatniejszy, widząc, że jest pani taka zmartwiona.

- A jestem?

- Przez ostatnie trzy tygodnie dobrze panią poznałem. Wiem, kiedy jest pani radosna, skora do żartów, smutna i zmartwiona. W tej chwili pani się martwi. Chciałbym pomóc, gdybym tylko mógł.

- Nie widzę sposobu.

- Proszę spróbować. Obiecuję zachować dla siebie wszystko, co pani mi powie - zapewnił z poważną miną.

- Nie trzeba geniusza, by rozumieć, że wszystko to ma jakiś związek z Catherine Fellowes. Kim ona jest, Louise?

Spojrzała Jonathanowi prosto w oczy. Nie chciała ukrywać prawdy. Wiele jemu zawdzięczała. Zasługiwał na jej zaufanie.

Westchnęła ciężko.

- Sądzę, że jest moją matką.

- Pani matką! - wykrzyknął.

- Tak. Dowiedziałam się o tym dopiero ostatnio.

A więc to właśnie podsłuchiwała, pomyślał.

- Czy jest pani pewna?

- Nie, ale muszę się upewnić.

- A pani ojciec?

- Nie mam pojęcia, kto nim jest. Chciałabym, żeby okazało się, że mąż Catherine Fellowes. Bo inaczej...

Głos jej się załamał.

- Och, biedaczko - powiedział łagodnym głosem.

Posadził ją obok siebie pod skałą i objął ramieniem.

Powinien być wstrząśnięty, ale wcale nie był, pragnął tylko ją pokrzepić.

- Chce mi pani o tym opowiedzieć? Może w czymś będę mógł pomóc.

- Nie wydaje mi się, ale zasługuje pan na to, by znać prawdę - odparła i opowiedziała o wszystkim, co wiązało się z podróżą i tajemnicą jej poczęcia. - Zrobiło mi się bardzo smutno, gdy dowiedziałam się, że dwoje ludzi, kochanych przeze mnie i szanowanych, nie jest moimi prawdziwymi rodzicami. Byłam na nich zła, że przez tyle lat ukrywali przede mną prawdę.

- Bez wątpienia mieli swoje powody. Nie chciała ich pani o nie zapytać?

- Może nawet bym to zrobiła, gdyby byli w pobliżu, kiedy ochłonęłam. Oboje jednak wyszli z domu. Nie miałam z kim porozmawiać, więc wpadłam na pomysł, że sama odnajdę Catherine Fellowes. Wiem, że zachowałam się porywczo i zupełnie niestosownie, ale gdy powzięłam decyzję, nie było już odwrotu. Chciałam jedynie zrozumieć, dlaczego moja prawdziwa matka mnie oddała. Co ją do tego skłoniło? Nie spocznę, póki się nie dowiem - krzyknęła.

Nie powiedział ani słowa, choć domyślał się przyczyn. Albo Catherine Fellowes była niezamężna i zhańbiła rodzinę, albo zdradzała męża. Ani jedno, ani drugie nie wróżyłoby dobrze przyszłości Louise. Naturalnie, wielu mężczyzn utrzymywało kochanki i wcale się z tym nie kryło, choćby jego ojciec, ale kiedy kobieta brała sobie kochanka i rodziła dziecko z nieprawego łoża, sytuacja wyglądała zgoła inaczej. Gdyby Louise okazała się owocem zakazanego związku, żaden mężczyzna zajmujący znaczącą pozycję nie chciałby jej za żonę. Musiałaby zadowolić się poślubieniem kogoś nisko urodzonego albo pozostać starą panną. Z obawą pomyślał o jej przyszłości.

- Czy na pewno chce pani poznać prawdę? Czy nie lepiej pozostać w niewiedzy?

- Któregoś dnia, być może, ktoś zechce mnie poślubić. Jak mogłabym ukryć przed moim przyszłym mężem coś takiego? Tata zwracał na to uwagę mamie i moim zdaniem miał rację. W małżeństwie nie powinno być sekretów.

- Czy pani kogoś ma? - spytał, wstrzymując z obawy oddech.

Dziwił się, że jego uczucia do niej stają się coraz silniejsze, mimo że nie mógł jej poślubić. Przypomniawszy sobie, że powierzono mu zadanie i nie powinien się angażować. Nie umiał jednak nad sobą zapanować. Louise miała zagwarantowane miejsce w jego sercu i chciał, żeby była szczęśliwa.

- Nie - odparła z westchnieniem, wiedząc, że mężczyzna, którego kocha, nie jest jej pisany. - Nikogo. To były tylko domysły taty.

Jonathan z trudem opanował uśmiech.

- Wobec tego razem poznamy prawdę i zachowamy ją w tajemnicy.

- Chce pan ze mną zostać?

- Oczywiście. Czy sądzi pani, że opuściłbym ją w takiej sytuacji?

- Dlaczego tak długo mi pan towarzyszy? Zawahał się.

- Skoro zebrało się nam na szczerą, muszę wyznać, że prosił mnie o to Luke.

- Luke? - zdziwiła się. - Mój brat?

- Tak. Chciał, żebym zadbał o pani bezpieczeństwo. - Uśmiechnął się nagle. - To się okazało znacznie trudniejszą misją, niż początkowo sądziłem.

Drogi Luke. Najlepszy z braci. To jednak znaczyło...

- Pan przez cały czas wiedział, kim jestem. Widział pan, dokąd jadę i dlaczego. Grał pan ze mną, lordzie Leinster. - Ze złością wstała. - Oszukał mnie pan...

- Spokojnie - powiedział i nie pozwolił jej odejść. - Oszukałem panią tak samo jak pani mnie. Kiedy się spotkaliśmy, nie poznałem pani. Przecież była pani przebrana za mężczyznę, i tym bardzo mnie zaintrygowała. - Uśmiechnął się. - Żaden mężczyzna nie ma takich wielkich, pięknych oczu i długich rzęs. Nie ma też ślicznego, okrągłego tyłeczka ani takich koralowych warg. I pomyśleć, że mogłem niczego nieświadomy przejechać obok pani, gdyby nie ci zbroje, którzy napadli na dyliżans pod Baldock. Byłem pewien, że wyprzedziła mnie pani znacznie bardziej.

- Pojechaliśmy do Londynu, żeby tam wsiąść do dyliżansu - powiedziała, starając się nie zwracać uwagi na jego komplementy i ciepły, krzepiący dotyk dłoni.

- Po co?

- Nie chciałam, by nas rozpoznano.

- Rozumiem. Wszystko przemyślane i starannie zaplanowane.

- Nie dość starannie, skoro Luke wysłał pana w pościg. Poza tym nie miałam pojęcia, gdzie szukać Catherine Fellowes. Powinnam była zapytać pana, prawda? Pan wiedział.

- Nie wiedziałem, proszę mi wierzyć. Luke ani razu nie wspomniał przy mnie o Catherine Fellowes ani o powodach pani podróży. Usłyszałem od niego tylko, że pani zniecka znikła i trzeba panią odszukać. To pani

Vail powiedziała mi, że być może wybrała się pani do Moresdale, ale nie wyjawiała mi dlaczego. Zostałem poproszony o to, by panią znaleźć i bezpiecznie sprowadzić do domu.

- Teraz wiemy już tyle samo.

- Czyli niezbyt dużo. Jeśli jednak chce pani dowiedzieć się więcej, zrobimy to razem. Od tej pory nie musimy już mieć przed sobą tajemnic. Zostanę z panią, jeśli pani zechce. A kiedy pozna pani prawdę o swojej matce, odwiozę panią do Barnet, bo wiem, że rodzina panią kocha i chce, żeby była pani z nimi.

- Ale to nie jest moja prawdziwa rodzina.

- Oczywiście, że jest. Byliby głęboko urażeni, gdyby usłyszeli to, co pani przed chwilą powiedziała. Zawsze panią kochali i są dla niej rodziną nawet bardziej niż Catherine Fellowes.

- Ma pan rację. Wszystko mi się dokumentnie pomieszało.

- Powinna pani od razu jechać do domu - powiedział łagodnie. - Ta wiedza może pani przynieść więcej zgryzoty niż szczęścia.

- Wiem. Wcale nie oczekuję, że ona gorąco mnie uściska, po prostu muszę wiedzieć. Nie rozumie pan? Muszę, i już.

- A jeśli jej nie ma w Moresdale?

- Będę musiała wszystko jeszcze raz przemyśleć. Sądzę jednak, że nawet jeśli jej nie ma, odpowiedź znajduje się właśnie tam.

- Dobrze więc. Jutro pojedziemy do Moresdale. - Wstał i pomógł jej podnieść się z ziemi. - Chodźmy, bo zgłodniałem. Miejmy nadzieję, że pani Winter jest dobrą kucharką.

Gospodyni spełniła jego oczekiwania. Podała prosty, wiejski obiad, ale bardzo smaczny i pożywny. Dostali zupę, pieczeń baranią, potrawkę z zająca, gołębnie piersi, a



do tego brokuły, groszek i sałatę. Ponieważ państwo Winter jedli razem z nimi, rozmowa toczyła się wokół spraw natury ogólnej, takich jak owczy targ, hodowla owiec i piękne miejsca na piesze wędrówki. Ciekawa trasa prowadziła przez wzgórze do Moresdale, a widok ze szczytu podobno wynagradzał zawiązką trud wspinaczki.

- Może więc spróbujemy, skoro już tu jesteśmy - odparł Jonathan, gdy sprzątnięto ze stołu główne dania, a ich miejsce zajęły ciastka z jagodami i pieczonymi jabłkami. Louise, której po chwili zwierzeń zrobiło się lżej na duszy, dopisywał apetyt. Teraz, gdy Jonathan był sprzymierzeńcem, mogli działać więcej. Co dwie głowy, to nie jedna, zwłaszcza gdy trzeba rozwiązać zagadkę. Wiedziała jednak, że w końcu będą musieli się rozstać, i z trudem na samą o tym myśl powstrzymywała łzy.

Jonathan jadł głęboko zamyślony. Bardzo przejął się wyznaniem Louise, próbował więc rozważyć wszystkie możliwe motywacje pani Fellowes.

- Zmęczył państwa ten dzień - odezwał się pan Winter, zauważywszy, że wicehrabia i jego podopieczna nagle stali się milkliwi, jakby nie mieli siły podtrzymywać rozmowy. - Kiedy państwo się najedzą, zaprowadzę ich do pokojów.

Louise natychmiast się zorientowała, że sypialnia, do której ją wprowadzono, należy na co dzień do państwa domu. Odstąpili ten pokój jej i Betty, ponieważ dobrze im zapłacono. Jonathan dostał pokój ich syna, który teraz służył u farmera w sąsiedztwie i nie mieszkał w domu, a Joe dostał miejsce na stryszku w stajniach i był z niego bardzo zadowolony. Louise nie wiedziała tylko, gdzie będą spali Winterowie.

Odpowiedź na swoje pytanie znalazła, gdy zbudziwszy się wcześniej, zeszła na dół. Gospodarze bowiem smacznie spali na kanapach w salonie. Po cichu wycofała się i wyszła z domu kuchennymi drzwiami.

Słońce zawisło nad szczytem wzgórza, zalewając okolicę promieniami o barwie złota. Owce wydawały się paść w tym samym miejscu, co poprzedniego dnia. Skowronki śpiewały. Miała nadzieję, że bez względu na wynik poszukiwań, jej świat nie zmieni się ani na jotę. Ludzie będą się rodzić, zawierać małżeństwa i umierać, niezależnie od tego, kim jest. Skłaniało to do pokory, lecz jednocześnie było pocieszające.

Szła tą samą ścieżką, którą poprzedniego dnia spacerowała z Jonathanem. Przypominała sobie ich rozmowę, a także wydarzenia ostatnich tygodni. Ona naprawdę udawała

mężczyznę i zachowywała się w sposób niegodny damy! - pomyślała. Nic dziwnego, że tak się z niej śmiał.

Z westchnieniem usiadła na skałce i zerknęła na dach zajazdu Pod Laską Pasterza, który niezależnie od nazwy był zwykłą karczmą. Jeszcze trzy tygodnie temu nie sądziłaby, że kiedykolwiek zatrzyma się w podobnym miejscu. Trzy tygodnie temu... Tak niewiele czasu minęło, a tak wiele się zmieniło. A może zmienić się jeszcze bardziej, gdy odnajdzie tajemniczą Catherine Fellowes.

Wstała. Kości zostały rzucone. Nastął nowy dzień, czas na nowe odkrycia! - zagrzewała się w duchu i szła dalej przed siebie. W pół drogi w dół spotkała Jonathana, który wyszedł jej naprzeciw. Był ubrany w brunatną sukienką i nankinowe spodnie. Nie miał kapelusza, a włosy związał w kitkę.

- Ranny ptaszek z pani - zawołał, podchodząc. - Nie mogła pani zasnąć?

- Słońce mnie zbudziło. Piękny mamy dzień, nieprawdaż?

- Tak - przyznał, zauważając, że jest radośniejsza niż poprzedniego wieczoru. - Dobra pogoda na targ. Wróćmy do zajazdu na śniadanie, a potem pojedziemy do Moresdale. Naturalnie, jeśli pani sobie tego życzy.

Louise przytaknęła i razem ruszyli w drogę powrotną.

W Moresdale wrzało jak w ulu. Płotki z wierzbowych witek ustawiono tak, by stworzyć zagrody dla owiec, które były spędzane ze wszystkich okolicznych wzgórz. Jak pasterze i ich psy potrafili rozpoznać swoje stada i utrzymać je oddzielnie, Louise nie potrafiła dociec. Rozstawiono już niektóre kramy, a sprzedawano w nich wszystko, od wstążek, koronek, fiszbinów, guzików i klamer po kapustę, jeżyny, książki i broszury. Wszędzie trzepotały flagi i proporce.

Przy drugim końcu wsi wyznaczono linie do wyścigów i konkursów. Przewidywano, że największą atrakcją będzie turniej kręgli z premią w postaci świniaka. Wielu uczestników spodziewano się też w konkurencjach takich jak rzut młotem i siłowanie na rękę. Były też zawody łucznicze, wyścigi dzieci i główny punkt programu - konkurs na najlepszego psa pasterskiego. Joe i Betty poszli swoją drogą z zamiarem zgłoszenia się do niektórych konkurencji.

Jonathan i Louise z kolei przechadzali się ramię w ramię wśród tłumu, który kierował się ku wielkiemu placowi z podwyższeniem. Zdobiał je kwietny łuk, a na deskach stało pół tuzina krzeseł. Tam mieli się zgromadzić oficjele otwierający targ. Louise, ciągnąca za sobą Jonathana, przepchnęła się do frontowego rzędu, chcąc jak najwięcej zobaczyć.

- Ciekawa jestem, ile lat ma hrabina - powiedział cicho Jonathan.

- Myśli pan, że to może być Catherine Fellowes?

- To wysoce prawdopodobne.

- Mam nadzieję, że ona nie ma nic wspólnego z dworem - powiedziała Louise. - Może jest ubogą i bardzo daleką krewną. Wyobrażam ją sobie jako smutną kobietę, której odebrano dziecko. Może była zbyt uboga, by je wychowywać? A może umarła przy porodzie i jej zrozpaczony mąż nie mógł znieść widoku niemowlęcia?

Jonathan nie zwrócił jej uwagi, że ten domysł przeczy temu, co usłyszała od Vailów, a mianowicie że Catherine Fellowes jeszcze żyje, podobnie jak jej mąż. Jeśli Louise pocieszała się w taki sposób, nie należało z nią polemizować.

Tymczasem podjechał powóz. Mimo że złote zdobienia na drzwiach wyblakły, łatwo było zauważyć, że kiedyś był to wspaniały pojazd. Na koźle siedział stangret w kapocie i sukiennych spodniach, a z tyłu jechał olbrzym w niebiesko-białej liberii, bacznie rozglądający się dookoła i posyłający tłumom groźne spojrzenia. Gdy tylko powóz stanął, olbrzym zeskoczył na ziemię, otworzył drzwi, rozłożył schodki i wyciągnął rękę.

Wysiadła dama o drobnej budowie ciała, którą podkreślały szerokie obręcze spódnicy i ciasne sznurowanie gorsetu. Białą perukę miała upiętą wysoko, z licznymi lokami, a na szczycie głowy znajdował się lekko przekrzywiony kapelusik. Kobieta była bardzo stara, Louise uznała więc, że nie może to być Catherine Fellowes.

Wspierając się na ramieniu olbrzyma, dama weszła statecznym krokiem na podwyższenie i zajęła miejsce na największym krześle. Służący stanął za nią i położył dłonie na oparciu mebla. Kobieta nie uśmiechała się.

Jeden z mężczyzn obecnych na podwyższeniu wstał, by zwrócić się do tłumu, powitać ludzi na targu i wspomnieć o zasadach konkursów, które zostaną rozegrane po za-

kończeniu najpoważniejszych transakcji. Potem skłonił się z szacunkiem przed hrabiną i zaprosił ją do otwarcia targu.

Kobieta wstała i wyszła na przód podwyższenia, by stojąc w królewskiej pozie, potoczyć wzrokiem po zebranych. Na moment jej ciemne oczy zatrzymały się na Louise. Przez kilka sekund ich spojrzenia się krzyżowały, a twarz hrabiny zdradzała poruszenie. Szybko jednak dama wyprostowała się i pewnym głosem, brzmiącym młodziej, niżby można się spodziewać, oznajmiła, że targ w Moresdale należy uznać za otwarty. Rozległy się wiwaty i oklaski, podsycane przez notabli z podwyższenia. Hrabina przyjęła te wyrazy uznania, nie zdradzając w żaden sposób zadowolenia, potem odwróciła się do służącego i pozwoliła, by zaprowadził ją z powrotem do powozu. Chwilę później powóz zniknął w chmurze pyłu.

- Mogła poczekać i coś obejrzeć - stwierdziła kobieta stojąca obok Louise. - Przez tyle godzin dekorowałyśmy kramy i piekłyśmy ciasta i pasztety. Miałam nadzieję, że jaśnie pani skosztuje moich wyrobów. Jest jak wszyscy arystokraci, których nic nie obchodzi poza swoimi pałacami.

- Spojrzała na mnie tak, jakby mnie znała - powiedziała Louise do Jonathana, gdy nieco odeszli na bok. - Ale to niemożliwe, prawda? Wyprowadziłam się stąd, mając pięć lat...

- Może przypomina pani swoją matkę.

On też zauważył zaskoczoną, ale chłodną minę hrabiny.

- O tym nie pomyślałam. Chciałabym zadać jej tyle pytań, ale prawie wszystkie zaczynają się od „dlaczego”.

- Kiedy proponuje pani odwiedzić dwór?

Louise wyglądała na spokojną, ale Jonathan wiedział, że pod maską opanowania kryje się lęk. Chciał dzielić z nią to uczucie i być przy niej, kiedy pozna prawdę o swoim pochodzeniu.

- Wkrótce - powiedziała. - Najpierw muszę zdecydować, w jaki sposób to zrobić.

- Może zrobić to w pani imieniu?

- Na pewno nie! Ma mnie pan za tchórza?

- Nie - odparł z uśmiechem. - Jest pani uparta i porywcza, ale nie tchórzliwa.

Przez pewien czas oglądali różne atrakcje targu. Przyglądali się psom zaganiającym stada, przysłuchiwali się dobijaniu transakcji i obserwowali zmagania w poszczególnych konkurencjach. Jonathan, zadowolony jak zawsze, wskazywał na ciekawostki, komentował zdarzenia, śmiał się z żartów ludzi grających w kręgle o świnie, ale zmarszczył czoło, dostrzegłszy ludzi zagrzewających do walki swoje koguty.

Postanowił spróbować szczęścia w konkursie strzeleckim, a kiedy wybrał kuszę, Louise, niewiele myśląc, zgłosiła się również. Kuszę było łatwiej naciągnąć niż łuk, ale nie wydawało jej się, by zrobiła to najlepiej. Chwilę potem wydała jednak okrzyk zwycięzcy, bo jej bełt trafił w sam środek tarczy. Jonathan przez chwilę cieszył się znajomym widokiem panny pełnej wigoru, jej radość szybko jednak przygasła.

Ktoś w tłumie zaczął wspominać hrabinę wdowę i Louise natychmiast natężyła słuch.

- Znowu otworzyła targ w tym roku - powiedziała kobieta. - Nie wiem, dlaczego hrabia zostawia to w jej rękach. Ona jest już taka stara.

- To fakt, za stara, żeby zajmować się dworem - dodała jej towarzyszka. - Nie wiem, dlaczego on nie wróci do domu i nie zrobi tutaj porządku. Takie zaniedbanie! Jest coraz gorzej.

- Nikt tu nie będzie chciał pracować - wtrąciła trzecia. - Hamish Mackay jest jedyny, a on nikogo do milady nie dopuszcza. Mnie się widzi, że on jest kimś więcej, niż tylko służącym. Decyduje o tym, kto wejdzie, a kto nie. Nie sposób go ominąć, a tym bardziej tych jego wielkich psów. Mogłyby zabić na miejscu.

- Ale dlaczego hrabia nie przyjedzie do domu? - nie rezygnowała pierwsza.

- Skąd mam wiedzieć? Ma sprawy w Londynie, jeśli wierzyć Hamishowi. W każdym razie Moresdale szkody z tego nie ma. Nigdy nie widziałam bardziej porywczego człowieka.

- A jego żona?

- Nikt jej od dawna nie widział. Albo siedzi w domu, zamknięta na cztery spusty, albo też jest w Londynie. Spraw we wsi dogląda wdowa. To ona zajmuje miejsce hrabięgo nawet w sądzie. Wsadziła w dyby młodego Timminsa, kiedy jego pies rzucił się na

owce farmera George'a, choć ten chłopak ma najwyżej dziesięć lat. Inna sprawa, że hrabia kazałby go powiesić...

Plotkary zmieniły wkrótce temat, więc Louise i Jonathan odeszli.

- To miejsce nie wygląda na szczęśliwe - stwierdził Jonathan.

- Nie - przyznała.

- Co pani chciałaby teraz zrobić?

- Znajdźmy Joego i Betty. Mam poczucie winy, że zostawiłam ich samych na tak długo.

- Joe nie skompromitowałby Betty. Myślę, że on naprawdę ją lubi. Nie wiem, czy oni nie będą chcieli się pobrać. Czy miałyby pani coś przeciwko temu?

- Ja? Nie mnie o tym decydować. Betty ma starszego brata i do niego trzeba się zwrócić o pozwolenie. Muszę jednak przyznać, że fatalnie zaniedbałam się w obowiązkach wobec Betty.

- Poszukajmy ich zatem.

Wiedział, że Louise unika głównego problemu, ale był cierpliwy. Wytrzymał tak długo, więc mógł jeszcze trochę poczekać. Liczył, że może jeszcze uda mu się ją odwieść od pomysłu wybudzania duchów przeszłości. Chciał, by wróciła do Barnet, do rodziny, choć tam czekało ich rozstanie.

Joe siłował się na rękę, ale miał za przeciwnika mężczyznę z wielkim bicipsem, więc wkrótce odpadł z rozgrywek. Uśmiechnął się smutno i wrócił do Betty, która stała razem z wicehrabią i panną Vail.

- A to pech, Joe - powiedział Jonathan. - Spróbuj szczęścia w wyścigach. Tam możesz mieć większe szanse.

Joe i Betty znakomicie się bawili, ale Louise, mimo że udawała zainteresowanie ich wyczynami, myślami była daleko. Zastanawiała się, jak wejść na teren Moresdale Hall, unikając psów, i jak znaleźć sposób na spotkanie z hrabiną. I co jej powiedzieć?

Jonathan szybko zauważył, że choć uśmiechała się, w jej pięknych oczach odbijało się cierpienie. Teraz znał już przyczynę. Czuł jej niepokój niczym własny i bardzo chciał pomóc w jego uciszeniu. Postanowił spróbować. Przecież miał tytuł i pozycję.

- Czy ma pani już dość atrakcji? - spytał.

- Tak sędę.

- Ja jeszcze nie - wtręcała Betty. - A wieczorem na błoniach mają być tańce. Chcemy iść, prawda, Joe?

- Wrócimy na tańce - obiecał Jonathan i podał ramię swojej towarzyszce. - Chodźmy, Louise, na małą przechadzkę.

TLR

## Rozdział dziewiąty

- Dokąd idziemy? - spytała.

- Na to wzgórze. - Wskazał pobliskie wzniesienie. - Chcę zobaczyć, jaki stamtąd jest widok.

Początkowo stok wznosił się łagodnie, stopniowo jednak stawał się coraz bardziej stromy. Jonathan trzymał Louise za rękę, pilnując, żeby nie omsknęła jej się noga, chociaż przy jej sprawności taka wspinaczka nie była trudnym zadaniem. W trzy czwarte drogi na szczyt przystanął i obrócił się.

- Niech pani zobaczy - powiedział.

Spojrzała w dół, na wieś, ukrytą w zagłębieniu terenu, i zobaczyła tłumy ludzi, kolorowe dekoracje i zagrody dla owiec, które szybko pustoszały, w miarę jak zwierzęta sprzedawano i zabierano. Jonathanowi nie chodziło jednak o wieś. Wskazywał nieco bardziej w prawo. Gdy to zrozumiała, zauważyła dach dużego domu.

- Moresdale Hall - powiedziała.

- Też tak myślę. Miałem nadzieję, że zobaczymy więcej, ale zasłaniają drzewa.

- Dwór wydaje się bardzo duży.

- I pewnie taki jest. Nie wątpię, że kiedy go wzniesiono, dominował nad całą wsią. Musiał być stamtąd dobry widok we wszystkie strony, bo dwór był świadectwem pozycji i bogactwa hrabiego. Dziwię się, że pozwolono drzewom urosnąć tak, by prawie całkiem zasłoniły domostwo. Nie tylko świat nie widzi dworu, lecz również z dworu nie widać świata.

- Ten widok niewiele mówi, prawda?

- Rzeczywiście. Chyba tylko tyle, że właściciel ceni sobie prywatność - powiedział zadumany.

- To znaczy, że trudno będzie dostać się do środka.

- A chce pani tam wejść?

- Tak. Muszę porozmawiać z hrabiną, choć obawiam się, że ona nie zechce mnie przyjąć.

- Wobec tego musimy obmyślić strategię.



- Jonathanie - zaczęła ostrożnie. - Jestem panu naprawdę wdzięczna za wsparcie, ale muszę to zrobić sama...

- Naturalnie, moja droga. Rozumiem.

Wiatr zwał jej włosy na twarz. Jonathan wyciągnął rękę i wsunął niesforne kosmyki za ucho. Dotyk jego dłoni wywołał u niej przyjemny dreszczyk. Nie chciała, żeby to zauważył, więc odwróciła się.

- Wejdźmy jeszcze trochę wyżej - zaproponowała.

Westchnął i ruszył za nią. Nie powinien był dotykać Louise. Honorowy mężczyzna nie uwodzi niewinnych panien. Miał nadzieję, że wspinaczka wybije mu z głowy nieprzystojne myśli, które mimowolnie osaczyły go. Wyżej zbocze stawało się bardziej skaliste. Szukali drogi wśród sterczących z ziemi ostrych, wielkich głazów, jakby rzuconych tutaj przez samych gigantów. Przed szczytem musieli pokonać miejsce, gdzie po jednej stronie ścieżki było urwisko, a po drugiej ściana klifu. Choć przejście nie było wąskie, dwie osoby obok siebie nie mieściły się. Jonathan przeszedł pierwszy i przystanął w oczekiwaniu na Louise. W połowie przewężenia stanęła jak skamieniała.

Jonathan zdziwił się. Nigdy dotąd Louise nie okazała przy nim strachu. Powoli wyciągnął do niej rękę.

- Można przejść - zachęcił łagodnie. - Proszę trzymać się blisko ściany a daleko od krawędzi.

Nie poruszyła się. Stała oparta plecami o skałę, zmartwiała jak przerażony królik.

- Obróć się do mnie, miła - powiedział, zbliżając się jeszcze o krok. - Tędy.

Nie mógł pozwolić, by zawróciła. Musiałby wtedy przejść obok niej, a nie był pewien, czy przerażona Louise nie wykona jakiegoś gwałtownego ruchu.

- Nie patrz w dół, tylko na mnie.

Wolno obróciła ku niemu głowę. Zachowywał niewzruszony spokój, jego wyciągnięte ramię prawie jej dotykało. Ze strachu nie mogła wydobyć z siebie głosu, poza tym i tak nie знаła słów mogących oddać przerażenie, jakie czuła. Tymczasem Jonathan przesunął się jeszcze trochę i ujął ją za rękę.

- Obróć się cała w moją stronę i podaj mi drugą dłoń.

Spokój w jego głosie był krzepiący. Posłusznie spełniła żądanie i obie jej ręce znalazły się w dłoniach Jonathana. Wtedy mężczyzna zrobił krok do tyłu i pociągnął ją za sobą. Potem jeszcze jeden, tak że wkrótce znaleźli się na trawiastej polance, gdzie Louise padła mu w ramiona.

- Już dobrze, miła, jesteś całkiem bezpieczna - uspokajał ją cicho, tuląc do siebie.

Serce biło mu jak szalone. Nie miał pojęcia, co zrobiłby, gdyby Louise mu nie ufała, gdyby nie ujęła jego ręki i spadła. Była dla niego prawdziwym skarbem. Nie zniósłby takiej straty. Kochał ją... Pragnął ją chronić, otaczać czułością, razem iść przez życie i stawiać czoło światu.

Jonathan uznał z radością, że właśnie przeżył chwilę olśnienia! Pamiętał jednak, że córka proboszcza nie byłaby uważana w wielkim świecie za stosowną kandydatkę na żonę dziedzica tytułu hrabiowskiego. Gdyby w dodatku okazało się, że przyszła na świat w zakazanym związku, wszystkie drzwi w eleganckim towarzystwie byłyby dla niej zamknięte. Czy miłość przewycięży takie przeszkody? - zastanowił się.

Wiatr na szczycie wzgórza wiał mocniej niż na mniejszych wysokościach. Louise zadrżała. Jonathan otoczył ją ramieniem i posadził w zacisznym miejscu, osłoniętym wielkim głazem.

- Czuje się pani lepiej? - spytał, wciąż ją obejmując.

- Tak, dziękuję - szepnęła niepewnie.

Wicehrabia dwa razy nazwał ją „miłą”, pomyślała.

Dla niego niewiele to znaczyło, ale jej zaparło dech w piersiach. Kochała go! Wiedziała to już od kilku dni, choć oczywiście rozumiała, że nic z tego nie wyjdzie. Wicehrabiowie nie żenią się z takimi kobietami jak ona. Dla świata była nikim, co więcej, ona sama nie wiedziała, kim naprawdę jest.

- Pani jest zimno - stwierdził, zdjął z ramion okrycie i otulił ją. - Czego pani się tak bała? - spytał. - Nie spodziewałem się tego, inaczej udalibyśmy się inną drogą...

- Wiem. Do połowy czułam się całkiem normalnie, gdy nagle jakby dłoń olbrzyma przygniotła mi pierś. Straciłam oddech, nogi się pode mną ugięły. Miałam wrażenie, że zaraz się przewrócę i runę w przepaść. Dziwne. To było całkiem poza mną, nie we mnie,

jakby coś ostrzegało mnie przed niebezpieczeństwem. - Spojrzała na niego zmieszana. - Nie ma wiele sensu w tym, co mówię, prawda?

- Owszem.

Serce mu się krajało. Poszukiwania matki wiele Louise kosztowały, a on też nie pozostawał obojętny na jej strapienia. Nie spodziewał się niczego podobnego, gdy wyruszał w tę podróż.

- Czy musimy wrócić tą samą drogą?

- Nie. Pani Winter powiedziała przecież, że przez szczyt można dotrzeć z zajazdu do Moresdale. Zejdziemy na drugą stronę i wrócimy dołem.

- Czy to było ostrzeżenie? Ostrzeżenie, żeby nie odgrzebywać przeszłości albo żeby z nią nie igrać. Jak pan myśli?

- Duchy, zjawy i inne stwory, które baraszkują po nocach? - spytał z uśmiechem. - Nigdy nie podejrzewałbym pani o skłonność do przesądów. Co się stało z tym młodzieńcem, który tak mi dopieklł po drodze z Baldock do Yorku? On nie bał się niczego.

- On był za głupi na to, by się bać! Za głupi, by wiedzieć, kiedy było mu dobrze.

- Mówi pani, że chce wrócić do Barnet? Jedno pani słowo! Wyjedziemy i Moresdale pozostawimy z jego sekretami...

- Poczulałabym się, jakbym przegrała... jakby przepędził mnie stąd strach. Strach przed dojściem do prawdy. - Urwała i spojrzała mu w oczy. Patrzył na nią ze szczerym z troskaniem. - Tata zawsze mi mówił, że nie wolno bać się prawdy. Może dlatego uważał, że należy mi wszystko powiedzieć?

Nie tylko ona bała się prawdy. On też cierpiał na myśl, jak głęboko Louise może czuć się skrzywdzona. Nie umiał jednak jej przed tym uchronić.

- A zatem nie podda się pani?

- Nie.

Wstał i ujął ją za rękę.

- Wróćmy więc do zajazdu. Zjemy kolację i jeśli będzie czuła się pani na siłach, udamy się na tańce. Nie martwmy się o to, co przyniesie jutro!

Droga naokoło była długa i Jonathan obawiał się, że zanadto zmęczy Louise. Wyglądało jednak na to, że niespodziewanie znalazła drugi oddech.

Joe i Betty już czekali gotowi i nawet trochę się niepokoiili. Jonathan wytłumaczył ich długą nieobecność spacerem, po czym oboje poszli przebrać się do kolacji.

Louise włożyła zieloną jedwabną suknię, którą Jonathan kupił jej w Doncaster, a Betty ułożyła jej włosy. Potem Louise odwzajemniła się przyjaciółce, która miała suknię w różowo-białe paski, ozdobioną różowymi kokardkami. Betty przez cały czas szczebiotała podniecona. Nigdy nie była na tańcach, więc raz po raz wspominała o Joem. W powietrzu zapachniało miłością i Louise trochę pozazdrościła przyjaciółce.

Zeszły do salonu, gdzie czekali panowie ubrani nie mniej elegancko. Jonathan wrócił do stroju przystającego wicehrabiemu. Miał na sobie śliwkowy szustokor zdobiony srebrnym szamerunkiem. Również jego różowa kamizelka miała srebrny haft, a dopasowane kolorystycznie spodnie były ściągnięte pod kolanami różowymi tasiemkami. Kontrastowały z nimi białe pończochy i lśniące czarne trzewiki na wysokim obcasie udekorowane srebrnymi klamrami. Nie miał peruki, włosy starannie zakręcił po bokach, a z tyłu zebrał i przytrzymał wielką czarną kokardą. Louise dygnęła przed nim z wdziękiem, zastanawiając się, dlaczego Jonathan ubrał się tak elegancko na zwykłą wiejską potańcówkę.

Joe, choć ubrany z mniejszym wyrefinowaniem niż dżentelmen, był wyjątkowo elegancki i też wywarł duże wrażenie na swojej damie. Przeszli do jadalni, gdzie Winterowie najpierw podali kolację, a potem usiedli z nimi do stołu.

- Podobało się państwu na targu? - spytała pani Winter.

- Bardzo - odpowiedziała Louise. - Tyle się tam działo!

- Jak sięgam pamięcią, targ odbywa się w Moresdale co roku - ciągnęła kobieta. - Kiedy byłam młoda, zawsze otwierali go razem pan hrabia z panią hrabiną, naturalnie, tą, która jest teraz wdową. Odwiedzali wszystkie kramy, rozmawiali z ludźmi. Zdarzało się, że zagrali w kręgle albo coś kupili, a czasem nawet przychodzili kilka minut potańczyć. Ludziom to się podobało. Kiedy stary hrabia zmarł, jego następca z żoną przez kilka lat podtrzymywali ten zwyczaj, ale przestali, gdy zginął ich mały synek, Thomas. Miał tylko pięć lat.

- Zginął? - zainteresowała się Louise.

Nagle wróciło do niej wspomnienie rodziców z małym chłopcem w kościele. Czy to właśnie dlatego zachowała ten obraz w pamięci? Czyżby widziała wtedy chłopca ostatni raz przed jego śmiercią? Zadrzała.

- Tak. To była tragedia. Chłopiec wymknął się niepostrzeżenie z domu i wszedł na Moresdale Hill. - Skinęła głową w stronę zbocza za zajazdem. - Zabił się, spadając z półki skalnej pod szczytem. Musieli państwo tamtędy przechodzić, jeśli byli na wzgórzu.

- To prawda - przyznał Jonathan, zerkając na Louise, która nagle pobladła.

- Mówią, że w tym miejscu straszy duch dziecka - ciągnęła gospodyni, nieświadoma zamieszania, jakie wywołuje. - Trudno się dziwić, że jego biedna mama postradała zmysły.

- Nie... - szepnęła Louise.

- Co stało się z panią hrabiną? - spytał Jonathan.

- Podobno musiała wyjechać ze względów zdrowotnych.

- Trudno się dziwić.

- Krążyły plotki, że rzuciła się w tę samą przepaść. - wtrącił pan Winter.

- W to nie uwierzę - odparła jego żona, nie zwracając uwagi na okrzyk Louise. - Trzeba byłoby znieść ciało na dół, tak samo jak wtedy, gdy zginął Thomas, a tego nie da się zrobić tak, żeby ktoś nie widział, zwłaszcza że o śmierci chłopca we wsi aż huczało. Poza tym nie było nabożeństwa żałobnego, nie ma kamienia nagrobnego. Nie, ona nie umarła, musi gdzieś żyć.

- Może zamieniła dwór w samotnię - podsunął Jonathan.

- Znaczy, że nie wychodzi z domu?

- Mniej więcej.

- To możliwe - przyznała. - To by tłumaczyło, dlaczego wdowa otwiera targ.

- Nie została tam długo - pozwoliła sobie na śmiałość Betty.

- Ale ona też jest trochę dziwna.

- Gdzie był pan hrabia, kiedy to się stało? - spytał

Jonathan, ściskając pod stołem dłoń Louise, aby dodać jej otuchy.

- Śmierć syna na pewno stanowiła dla niego potężny cios.

- Był w Szkocji ze swoim oddziałem straży obywatelskiej, walczył z księciem Karolem Edwardem. Kiedy wrócił, Thomas już leżał w grobie. Wcześniej pan hrabia wydawał się dość rozsądnym dżentelmenem, ale od tej pory się zmienił.

- Czy oni mieli inne dzieci? - spytała Louise, a jej serce podeszło do gardła.

- Nie, chłopiec był jedynakiem, do tego późno się urodził. Prawdziwe oczko w głowie ojca.

- To straszne. - Trudno było o to pytać, ale Louise pierwszy raz natrafiła na tak istotne informacje. - Czy to znaczy, że hrabiostwo nie mają dziedzica?

- Na to wygląda.

- Pan hrabia pewnie ma rodzeństwo, może kuzynów - naciskała Louise.

Pani Winter wzruszyła ramionami.

- O nikim takim nie słyszałam. Co oczywiście nie znaczy, że ich nie ma. Jeśli jednak istnieją, nie mieszkają w naszej okolicy.

- Uważaliby z pewnością, że dwór jest fatalnie zaniedbany - dodał pan Winter i nałożył sobie kolejną porcję pasztetu. - Nikt się nim nie zajmuje oprócz Hamisha Mackaya. On jest tam strażnikiem. Nikogo nie przepuści.

Louise zerknęła na Jonathana, który sprawiał wrażenie, jakby czytał w jej myślach.

- Jak się nazywa pani hrabina? - spytał.

- Wdowa? Bóg raczy wiedzieć, ja tam nie wiem.

- Nie, miałem na myśli młodszą panią hrabinę.

- Nie pamiętam... Zaraz, zaraz... Caroline... Charlotte... O, już wiem. Catherine... - Urwała. - Państwo nie jedzą, proszę jeszcze wziąć pasztetu.

Louise nie była w stanie wydobyć z siebie głosu, więc tylko pokręciła głową. Jonathan grzecznie podziękował.

- Posiłek był pyszny - powiedział - ale nie będziemy mogli tańczyć, jeśli zjemy więcej.

Louise zupełnie straciła nastrój do wyjścia. Najchętniej oddaliłaby się sama w ustronne miejsce i pograżyła w myślach. Była ciekawa, czy właśnie przybliżyła się do prawdy, czy też trop był fałszywy. Wstała od stołu i wyszła przed zajazd. Wkrótce dołączył do niej Jonathan.

- Joe zaprzęga konie - powiedział.

- Nie mogę jechać.

- Jestem innego zdania. Jeśli pani tutaj zostanie, będzie biła się z ponurymi myślami, a z tego nic dobrego nie wyniknie.

- Hrabina ma na imię Catherine - powiedziała bezbarwnie.

- To dość pospolite imię. Poza tym pani Winter wspomniała, że więcej dzieci hrabstwo nie mieli.

- Skąd może wiedzieć? Łatwo ukryć narodziny dziecka w tak odosobnionym miejscu jak dwór w Moresdale.

- Tylko dlaczego hrabina miałyby to robić?

- Nie wiem.

- Jeśli moje obliczenia są słuszne, ten chłopiec był w pani wieku. Nie może być więc pani jej córką, chyba że urodziły się bliźnięta.

- Bliźnięta?

- Tak, ale to raczej mało prawdopodobne. Trudno zrozumieć, że ktoś zatrzymuje jedno dziecko, a oddaje drugie, chociaż nie ma innych krewnych. Nie, miła, wydaje mi się, że dzwoni nie w tym kościele.

- Naprawdę tak pan sądzi? - spytała z cieniem nadziei w głosie.

- Tak. - Ujął ją za rękę. - Jedźmy na tańce z Joem i Betty. Nie możemy psuć im wieczoru, a zepsujemy go niechybnie, jeśli się wymówimy.

- Pan i tak może jechać.

- Sam nie pojedę. Zostanę przy pani, cokolwiek się zdarzy.

Roześmiała się ponuro.

- Może pan jeszcze tego pożałować.

Uśmiechnął się szeroko.

- Niewykluczone, ale na pewno nie dziś wieczorem.

Pozwoliła się zaprowadzić z powrotem do zajazdu, gdzie czekali Joe i Betty.

- Niech się pani pospieszy - zażądała Betty. - Nie chcę stracić ani minuty.

Joe podał jej ramię, a ona zachichotała. Jonathan i Louise poszli za nimi do powozu. Joe usiadł na koźle. Betty nie mogła mu towarzyszyć w swojej najlepszej sukni, więc ze smutkiem wsiadła do środka.

- Znalazła pani swoją krewną? - zwróciła się Betty do Louise, gdy powóz skakał na wybojach.

- Jeszcze nie. Może jutro.

- Dużo ludzi wyjedzie, pewnie będzie łatwiej.

- Właśnie - przyznała Louise.

Betty nawet nie przyszło do głowy, by skojarzyć poszukiwania prowadzone przez Louise z historią usłyszaną przy kolacji.

Tańce odbywały się na błoniach, bo nie było we wsi dość dużej sali. Wszędzie, gdzie się dało, rozwieszono latarnie, zbudowano też podwyższenie na belach słomy, na którym grali skrzypek i dudziarz. Wszyscy byli wystrojeni, ale najwięcej spojrzeń przyciągał Jonathan, który wśród obecnych zajmował zdecydowanie najwyższą pozycję. Zupełnie się tym jednak nie przejmował, tylko z chłopięcym entuzjazmem porwał Louise do tańca.

- Dzisiaj wieczorem się bawimy - szepnął jej do ucha. - Ten wieczór należy do nas. A jutro będzie co ma być!

Louise przyznała mu w duchu rację. Odsunęła więc troski na bok, by nacieszyć się muzyką, rozgwieżdżoną nocą, ponczem i dotykiem dłoni Jonathana trzymającego ją w tańcu. Chciała zapamiętać jego uśmiech, by móc go latami tęskno wspominać.

Dopiero po północy wsiedli do powozu w drogę powrotną. Joe sobie pofolgował, więc o omijaniu dziur nie było mowy. Konie jednak zdawały się znać drogę do stajni, więc udało się uniknąć wypadku.

Joe poszedł na swój stryszek do stajni, Betty do pokoju, a Jonathan został z Louise na podeście. Stali twarzą w twarz i odwlekali chwilę, gdy powiedzą sobie dobranoc. Zasłona w oknie była odsunięta, więc do wnętrza wlewała się księżycowa poświata. Ich twarze w tym świetle wydawały się blade, ale oczy im lśniły, u Louise tym bardziej srebrzyście, że mieniły się łzami. Wiedziała bowiem, że nie doczeka się szczęśliwego spełnienia. Nie umiała jednak pierwsza odejść.



- Dziękuję za miły wieczór - szepnęła. - Na zawsze go zapamiętam.
- Cała przyjemność po mojej stronie.
- Już jest jutro.
- Można tak powiedzieć...
- Dobranoc, Jonathanie.
- Dobranoc, moja kochana.

Ujął jej twarz w dłonie i pocałował ją w usta, by potem odejść korytarzem.

Louise poszła do swojego pokoju, rozebrała się, rzucając ubrania gdzie popadnie, i położyła się obok Betty. Długo jednak nie mogła zasnąć i tylko starała się płaczem nie zbudzić przyjaciółki.

Mimo krótkiego snu Louise ocknęła się wcześniej. Betty wciąż spała i należało się spodziewać, że przed południem nie wstanie. Louise umyła się więc i włożyła niebieską muślinową suknię. Wyszczotkowane włosy zaczesła do tyłu, przykryła słomkowym kapelusikiem, który zawiązała pod szyją niebieską tasiemką, i wyszła na dwór. Mówiła poważnie, zapowiadając Jonathanowi, że swoje sprawy musi załatwić sama.

Słońce niedawno wzeszło. Wyruszyła więc bez zbędnej zwłoki. Miała bowiem długą drogę przed sobą, bo nie chciała mijać tego straszego urwiska. Gdy dotarła do wsi, ludzie rozbierali kramy i dekoracje. Minęła błonia i skręciła w górę, w stronę dworu. Przez pewien czas posuwała się wzdłuż wysokiego muru, by stanąć przed zamkniętą bramą. Obok znajdowała się niewielka furtka przeznaczona dla pieszych. Zdobywszy się na odwagę, Louise pchnęła ją i weszła do środka. Przed nią znajdował się wąski podjazd obsadzony po obu stronach drzewami tak gęsto, że przypominał ciemny tunel. Wokół pni rozkrzewiły się jeżyny i czarny bez. W tym ponurym miejscu poczuła się niepewnie, dzielnie zrobiła jednak kilka kroków naprzód. Gdzieś przed nią musiał znajdować się dom, ale wciąż nie miała pojęcia, co robi, gdy do niego dojdzie. Nie mogła przecież zagaić: „Zdaje mi się, że jestem wnuczką milady”. Zresztą wcale nie musiało to być prawdą.

Miała nadzieję niebawem spotkać lokajów, kamerdynerów, służących i tego olbrzyma, Hamisha Mackaya, którego widziała na targu. Nie wiedziała jednak, czy chciała

się spotkać z młodą panią hrabiną, czy z wdową. Jeśli wierzyć plotkom, młodej pani hrabiny nie było w Moresdale. Wyobraźnia Louise została wprawiona w ruch.

Najpierw usłyszała szczekanie psów, a potem przed sobą zobaczyła sześć gigantycznych wilczarzy, blokujących jej drogę i szczerzących kły. Mogła jedynie zawrócić, coś jednak podpowiadało jej, że nie byłoby to rozsądne wyjście, zwłaszcza gdyby spróbowała biec.

Stała nieruchomo. Przez kilka sekund mierzyła się z psami wzrokiem, a potem zaryzykowała mały krok do tyłu. Zwierzęta posunęły się naprzód, nie przestając warczeć.

Nagle ukazał się za nimi olbrzymi człowiek w sukiennej kapocie, skórzanych spodniach i solidnych butach. W rękach trzymał strzelbę gotową do strzału.

- Co pani tu robi? - spytał, gdy kazał psom warować.

- Wyszłam na spacer. Pomyślałam, że dwór może być interesujący. - Była to pierwsza wymówka, jaka przyszła jej do głowy. - Miałam nadzieję, że pani hrabina pozwoli mi go obejrzeć.

- Nie pozwoli.

- Wobec tego nie będę jej kłopotać. Jeśli pan zabierze psy, to sobie pójdę.

- Pani była wczoraj na targu - stwierdził. - Widziałem panią.

- Tak.

- Obca w naszych stronach, prawda?

- Niezupełnie. - Nieufnie przyglądała się psom na wypadek, gdyby któryś z nich okazał nieposłuszeństwo panu. Wyglądały bowiem tak, jakby chciały pożreć ją żywcem.

- Mieszkałam w Moresdale jako mała dziewczynka.

- Co panią sprowadza z powrotem?

- Byłam w Yorku i postanowiłam sprawdzić, czy coś zapamiętałam z dzieciństwa.

- I zapamiętała pani?

- Bardzo mgliście.

- Niech pani powie, jak się nazywa - rozkazał.

- Louise Vail.

- Ahaa!

Przeciągnął drugą samogłoskę tak, jakby znał rodzinę Vailów.

- Zna pan moje nazwisko?

- Tak miał na nazwisko pastor, dawno temu.

- To prawda.

Przywołał psy do siebie i kazał im usiąść.

- Może pani iść - powiedział. - Proszę się odwrócić i oddalać powoli. Radzę nie biec. Niech pani zamknie za sobą furtkę.

Posłusznie doszła do furtki, choć ze strachu włosy jeżyły jej się na karku.

- Niech pani tu nie wraca - krzyknął jeszcze za nią. - Następnym razem może mnie nie być w pobliżu, a psy będą na pewno.

Znalazła się z powrotem na drodze i zatrzasnęła za sobą furtkę. Po chwili bezsilnie usiadła w przydrożnej trawie. Nogi trzęsły jej się tak bardzo, że nie mogła się ruszyć.

Po pięciu minutach wstała i wróciła do wsi. Nie wiedziała, co dalej począć. Jonathan miał rację, że potrzebuje planu. Co więcej, była pewna, że w jego realizacji będzie zmuszona skorzystać z pomocy Jonathana. Gdy wpadała w kłopoty, zawsze pragnęła, by się pojawił.

Jej pragnienie wkrótce się spełniło.

- Gdzie pani była?! - spytał ze złością, wyraźnie zaniepokojony.

- W Moresdale Hall.

- I co?

- I nic. Psy mnie nie wpuściły. Sześć wielkich wilczarzy, prawie tak wysokich jak ja.

- Louise, ty niemądra dziewczyno. Wiesz, na jakie niebezpieczeństwo się naraziłaś?!

Zadrżała.

- Ten wielki służący, który był wczoraj na targu, przywołał psy. Potem mnie wypytywał. Na pewno znał moje nazwisko.

- Czy wspomniała pani o Catherine Fellowes?

- Nie. Chciałam o nią zapytać hrabinę. Przekonałam się jednak, że nic z tego, więc uciekłam. Ten służący wyglądał prawie tak samo groźnie jak psy.

Gdy tak stali, rozmawiając, powóz hrabiny przejechał obok nich, a na stopniu z tyłu stał stary sługa. Zasłony były zaciągnięte, więc nie dostrzegli, kto siedział we wnętrzu.

- Wdowa - powiedziała. - Możemy wrócić i jeszcze raz spróbować wejść, póki jej nie ma.

- Sądziłem, że chce pani z nią porozmawiać. Nie widzę powodu, by niepotrzebnie narażać się na spotkanie z psami, które bez wątpienia biegają teraz wolno. Nie mamy pewności, czy jest we dworze ktoś, z kim można się zobaczyć i postawić mu pytania.

- Hrabina Catherine.

- Może jej tam nie być, a jeśli za to jest pan hrabia i ma taki charakter, jaki przypisują mu ludzie, to nie zostanie pani miło powitana, zwłaszcza jeśli jest pani córką jego żony, a nie on jest ojcem - zwrócił słusznie uwagę.

- Co skłania pana do takiego przypuszczenia? - spytała kwaśno. - Wczoraj przekonywał mnie pan, że w ogóle nie jestem spokrewniona z hrabiostwem. Pewnie chodziło panu tylko o to, żebym poszła z nim na tańce!

- Staralem się logicznie myśleć, jakkolwiek egzotycznie zabrzmiałoby to dla pani. Podczas podróży nad wyraz często zapominała pani o zdrowym rozsądku.

- Na moim miejscu pan z pewnością również nie zachowywałby się racjonalnie. Sama nie wiem, kim jestem, i przypominanie mi o tej sytuacji doprawdy zakrawa na nieuprzejmość.

- Nie ma powodu się złościć. Chciałem tylko wskazać...

- Wiem, czego pan chciał. Nie musi mi pan przypominać, że jestem bękartem, osobą nie do zaakceptowania w londyńskim towarzystwie. Nie mam co do tego złudzeń.

- Louise...

- Nie rozumiem, dlaczego pan wciąż przy mnie jest. - Roześmiała się ironicznie. - Och, wreszcie zrozumiałam!

- Naprawdę? - spytał cicho.

- Tak. Poprosił pana o to Luke i bez wątpienia musiał słono zapłacić za usługi członka słynnego Klubu Dżentelmenów Piccadilly. Widzi pan, znam tę nazwę. Szkoda, że mój brat w taki sposób przepuszcza pieniądze.

- Przepuszcza? - spytał zirytowany. Nie miał zamiaru tłumaczyć się przed Louise i przekonywać, że nie wziął od Luke'a ani pensa. - Pani brat kocha panią na tyle, że poprosił, abym ją znalazł i zapewnił jej bezpieczeństwo. Chce mu pani wypominać braterskie uczucie?

- On nie jest moim bratem - stwierdziła obojętnie.

- A teraz pozbawia go pani jego braterskich praw. Wstyd mi za panią, Louise Vail.

- Wiem! Nie jestem odpowiednim towarzystwem dla wicehrabiego, więc uwolnię pana od tego ciężaru.

Odwróciła się na pięcie i pobiegła przez błonia, choć nie miała pojęcia, dokąd się kieruje.

Jonathan patrzył za nią, przeklinając swoją niezręczność. Niepotrzebnie utwierdził ją w przeświadczeniu, że pochodzenie może czynić z niej wyrzutka. Przecież była samodzielną kobietą, dzielną, energiczną, pomysłową i ujmującą. Kochał ją. Nie powiedział jej tego, chociaż powinien.

Dokąd jednak ta miłość prowadziła? Do małżeństwa? Przecież nie zmienił swoich poglądów na małżeństwo. Ponadto znał doskonale wszystkie powody, dla których nie powinien poślubić Louise Vail. Jeśli nawet nie była bękartem, to wychowywał ją proboszcz, prawdopodobnie niebędący człowiekiem szlachetnie urodzonym, i zapewnił jej bardzo niekonwencjonalne wychowanie, stosowne bardziej dla chłopca. Louise nie miała posagu, a jej dom nie cieszył się żadnym prestiżem. Jonathan wiedział, że nie zaakceptują jej ani towarzystwo, ani jego rodzice. Dla niego jednak nie miało to znaczenia. Były to argumenty mogące trafić do rozumu, nie do serca, a on myślał sercem.

Nie mógł jednak ujawnić swoich uczuć, póki Louise nie rozstrzygnie problemu swojego urodzenia. Im szybciej ta zagadka zostanie rozwiązana, tym lepiej. Postanowił więc w tym pomóc i porozmawiać z hrabiną wdową.

Louise oddaliła się w kierunku drogi do Yorku. Chciała wrócić do zajazdu. Szybko dogonił ją, ale został zignorowany. Szedł zatem obok z nadzieją, że jednak zniesie jego obecność bez łez.

- Rozumiem, że zamierza pani milczeć, dopóki nie przeproszę... - zaczął.

- Za co ma pan przeproszać? - przerwała mu szybko. - Powiedział pan najprawdziwszą prawdę.

- Tego nie wiemy.

- Za późno na sprostowania. Słów, które padły, nie można cofnąć.

- Chciałbym jednak je cofnąć. - Ujął ją za rękę i obrócił ku sobie. - Louise, przepaszam. Mnie nie robi najmniejszej różnicy to, kim pani jest. Kocham panią!

- Kocha mnie pan? - spytała zdziwiona.

- Tak. Sądziłem, że już się pani domyśliła.

- Dlatego, że mnie pan całował? Pocałunki nic nie znaczą. Bez wątpienia całuje pan swoje kochanki - odparła przekonana, że ma zostać jedną z nich.

- Nie! - zachnął się.

Potem ujął jej twarz w dłonie i namiętnie pocałował ją w usta. Poddała się temu biernie, choć z trudem hamowała reakcje ciała. Przed czułością nie znalazłaby obrony, ale ten pocałunek był zaborczy i gwałtowny. Tak całują mężczyźni przyzwyczajeni do stawiania na swoim, nieznoszący sprzeciwów, skonstatowała w myślach.

Po chwili Jonathan zorientował się, że pocałunek to był bład, który go pogrzyżył. Cofnął się raptownie.

- Och, Louise! Przepraszam. Bardzo przepraszam. Niech mi pani wybaczy!

Nie odpowiedziała. Odwróciła się i w pośpiechu ruszyła dalej. Jonathan podążył za nią, utrzymując dystans kilku kroków. W zajeździe Louise natychmiast schroniła się w swoim pokoju i zatrzasnęła za sobą drzwi. Stał chwilę na korytarzu, potem odszedł. Louise usłyszała jego kroki, bezsilnie upadła na łóżko i zaczęła szlochać. W tej chwili osobą, za którą tęskniła najbardziej na świecie, była jej mama.

Do Chipping Barnet było jednak bardzo daleko.

## Rozdział dziesiąty

Tego dnia już nie wyszła z pokoju. Nikt do niej nie przychodził. Nie miała pojęcia, jak jej nieobecność wytłumaczył Jonathan. Domyślała się, że bólem głowy, co zresztą było prawdą. Louise gorzko żałowała, że wybrała się w tę nedorzeczną podróż. Okazała niewdzięczność drogim rodzicom i braciom, zwłaszcza Luke'owi. Przecież wcale nie chciała ich urazić. Gdyby jej mama weszła teraz do pokoju, Louise rzuciłaby się jej na szyję i ze szlochaniem błagała o przebaczenie. I wiedziała, że znalazłaby u niej pocieszenie.

Tu jednak nie było szansy na pocieszenie. Jonathan, owszem, całował ją, powiedział, że ją kocha, ale łatwo było sobie wyobrazić, że tak samo zachowywał się wobec kochanki, swojej *jolie femme*. Młodzi dżentelmeni już tacy są. Ona nie była i nie zamierzała być jego *jolie femme*. W ogóle nikim dla niego nie była.

Następnego ranka opuściła pokój blada, z opuchniętymi oczami, ale opanowana i zdecydowana. Zanim znalazła się w jadalni, Betty już poszła z Joem, zając się końmi. Za to Jonathan wciąż siedział przy stole, mając przed sobą pusty talerz i pustą filiżankę. Wyglądał na zamyślonego.

Usiadła naprzeciwko niego i zaczęła powoli rozsmarowywać masło na kromce chleba. Zerknął na nią tak, jakby próbował ocenić, czy wciąż jest na niego zła. Po chwili uśmiechnął się.

- Dzień dobry, Louise.
- Chcę wrócić do domu - powiedziała obojętnym tonem.
- Do domu? - powtórzył zdziwiony. - Do Chipping Barnet?
- Nie mam innego domu. Obiecał pan mnie odwiedzić, chociaż proszę nie czuć się zobligowanym. Jeśli woli pan tego nie robić... - urwała i opuściła wzrok.
- Oczywiście, że panią odwiozę. Czy to znaczy, że przerywa pani poszukiwania?
- Nie wydaje się, by miało wiele sensu nadal je prowadzić, prawda?
- Rzeczywiście nie - przyznał radośnie. - Nie obchodzi mnie ani trochę, kim pani jest, wszystko mi jedno, kto panią urodził.
- Wiem.

- Źle mnie pani zrozumiała. Proszę pozwolić, że dokończę. Nie obchodzi mnie zamierzcha przeszłość! Powinniśmy interesować się przyszłością. Ważne jest pani szczęście, a przy okazji również moje, bo one są nierozzerwalnie połączone. - Wyciągnął ramię i przykrył jej dłoń. - Kocham panią, Louise Vail. Jest pani dla mnie wszystkim... Powietrzem, którym oddycham... Oparciem... Kimś, o kim ani na chwilę nie potrafię przestać myśleć. Cały należę do pani, bez niej zwiędnę i uschnę. Uświadomiłem to sobie, gdy stała pani na tej skalnej półce. Pojąłem, że nie mógłbym bez niej żyć.

Wyznał to tak czule, że po policzkach Louise znów popłynęły łzy. Powinna była skakać ze szczęścia, zachwycona, ale wiedziała, że postąpiłaby nierozsądnie. Nie zamierzała ulec.

- Chce pan, żebym została jego kochanką - powiedziała beznamiętnie. - Chce pan urządzić mnie w jakimś ustronnym miejscu i odwiedzać w wolnych chwilach, gdy nie będzie zajmował się pan żoną i rodziną. - Westchnęła ciężko. - Powiem panu od razu, że nie zgodzę się na to. Nawet gdybym miała umrzeć jako zgorzkniała stara panna... Nie zgodzę się!

Zamrugął zaskoczony.

- Pani mnie nie zrozumiała. Chcę, aby została pani moją żoną. Pani i nikt inny.

Spojrzała, osłupiała.

- Nie rozumiem...

- Nie potrafię powiedzieć tego jaśniej, ale niezręcznie mi to wyszło. Pani naturalnie chce, abym zrobił to, jak należy. Proszę więc pozwolić, że się poprawię. - Ukłękł u jej stóp i ujął jej dłonie. - Panno Vail, kocham panią. Nic nie da mi większego szczęścia niż pani zgoda na to, by zostać moją żoną. Czy uczyni mi pani ten niewymowny zaszczyt i zgodzi się mnie poślubić?

Spojrzała na niego z niekłamanym zachwytem, zaraz jednak na jej twarzy pojawił cień niedowierzania.

- Pan nie może mówić tego poważnie!

- Ależ mówię poważnie! Nie mówiąc o tym, że pani przecież mnie kocha, prawda?

- To niemożliwe, i pan o tym wie. To szaleństwo.

- Dlaczego? Zaprzecza pani?



- Ja... - Westchnęła. - Nie w tym rzecz...

- Właśnie w tym. Jeśli kochamy się wzajemnie...

Cóż może stanąć nam na drodze?! Nie widzę przeszkód.

- Ja widzę wiele przeszkód!

- Niech pani wymieni chociaż jedną.

- Nie wie pan, kim jestem. Nawet ja sama tego nie wiem. Pan ma wicehrabiowski tytuł... Gdybym przyjęła pana propozycję, zostalibyśmy wykluczeni z towarzystwa, a pańska rodzina nigdy by mnie nie zaakceptowała. Nie chciałabym tego!

- Towarzystwo mnie nie interesuje, a moi rodzice... Jestem przekonany, że ulegną szybko pani urokowi. Kocham panią, dlatego błagam, aby przemyślała pani moją propozycję.

- Poznaliśmy się niecałe cztery tygodnie temu, a kilkanaście dni udawałam mężczynę!

- Bardzo pięknego mężczyznę, moja droga, ale to nieważne! Proszę zaufać swoim uczuciom. - Spojrzał w górę, prosto w jej oczy. - Louise, powiedz, że mnie pani kocha!

- To niemożliwe - powtórzyła, kręcąc głową.

- A jeśli okaże się, że nie pochodzi pani z nieprawego łoża? Czy to zmieniłoby pani decyzję?

- Nie. Zresztą to niemożliwe. Z jakiego innego powodu znalazłam się w rodzinie pastora? Chcę jedynie wrócić do domu. - Uśmiechnęła się nikle. - Niech pan wstanie, Jonathanie... Zabrudzi pan sobie spodnie.

Podniósł się z klęczek, usiadł obok niej na krześle i ujął ją za rękę.

- Odwiozę panią do domu, kiedy tylko pani zechce, Louise. Ale po powrocie na plebanię powie pani tym dobrym ludziom, którzy ją wychowali, że zamierza mnie poślubić i zostać wicehrabiną Leinster!

- Pan jeszcze zmieni zdanie - odparła. - Gdy tylko wrócimy, zrozumie pan, jakiego głupca chce z siebie zrobić.

- Nie.

- Nie będę trzymać pana za słowo.

Jonathan postanowił odstąpić od dalszej dyskusji. Przygotował niespodziankę, a poza tym miał nadzieję, że dwieście mil drogi, która ich czekała, wystarczy, aby przekonać Louise do małżeństwa.

- Możemy wyruszyć jutro po śniadaniu, jeśli zdąży się pani przygotować - zaproponował. - Każę Joemu szykować powóz i konie.

- A dzisiaj?

- Już prawie południe, trochę za późno na rozpoczęcie podróży.

- Moglibyśmy dojechać do Yorku. Westchnął i wstał.

- Cóż, to prawda. Powinna więc pani wziąć się do pakowania. Poszukam Joego. Bóg raczy wiedzieć, gdzie się podzieli z Betty.

Wyszedł do stajni z nadzieją, że nie znajdzie Joego i Betty, przynajmniej do czasu, aż nie nadejdzie zaproszenie do Moresdale Hall. Ciekawe, czy Louise jeszcze raz zmieni zdanie.

Szedł przez podwórze, gdy nadjechał powóz hrabiny i zobaczył Hamisha zeskakującego na ziemię.

- Pani hrabina chciałaby, aby panna Vail złożyła jej wizytę - powiedział wielkolud, kiedy Jonathan podszedł bliżej. - Powóz czeka.

- Zaraz ją przyprowadzę.

Zostawił Hamisha na podwórzu i wszedł do gospody. Louise, usłyszawszy hałas, wyjrzała przez okno. Spodziewała się zobaczyć pojazd z Joem na koźle. Zamrugła, zdziwiona, i poczuła, że opuszcza ją pewność siebie. Wyszła z pokoju i na schodach spotkała Jonathana.

- Hrabina chce się z panią zobaczyć - zapowiedział.

- Nie mogę... Nie chcę...

- Ależ może pani i przecież właśnie tego pani chciała. To dlatego tutaj przyjechalśmy. Będę pani towarzyszyć, jeśli sobie tego pani zażyczy.

- Nie - odparła, nagle odzyskawszy zdecydowanie.

- Pojadę sama. Ojej! Muszę najpierw zmienić suknię i ułożyć włosy. Nie mogę pokazać się w takim stanie!

Spojrzała niezadowolona na swoją muślinową suknię.

- Niech pani włoży tę zieloną - poradził. - Sprowadzić Betty?

- Nie, dam sobie radę sama. Proszę powiedzieć panu Mackayowi, żeby zaczekał kilką minut.

Wróciła do swojego pokoju i stanawszy pośrodku, próbowała zapanować nad oddechem. Sama milady posłała po nią! Czy wreszcie pozna choć część prawdy? - zastanowiła się. Z drugiej strony hrabina mogła po prostu zażądać od niej, aby wyjechała i nie próbowała wywoływać duchów przeszłości.

Włożyła zieloną suknię, po czym zaczęła sznurować gorset. Po chwili usłyszała ciche pukanie do drzwi, a zaraz potem wszedł Jonathan. Stał za nią, wyjął jej z dłoni sznurówki i wprawnie dokończył wiązanie. Zapiął stanik sukni i ułożył na ramionach Louise ażurową chustę, której końce wsunął za rąbek dekoltu. Dotyk jego palców wywołał u niej dreszczyk, który przebiegł po całym ciele. Tymczasem Jonathan, wyraźnie nieświadom tej reakcji, wziął szczotkę do włosów.

- Niech pani usiądzie - polecił. - Straci pani cały dzień, jeśli ktoś pani nie pomoże.

Była zbyt oszołomiona, by zaprotestować. Jonathan znów stanął za nią i zaczął szczotkować włosy długimi, pewnymi ruchami.

- Będę często to robił, gdy już się pobierzemy... - obiecał miłym głosem.

Nie odpowiedziała, ale ruchy szczotki podziały na nią kojąco, bez wątplenia zgodnie z intencją Jonathana. Gdy wreszcie odłożył szczotkę, ujął w palce kosmyk jej włosów i zakręcił go na czubku głowy.

- Jak go tutaj przytrzymać? - spytał.

Roześmiała się i nagle poczuła, że resztę powinna zrobić sama. Szybko poprawiła fryzurę, używając szpilek i grzebyków, i nałożyła ukośnie kapelusz z szerokim rondem.

- Pięknie - szepnął za jej plecami Jonathan, a potem pocałował ją w kark.

- Może być? - spytała niepewnym głosem, oszołomiona pocałunkiem.

- Jest znakomicie. A teraz niech już pani idzie. Będę czekał na pani powrót tutaj.

Otworzył drzwi i odprowadził ją do powozu. Pomógł jej wsiąść z elegancją dworzanina, a gdy zamknął za nią drzwi, Hamish wskoczył na stopień, stangret szarpnął wodzami i powóz ruszył. Jonathan patrzył jego śladem, aż nie znikł za zakrętem. Potem

wrócił do zajazdu, by napisać kilka listów i poczynić dalsze plany. Miał nadzieję, że w ten sposób zdoła skrócić sobie oczekiwanie.

Powóz skręcił na podjazd w Moresdale Hall i na chwilę przystanął, by Hamish mógł zamknąć bramę.

Potem uroczą aleją między drzewami dojechali pod główne wejście. Louise pochyliła się naprzód, by wyrzeć. Zobaczyła imponującą fasadę z kamienia, prawdopodobnie pochodzącego z miejscowych kamieniołomów. Po bokach wznosiły się okrągłe wieże, połączone balustradą wzdłuż krawędzi dachu. Pnącza prawie zasłaniały okna. Z ram płåtami odchodziła farba. Ogród przed wejściem był niemiłosiernie zarośnięty i zachwaszczony. Louise z żalem pomyślała o tym, jak bardzo ten wspaniały dwór zaniedbano.

Hamish Mackay zeskoczył na ziemię, otworzył drzwi i pomógł jej wysiąść. Miał nieprzeniknioną twarz. Nie okazał jej niechęci, którą przywitał ją poprzednio, ale nie zdradził też najmniejszej sympatii. Zaprowadził ją do ciężkich drzwi wejściowych, które otworzył. Lokaja nie było.

- Proszę za mną - powiedział.

Minęli kilkoro drzwi w korytarzu i weszli po rzeźbionych dębowych schodach na galerię. Louise zerknęła do góry. Klatka schodowa sięgała jeszcze dwa piętra wyżej, aż do dachu zwieńczonego kopułą, pięknie rzeźbioną, choć gęsto obwieszoną pajęczynami. Tymczasem jej przewodnik zapukał do drzwi.

- Możecie wejść - usłyszeli.

Hamish wpuścił Louise do saloniku, w którym przy oknie siedziała hrabina. Pokój znajdował się od południa, a ponieważ z tej strony dworu drzewa nie rosły, wewnątrz, zalane blaskiem słońca, było przytulne i pełne powietrza.

Zbliżyła się i dygnęła przed starą damą.

Nie zdawała sobie sprawy z tego, że olbrzym wciąż stoi za jej plecami, póki dama się do niego nie zwróciła:

- Hamish, poproś Jane, żeby przyniosła nam herbatę i ciastka. - Potem skierowała wzrok na Louise i wskazała jej stołek u swoich stóp. - Usiądź, dziecko, w takim miejscu, żebym mogła cię widzieć.

Louise spełniła to życzenie. Czekwała, co stanie się dalej, i przyglądała się hrabinie. Dama nosiła fioletową jedwabną suknię na obszernej rogówce. Stanik opierał się na różowym pikowanym przodku, a dekolt i rękawy były wykończone koronką. W wielkiej sukni stara hrabina wydawała się jeszcze drobniejsza niż w rzeczywistości, chociaż siedziała upozowana jak królowa. Twarz miała poprzecinaną zmarszczkami, ale jej niebieskie oczy lśniły i spoglądały bystro. Zapewne nic im nie umykało.

- A więc to ty jesteś Louise Vail - powiedziała w końcu i dokładnie zmierzyła ją wzrokiem, by ostatecznie zatrzymać go na jej twarzy.

- Tak, milady.

- Poznałabym cię wszędzie. Masz coś takiego w wyglądzie. I te oczy... tak, oczy cię zdradzają. Opowiedz mi o sobie. Czy miałaś szczęśliwe dzieciństwo?

Louise powściągnęła ciekawość i cierpliwie opowiedziała o swoich szczęśliwych dziecięcych latach, o rodzicach i braciach, odebranych wykształceniu i pomocy matce w codziennych obowiązkach. Umilkła zakłopotana, gdy padło pytanie o powód jej przyjazdu do Moresdale. Na szczęście nadejście służącej przerwało krępującą ciszę.

Wkrótce hrabina odprawiła dziewczynę i sama zajęła się nalewaniem herbaty. Dopiero gdy skończyła ten rytuał i podała Louise filiżankę, odezwała się znowu.

- Wiedziałam, kim jesteś od chwili, gdy zatrzymałam na tobie wzrok, otwierając targ - powiedziała. - Zdawało mi się, że znalazła się wśród nas młoda Catherine. Stara już jestem i głęboko to mną wstrząsnęło. Porzuciłam nawet zamiar, by zostać trochę dłużej i obejrzeć kramy. Poprosiłam Hamisha, żeby od razu odwiózł mnie do domu.

- Nie chciałam wzbudzić niepokoju milady - odpowiedziała cicho Louise i wypła łyk herbaty.

- Obawiam się, że mimo to wzbudziłaś. Byłam pewna, że przyjechałaś tu mieszać...

- Nie, milady. Stanowczo zaprzeczam. Nigdy nie miałam takiego zamiaru.

- Chciałam, żebyś odjechała. Nie życzyłam sobie z tobą rozmawiać. Poleciałam mojemu słudze, żeby cię nie wpuszczał.

- Tak było. Gdy próbowałam wejść, zatrzymały mnie psy.

- On jest dobrym i lojalnym sługą, troszczy się o mnie. - Uśmiechnęła się niespodziewanie. - Myślę, że zawsze się we mnie podkochał, co niestety wykorzystywałam.

- Dlaczego milady zmieniła zdanie?

- Och, za sprawą tego przyjemnego młodego dżentelmena, który złożył mi wizytę i przekonał, że nie szukasz niczyjej krzywdy, tylko po prostu chcesz poznać prawdę.

- Młody dżentelmen? - spytała Louise. - Milady myśli o wicehrabim Leinster?

- Tak. Wczoraj po południu przyszedł i poprosił o rozmowę. Naturalnie, wiedziałam, że jest we wsi. Kogoś tak znaczącego jak on nie sposób nie dostrzec. Nie wypadało mi odprawić wicehrabiego, zwłaszcza takiego, którego rodzina jest niemal równie stara jak nasza.

- Zatem milady wiedziała, po co przyjechałam do Moresdale? - powiedziała Louise, przysięgnawszy sobie w duchu, że wygarnie Jonathanowi, gdy tylko go zobaczy.

- Tak... - Hrabina urwała. - Nie jestem jednak pewna, czy z zaspokojenia twojej ciekawości może wyniknąć coś dobrego.

- Nie kieruje mną czysta ciekawość - zastrzegła Louise. - Chcę wiedzieć, kim jestem, kto mnie urodził, dlaczego zostałam oddana. Nie mogę tego zrozumieć...

- A co chcesz zyskać, poznając przeszłość?

- Zyskać? - spytała zdziwiona. - Myślę, że świadomość... Wiedzę...

- Wiedza często jest tożsama z władzą.

- Och, nie! Milady źle mnie zrozumiała. Nie szukam władzy ani o nic nie proszę. Nie chcę pieniędzy ani pozycji. Po prostu muszę wiedzieć...

Urwała. Nie mogła się zdobyć na wyznanie swojej największej obawy.

- Co ci powiedziano? Ze słów wicehrabiego Leinster wnoszę, że dopiero od niedawna wiesz, że zostałam adoptowana.

- Tak.

- Musiał to być dla ciebie wstrząs. - Wzięła talerz z ciasteczkami. - Koniecznie skosztuj. Jane jest świetną kucharką, ale rzadko ma okazję pokazać swój talent.

Louise pokręciła głową.

- Wyglądają przepysznie, milady, ale nie jestem głodna.

- Naturalnie. Chcesz usłyszeć całą historię - odparła i odstawiła talerz z powrotem.

- Bardzo proszę.

- Nie możesz zobaczyć Catherine. Jej tu nie ma. Nie sądzę zresztą, żebym na to pozwoliła, nawet gdyby była. Ona nie czuje się najlepiej...

- Ale to ona jest moją matką?

- O, tak.

- Słyszałam plotkę...

- Że popełniła samobójstwo? Tak, ja też to słyszałam. We wsi nic nie dzieje się bez mojej wiedzy. Proboszcz i Hamish dbają o to, bym była dobrze poinformowana. Catherine jest w zakładzie. Nie rób takiej wstrząśniętej miny, nie jest szalona, w każdym razie nie w często używanym znaczeniu tego słowa. Jej choroba ma związek z tym, co stało się z Thomasem.

- Bardzo mi przykro z tego powodu. Pamiętam, że gdy jeszcze mój ojciec był proboszczem, widziałam kiedyś w kościele małego chłopca. Miałam pewnie jakieś pięć lat, a on był w tym samym wieku.

- Co do dnia - dodała stara dama, a w jej oczach pojawił się taki wyraz, jakby nagle cofnęła się w czasie.

- Byliśmy bliźniętami?

- A skądże! - Urwała i upiła trochę herbaty z filiżanki, po czym odezwała się znowu. - Widzę, że muszę opowiedzieć ci całą historię od początku.

Louise przytaknęła nieznacznym skinieniem.

- Ja wtedy tu nie mieszkałam - zaczęła hrabina. - Gdybym mieszkała, za nic nie dopuściłabym do tego, co się stało. Dowiedziałam się o tym później, znacznie później, już po śmierci Thomasa. Przyjechałam na pogrzeb i zostałam, żeby wspomóc Catherine, która wydawała się niezdolna do niczego. W dodatku Augustus, czyli mój syn, hrabia, zniósł to jeszcze gorzej. Wyjechał do Londynu i zupełnie nie umiał pogodzić się ze stratą.

- Przykro mi - szepnęła Louise. - To musiało być straszne dla wszystkich.

- Tak, dla wszystkich. Przybici byli proboszcz i jego żona, i cała wieś. Thomas był bardzo lubianym chłopcem. Ale nie przerywaj mi, bo nigdy nie skończę.

Louise zamieniła się w słuch.

- Catherine starała się o dziecko, odkąd tylko wyszła za męża. Bardzo chciała zostać matką, a Augustus naturalnie czekał z niecierpliwością na syna i dziedzica. Catherine jednak poroniła raz... potem drugi i trzeci... Po każdym niepowodzeniu przez wiele dni płakała. Obawiam się, że mój syn czynił jej wyrzuty. Był zdania, że Catherine robi coś nie tak, jak należy, bo wina w oczywisty sposób nie może być po jego stronie, skoro tyle razy doszło do poczęcia. Zawsze wzywał najlepszych lekarzy, którzy sumiennie jej doglądali. Kazali odpoczywać, nie pozwalali się przemęczać. Bez skutku. Małżeństwo, szczęśliwe na początku, zaczęło się rozpadać. Augustus spędzał coraz więcej czasu poza domem, a kiedy wracał, był tak rozczarowany, że współżycie stało się dla nich obowiązkiem i niczym więcej. Augustus miał poczucie, że to jego powinność, ale Catherine z każdą ciążą słabła.

Uniosła rękę, widząc, że Louise chce jej przerwać.

- Można zrozumieć mojego syna. Dla mężczyzny o tej pozycji dziedzic jest bardzo ważny. Augustus wspominał nawet o rozwodzie i poślubieniu jakiejś kobiety, która da mu upragnionego syna. To złamało serce Catherine. Kiedy jednak już się wydawało, że pozostanie bezdzietna, nagle wyszło na jaw, że znów jest przy nadziei. Augustus nie liczył na wiele, ale Catherine znosiła swój stan zaskakująco dobrze. Kiedy dziecko zaczęło kopać, wiara wróciła. Augustus czekał w domu na narodziny przewidziane na drugi tydzień stycznia. W końcu listopada dotarło jednak do niego pilne wezwanie do Londynu w sprawie akcji Kompanii Wschodnioindyjskiej. Musiał wyjechać, zapowiedział jednak, że zdąży wrócić na czas. Przed wyjazdem wyraził tylko nadzieję, że urodzi się dziedzic. Catherine zdawała sobie sprawę z następstw innego biegu wypadków.

Hrabina upiła łyk herbaty.

- Zima z trzydziestego dziewiątego na czterdziesty była bardzo mroźna - kontynuowała. - Od grudnia do lutego temperatura ani razu nie podniosła się powyżej zera. Noc dwudziestego dziewiątego grudnia dała nam się we znaki szczególnie mocno. Oprócz silnego mrozu był również porywisty wschodni wiatr, a potem spadł obfity śnieg. Wzgórza okryły się bielą, drogi stały się nieprzejezdne. Kiedy Catherine zaczęła przedwcześnie rodzić ostatniego dnia roku, wiedzieliśmy, że ani Augustus, ani doktorzy, których umówił w Yorku, nie zdołają tutaj dojechać na czas. Nie można było nawet posłać



po mamkę. Służba jakoś przekopła ścieżkę do wsi i sprowadziła panią Hurst, wiejską akuszerkę. Pierwszego stycznia tysiąc siedemset czterdziestego urodziła się zdrowa dziewczynka. Kiedy Catherine dowiedziała się, że dziecko żyje, i usłyszała jego krzyki, nie posiadała się ze szczęścia. Potem jednak powiedziano jej, że to dziewczynka. Nie chciała uwierzyć i nie uwierzyła, póki pani Hurst nie podała jej dziecka. Wtedy Catherine odepchnęła małą i wybuchnęła wielkim płaczem. Łkała tak gwałtownie, że aż zaczęła wymiotować. Pani Hurst w ogóle nie mogła jej uspokoić. Catherine wiedziała jednak, że jej mąż po powrocie wpadnie w gniew, i bała się tego gniewu. W tym całym zamieszaniu przysłała wiadomość ze wsi, że akuszerka jest potrzebna na plebanii, bo rodzi pani Vail, żona proboszcza. Pani Hurst zostawiła więc Catherine pod opieką służącej i wróciła do wsi. Catherine opowiadała mi później, jak bardzo była zrozpaczona. Uszła z niej cała radość z narodzin dziecka.

Starej damie zaschło w gardle od mówienia, więc znów wypła łyk herbaty.

- Pani Vail, która miała już trzech synów i marzyła o dziewczynce, znów urodziła chłopca, czwartego...

- Co takiego?! - przerwała jej Louise.

- Tak. - Nastąpiła długa pauza. - Gdybym tam była, za nic nie pozwoliłabym na to, co się stało - powtórzyła jakby do siebie. - Gdyby Augustus przyjechał na czas, też nie stałoby się nic takiego. Gdyby przybyli doktorzy z Yorku, zanotowaliby okoliczności porodu i nie można byłoby nic na to poradzić. W tej sytuacji jednak pani Hurst namówiła panią Vail do zamiany dzieci. Jak to zrobiła, nie wiem, ale na pewno nie było w tym złej intencji, bo przecież pani Vail bardzo chciała mieć dziewczynkę. Proboszcza też nie było wtedy w domu. Czuwał przy łożu umierającego na samym krańcu parafii i nie mógł wrócić przez zaspy. Nikt nie miał o tym wiedzieć. Sekret znały tylko obie matki, akuszerka i służąca.

- Nie mogę uwierzyć! - powiedziała Louise, która zaczynała rozumieć, co to znaczy. - Czy milady chce przez to powiedzieć, że...

- Że to ty byłaś tą dziewczynką? Tak.

Louise nie wierzyła własnym uszom. Dlaczego jednak hrabina miałaby kłamać? Przecież w ogóle nie chciała jej tego opowiedzieć. Louise odzyskała głos dopiero po dłuższej chwili.

- Czyli tak naprawdę jestem prawowitą córką hrabiego Moresdale i jego żony?

- Tak. - Stara dama uśmiechnęła się krzywo. - Mogłabyś jednak mieć kłopoty z przeprowadzeniem dowodu. Pani Hurst od dawna nie żyje, a służąca dostała majątek za milczenie. O ile wiem, opuściła Moresdale i najęła się do służby u rodziny, która wyjechała na kontynent. Gdybyś chciała dochodzić swoich praw, musiałabyś donieść na poczciwą kobietę, która cię wychowała. Chcesz jej to zrobić?

- Nie! Oczywiście, że nie. - Żałowała, że odrzuciła towarzystwo Jonathana. Dałaby wszystko, by móc w tej chwili ująć go za rękę. - To jednak jeszcze nie koniec tej historii, prawda?

- Owszem. Chcesz słuchać dalej?

- Tak, proszę.

- Hrabia wrócił, gdy tylko odśnieżono drogi, i wpadł w zachwyty, widząc żonę z pięknym synem. Chłopcu nadano imię Thomas, w uroczystych chrzcinach brała udział cała wieś.

- Ciekawa jestem, co wtedy myślała mama - powiedziała Louise. - I co myślał tata.

- Nie mogę mówić za nich, musisz sama ich zapytać. O ile mi jednak wiadomo, cieszyli się z córki tak samo, jak mój syn z dziedzica. Augustus rozpieszczał małego. Rodzina była szczęśliwa. Dziecko rosło zdrowo... Drugie też. Aż do...

Oczy hrabiny zaszły mgłą. Widać było, jak trudno jej opowiadać mimo upływu lat.

- Tak? Co się stało później? - dopytywała się Louise.

- Aż do dnia, gdy Thomas zginął w tragicznym wypadku, mając zaledwie pięć lat. Augustus odchodził od zmysłów z żalu. Obwinił Catherine, a chociaż jest moim synem, muszę z przykrością stwierdzić, że postępował wobec niej okrutnie. Zresztą i tak ona była przekonana, że wypadek to kara boska za kłamstwo. Nie radziła sobie, z każdym dniem było jej trudniej. Zaczęła pić, żeby ulżyć sobie w cierpieniu. Augustus wezwał mnie do pomocy. Przyjechałam natychmiast i od tej pory nie opuściłam tego domu.

- Biedna mama - szepnęła Louise, ale nie myślała wcale o słowach hrabiny.

Plebania w dniu śmierci Thomasa musiała być bardzo smutnym miejscem. Louise nie sądziła, by jej matka mogła kiedykolwiek zapomnieć, że urodziła tego chłopca.

- Catherine wspięła się na Moresdale Hill i chciała skoczyć z tego samego urwiska, z którego spadł Thomas, ale Hamish poszedł za nią i w porcję powstrzymał. Właśnie wtedy Catherine wszystko mi opowiedziała. Chciała wyznać prawdę mężowi i spróbować cię odzyskać, ale ubłagałam ją, żeby tego nie robiła. Nie naprawiłaby niczego. Poza tym Augustus bez wątpienia ukarałby ją, a ciebie odrzucił... Nie wolno było cię zabrać z kochającej rodziny. Dwór pogrzyżył się w głębokiej żałobie, miejsce było mroczne i zimne. Byłabyś tutaj bardzo smutna. Dlatego nakazałam Catherine milczeć.

- Mama i tata wyjechali z Moresdale mniej więcej w tym czasie? - zapytała Louise.

- Tak. To ja doradziłam proboszczowi wyjazd. Catherine zaczęła ci się przyglądać, kiedy chodziłaś po wsi z mamą, i obawiałam się, że będzie próbowała cię porwać.

- Czy pan hrabia zna prawdę?

- Nie. I mam nadzieję, że nigdy jej nie pozna.

- Co stało się z panią hrabiną?

Nie mogła zdobyć się na to, by nazwać tę kobietę swoją matką.

- Nigdy nie odzyskała pełni zdrowia i piła. Miała wyrzuty sumienia, a co więcej, musiała dochować strasznego sekretu. To było dla niej zbyt wiele. Dlatego wysłaliśmy ją do sanatorium. Mój syn obawiał się, że Catherine wyrządzi sobie krzywdę, poza tym miał nadzieję, że pobyt w takim miejscu pomoże jej osiągnąć spokój. Niestety, tak się nie stało, przynajmniej według mojego syna.

- Biedaczka - powiedziała Louise, wstrząśnięta opowieścią.

- Mój syn mieszka w Londynie i rzadko przyjeżdża do Moresdale - ciągnęła hrabina. - Zostałam tutaj sama, gniję razem z całą posiadłością i dbam już tylko o pozory... - Urwała i położyła dłoń na ramieniu Louise. - Wiesz teraz wszystko. Błagam, zachowaj prawdę dla siebie, mogłabyś zostać uznana za szaloną i znalazłabyś się w tej samej sytuacji, co Catherine.

- Nie chciałabym tego.

Miała zdecydowanie za dużo wrażeń jak na jeden raz. Ulżyło jej oczywiście, że wyjaśniła się rodzinna tajemnica, ale i tak musiała dochować sekretu.

- Czy wicehrabia Leinster o tym wie? - spytała.

- Nie. On złożył mi wizytę wyłącznie po to, by przekonać mnie, że powinnam cię przyjąć. Nie zadawał pytań. Od ciebie zależy, czy powiesz mu prawdę, błagam cię jednak, pilnuj, by ta wiadomość się nie rozniosła. Nic dobrego nie mogłoby z tego wynikać. - Mimo zmęczenia uśmiechnęła się wątle. - Wydaje mi się, że wicehrabia chce cię poślubić.

- Tak twierdzi.

- A ty co o tym sądzisz?

- Bardzo go kocham, ale małżeństwo ze mną byłoby dla niego wielkim poświęceniem. Nie mogę mu na to pozwolić.

- Decyzja jednak należy do niego. Jako twoja babka błogosławię to małżeństwo.

- Babka - powtórzyła Louise zdumiona. - Rzeczywiście, choć nie pomyślałam o tym wcześniej.

- Babka na jeden dzień. Musisz wyjechać i nigdy nie wrócić - powiedziała stanowczo.

- Przykro mi, ale rozumiem. Cieszę się, że poznałam milady. Żal mi tylko, że nie miałam okazji spotkać pani hrabiny.

- Tak jest lepiej, drogie dziecko. Wasze spotkanie mogłoby znowu pchnąć ją w otchłań szaleństwa.

Louise siedziała bezwolna, starając się usilnie pogodzić z prawdą. Myślała o swojej przybranej matce, która zawsze otaczała ją czułą opieką. Ani razu przez te lata Louise nie miała wrażenia, że jest niechciana.

- Jestem zmęczona... - powiedziała hrabina, odprawiając Louise.

Gdy dziewczyna wstała, natychmiast pojawił się Hamish, przez nikogo niewzwany. Czyżby podsłuchiwał? Louise miała nadzieję, że jest rzeczywiście tak wierny i dyskretny, jak twierdziła milady.

Służący podszedł do hrabiny i zaczął jej szeptać do ucha. Wydawał się wzburzony. Mówiąc, zerkał na Louise. Dama również sprawiała wrażenie wstrząśniętej. Gdy wstała i sięgnęła po laskę, zdrząły jej dłonie, ale po chwili znów stała się dostojnie opanowana.

- Muszę iść - oznajmiła Louise. - Hamish odwiezie cię do zajazdu.

- Nie ma potrzeby. Wróć piechotą, muszę wszystko przemyśleć.

- Jak sobie życzysz. Hamish, poczekaj dwie minuty po moim odejściu, potem odprowadź pannę Vail do bramy i wróć do mnie.

- Dobrze, milady. - Zawahał się. - Czy milady sobie poradzi?

- Oczywiście. Nie bądź takim safandulą. Do widzenia, panno Vail.

Wolnym krokiem opuściła pokój.

Chociaż Louise stała gotowa do wyjścia, Hamish wypełnił polecenie hrabiny bardzo drobiazgowo i dopiero po dwóch minutach powiedział:

- Proszę za mną, panno Vail.

Bez pośpiechu poprowadził ją korytarzem do schodów. Louise podążała za nim niepewna, czy to wszystko jej się nie śni. Snuła wiele domysłów, ale prawda okazała się zupełnie nieprawdopodobna.

Zeszli na parter. Mijali rząd zamkniętych drzwi, ale jedne były uchylone. Louise usłyszała głos hrabiny:

- Catherine, co ty tu robisz? Czy Augustus o tym wie?

- On nie żyje, mamó. Dostał ataku serca. Już po wszystkim, jestem wolna.

Louise potknęła się i z pewnością przystanąłaby, ale Hamish obrócił się i groźnie na nią spojrzał, dając znać, by do niego dołączyła.

Wkrótce Hamish zamknął furtkę i Louise znalazła się sama na drodze.

Powoli, na miękkich nogach, skierowała się ku wsi. Próbowała sobie uzmysłwić, jak wszystkie nowo poznane fakty wpłyną na jej życie. Doszła do wniosku, że wszystko zmieniło się tylko pozornie. Wciąż była córką wielbnego Vaila i jego żony, wciąż zajmowała zbyt niską pozycję, by zostać stosowną kandydatką na żonę dla wicehrabiego Leinster.

Stopniowo przyspieszała kroku. W końcu biegła tak szybko, że zgubiła kapelusz, włosy, z których powypadały szpilki, rozsypały jej się na ramionach. Błonia we wsi były opustoszałe, jeśli nie liczyć dzieci bawiących się z kundlem. Dobięła do kościoła, w kruchcie upadła na kolana i zaczęła się modlić, żarliwie jak jeszcze nigdy. Modliła się o pokorę, by zrozumieć; o siłę, by wrócić do Chipping Barnet i spojrzeć matce w oczy, i o odwagę, by odrzucić oświadczyzny Jonathana.

## Rozdział jedenasty

Jonathan, który opierając się leniwie o drzewo, obserwował dzieci, zauważył szaleńczy bieg Louise. Gdy stanął u wejścia do kościoła i zobaczył jej żarliwą modlitwę, smutek chwycił go za serce. Wieści, które usłyszała, nie mogły być radosne. Jego zadaniem teraz było przekonać ją, że to nie ma znaczenia.

Cierpliwie odczekał, aż Louise przeżegna się i wstanie. Gdy go dostrzegła, uśmiechnął się i wyciągnął do niej ramiona. Zawahała się, ale powoli do niego podeszła. Nie odwzajemniła jednak uśmiechu i nie ujęła go za rękę.

- Aż tak trudna rozmowa? - spytał cicho.

- To pan poprosił hrabinę, żeby mnie przyjęła - zaczęła z wyrzutem. - Zrobił pan to za moimi plecami. Czy sądził pan, że ona powie mu prawdę, a mnie nie?

- Nie. Nie prosiłem hrabiny o wyjaśnienia. Poprosiłem tylko, żeby panią przyjęła, ponieważ wiedziałem, jak ważne to jest dla pani. Przecież przysięgła pani nie wracać do domu, póki z nią nie porozmawia.

- Zmieniłam zdanie.

- Nie miałem pojęcia, że właśnie je pani zmienia, kiedy wczoraj rozmawiałem z hrabiną.

- Mimo wszystko... - Urwała. To niegodne odgrywać się na nim za swoje nieszczęście, pomyślała. - Cóż, mniejsza o to.

- Co się stało? Co powiedziała hrabina?

- Nie mogę panu powtórzyć.

- Proszę więc tego nie robić. To w niczym nie zmienia moich postanowień.

Roześmiała się gorzko.

- Och, nie powiedziała mi tego, co pan myśli.

- Cóż więc?

- Nie wzburzyło mnie to, kim albo czym jestem, lecz to, w jaki sposób potraktowano dzieci. Zupełnie jakby były zwierzętami, którymi można się wymienić. To jest dla mnie nie do pojęcia!

Usiadł w kościelnej ławie i posadził ją obok siebie.

- O kim pani mówi?

- O hrabinie i mojej przybranej matce, i o akuszerce...

Jonathan mimo woli poczuł zainteresowanie.

- Sądzę, że skoro już pani zaczęła, to lepiej dokończyć. - Wypowiedział te słowa cicho, ale zabrzmiały niemal jak rozkaz. - Nie powiem o tym nikomu, chyba że dostanę pozwolenie.

- Hrabina wdowa dała mi wybór, czy chcę podzielić się tym z panem. Stanowczo nie życzę sobie jednak, żeby wyszło to poza nas dwoje. Zbyt wielu ludzi mogłoby ucierpieć.

- Słucham i obiecuję, że będę milczał.

Jonathan wysłuchał cierpliwie opowieści, dodając jej otuchy, gdy słowa więły jej w gardle. O zamianie dzieci opowiadała przez łzy, objął ją więc i zaczął całować po czubku głowy. Pochłonięta swoją historią i tak tego nie zauważyła. Ucieszył się, słysząc, że Louise jest szlachetnie urodzoną damą, i zupełnie nie przejął się tym, że nie może niczego ujawnić. Chciał ją poślubić i nic tego nie zmieni.

Kusiło go, by od razu powtórzyć oświadczenia, uznał jednak, że pozwoli Louise trochę ochłonąć po rozmowie z hrabiną.

- Jest pani gotowa, by wrócić do domu? - spytał.

- Tak. - Popatrzyła na niego i wątle uśmiechnęła się przez łzy. - Chciałabym o tak wiele zapytać mamę. O Thomasa... i o to, dlaczego zgodziła się na zamianę. Przecież on żył całe pięć lat i w tym czasie z pewnością nieraz go widywała. Jak mogła to znosić?

- Miała panią.

- Tak, pewnie to samo można powiedzieć o hrabinie: miała Thomasa, przynajmniej początkowo. Mnie jednak i tak trudno to ogarnąć.

- Rozumiem, ale skoro tak się stało, nie sposób tego zmienić. - Urwał. - Nie chce chyba pani teraz wszystkiego wyjawiać?

- Nie, na to jest o wiele za późno. Za późno było już w dniu moich narodzin, a na pewno w dniu śmierci Thomasa. Biedny chłopiec...

- Wcale nie był biedny, Louise. Miał wszystko, czego dziecko może pragnąć, a zginął w tragicznym wypadku, prawdopodobnie wskutek swojej ciekawskiej natury i zaniedbania tych, którzy powinni mieć nad nim pieczę.

- Ma pan rację, ale wydaje mi się, że ja wyszłam na tym wszystkim najlepiej.

- Bez wątpienia. - Wstał i pomógł jej wyjść z ławy. - Wracajmy do zajazdu. Jutro wyruszamy. Dziś naprawdę jest już na to za późno.

Trzymając się za ręce, wyszli z kościoła. Byli w pół drogi do bramy, gdy Jonathan odciągnął ją w bok, by pokazać jej pomnik. Stał przed nim bez słowa. Nagrobek był kunsztownie ozdobiony motywami wieńców i cherubinów. Louise przeczytała inskrypcję:

*Nieodżałowanej pamięci Thomas Augustus Fellowes, wicehrabia Thirsk, jedyny syn hrabiego i hrabiny Moresdale, zabrany na wieczny odpoczynek 10 marca 1745 roku w wieku 5 lat. Spoczywaj w pokoju.*

- Dobrze, że nie zdążył dowiedzieć się o zamianie - szepnęła i przeżegnała się. - Zostawmy go w spokoju.

Razem odwrócili się i odeszli.

Po kolacji tego wieczoru Betty poszła pomóc Joemu i tylko oni wiedzieli, ile czasu poświęcili na pracę, a ile na pocałunki i pieszczoty. Tymczasem Jonathan wziął Louise na spacer po wzgórzu za zajazdem.

Usiedli odpocząć na tej samej skale, na której Louise wyjawiała mu prawdziwy powód swojej podróży. Trudno było uwierzyć, że od tej pory minęły zaledwie trzy dni, tak wiele się wydarzyło. Zadziwiająca zaś wydało się Louise to, że Jonathan nie potępił ani jej, ani jej przybranych rodziców. Ani nawet hrabiny. To nie on jednak miał w głowie zamęt. Jego wątpliwości bowiem zostały rozwiane.

- Kochana - zaczął, ujmując jej dłonie. - Wczoraj, kiedy się oświadczyłem, nie znałem prawdy, chciałem jednak, by wiedziała pani o moich uczuciach bez względu na to, czego jeszcze się dowie. Dzisiaj czuję dokładnie to samo i nadal chcę, by została pani moją żoną.

- Mimo że nie będzie pan mógł powiedzieć rodzicom, kim naprawdę jestem?



- Louise, mam dwadzieścia pięć lat i własny majątek. Mogę sam sobie wybrać żonę i wybieram właśnie panią. Jestem zresztą przekonany, że moi rodzice pokochają panią, kiedy tylko ją poznają.

Objął ją i okrył czułymi pocałunkami czoło, nos, potem policzki i wreszcie dotarł do ust. Te pocałunki różniły się od wcześniejszych, były delikatne, ale bardzo namiętne. Włożył w nie całą swoją miłość, wszystkie nadzieje, a przy tym szeptał jej imię i powtarzał, jak bardzo ją podziwiał.

- Och, Jonathanie, czy sądzi pan, że to możliwe?

- Możliwe? - Roześmiał się, igrając z jej palcami. - To pewne.

Wciąż miała wątpliwości. Nic tak naprawdę się nie zmieniło. Nadal była panną Louise Vail, nadal - przynajmniej dla świata - pozostawała córką proboszcza.

- Obawiam się...

- Obawia się pani, Louise? Pani, mój nieustraszony przeciwnik? Czy sądzi pani, że moja miłość nie przetrwa? - Urwał. - Czy mogę coś wyznać?

- Tak, proszę!

- Małżeństwo moich rodziców trudno nazwać szczęśliwym. Mój ojciec miał mnóstwo kochanek, a matka nie mniej kochanków. Siostra wyszła za mąż za bestię, bije ją i poniża, a ona mimo to nie chce go zostawić. Małżeństwo nie powinno tak wyglądać. To wszystko bardzo zniechęciło mnie do tej instytucji i właśnie dlatego przysięgłem sobie, że zawrę je jedynie z pełnym przekonaniem i po długim namyśle. - Uśmiechnął się do niej smutno. - I co z tego wyszło? W ciągu dwóch tygodni kompletnie straciłem głowę dla szalonej panny, która przez moment uważała, że powinna być mężczyzną.

- Wcale nie - zaprotestowała. - Nigdy tak nie uważałam.

- To dobrze, bo jest pani stanowczo zbyt piękna, żeby być chłopcem, i ma kragłości tam, gdzie chłopcy ich nie mają. - Poglaskał ją palcem po policzku, przesunął go na szyję, a potem na obrzeże piersi, wzbudzając w niej przyjemny dreszczyk. - Najważniejsze jednak, że w ogóle nie musiałem się zastanawiać! To musi być pani i nikt inny!

Roześmiała się.

- Och, Jonathanie! Nie chciałabym pana skazać na życie samotnego kawalera...

Oczy mu zapłonęły.

- Czy to było „tak”? Kocha mnie pani i zgodzi się mnie poślubić?

- Tak. Kocham pana i zgadzam się pana poślubić - odparła żartobliwie.

Odetchnął z ulgą.

- Dzięki Bogu. Nie wiem, co bym zrobił, gdyby znów mi pani odmówiła.

Objął ją i spojrzał jej w oczy. Jeszcze nigdy nie widział w nich takiego blasku. Gdy pocałował ją w usta, zarzuciła mu ręce na szyję i odwzajemniła pocałunek, zdziwiona, że wszystko tak gładko zmierza ku rozwiązaniu. Wciąż miała w głowie pytania, które chciała zadać, ale odpowiedzi czekały na nią w Chipping Barnet. Już zresztą straciły one znaczenie. Miała Jonathana!

- Nie sędzę, bym potrafił zachować pozory bycia dżentelmenem, jeśli mamy spędzić jeszcze tydzień lub nawet więcej w podróży - powiedział, gdy cofnął usta, by zaczerpnąć tchu. - Dla dobra pani reputacji i zdrowia mojego umysłu, powinniśmy jak naj-  
szybciej wziąć ślub.

- Tylko jak to zrobić? Obowiązuje przecież nowe prawo i zanim dojdzie do ślubu, trzeba przez trzy kolejne tygodnie czytać w kościele zapowiedzi.

- Wiem, ale można uzyskać specjalną zgodę od biskupa. York jest siedzibą arcybiskupa. Jeśli on zgodzi się dać nam ślub, nikt nie waży się złego słowa na nasz temat powiedzieć.

- Tak, tylko zawsze chciałam, żeby do ołtarza zaprowadził mnie ojciec, a moja rodzina przyglądała się uroczystości. I przyjaciółki też. Nie chcę, żeby to był ślub, o którym się milczy.

- Rozumiem to, kochana. Możemy wziąć cichy ślub w Yorku, żeby wszystko było zgodne z prawem, a po powrocie zamówić uroczyste nabożeństwo i urządzić śniadanie weselne, na które zaprosimy wszystkich. Teraz napiszemy tylko do naszych rodziców, żeby wiedzieli, co się święci.

Roześmiała się.

- I żeby do naszego powrotu mieli czas ochłonąć po wstrząsającej wieści.

- Jak pani sobie życzy.

Wolał nie myśleć, jaki wstrząs przeżyją jego rodzice. Nie chciał mieć radości Louise, zresztą nie było takiej potrzeby. Był pewien, że z czasem zostanie w pełni zaakceptowana.

- Nie musimy się spieszyć z powrotem - odezwał się znowu. - Możemy odbyć przecież podróż poślubną, którą zapamiętamy na długo. Wszystkie te miejsca mijane po drodze będą wyglądać zupełnie inaczej widziane oczami współmałżonków, wicehrabiego i wicehrabiny Leinster.

Roześmiała się radośnie.

- Założę się, że wysyłając pana w drogę, Klub Dżentelmenów Piccadilly nie spodziewał się, że poślubi pan poszukiwaną.

Jonathan zawtórował śmiechem.

- Wyłącznie dlatego, że oni pani nie znają. Zaproszę ich na uroczystość, więc wszystkich pani pozna. I wiem, że ich pani polubi.

- Jeśli są podobni do pana, to na pewno.

- Chodźmy, miła - powiedział. - Robi się chłodno. Przed nami ostatnia noc w za-jeździe Pod Laską Pasterza.

Na podwórzu spotkali Joego z Betty i razem weszli do środka. Jonathan zamówił butelkę najlepszego wina.

- Mamy okazję do świętowania - oznajmił gospodarzowi. - Siadziecie z nami?

Rozlano trunek i Jonathan wzniosł kieliszek.

- Możecie mi pogratulować. Panna Vail zgodziła się zostać moją żoną...

- Sądziłem, że milord jest jej opiekunem - powiedziała niezbyt życzliwie pani Winter.

- Nie ma prawa zabraniającego opiekunowi poślubienia podopiecznej, pani Winter. Oboje jesteśmy stanu wolnego, nie różnimy się wiekiem aż tak bardzo, a moja funkcja opiekuna miała jedynie charakter czasowy, póki panna Vail jest w podróży. Powierzyli mi ją jej rodzice.

Gospodyni uśmiechnęła się szeroko.

- Bez wątplenia przewidzieli wynik. - Uniosła kieliszek. - Za was oboje. Bądźcie zawsze tak szczęśliwi jak dzisiaj.

- Ja na pewno będę - odparł Jonathan i przesłał Louise konspiracyjny uśmiech. - Zamierzamy się pobrać pojutrze w Yorku.

Nastąpiły gratulacje i toasty, było też mnóstwo śmiechu, wśród którego Joe oznajmił, że oświadczył się Betty i został przyjęty. Betty nie mogła się już doczekać powrotu do Chipping Barnet, chciała bowiem jak najszybciej powiedzieć o tym Alfredowi i mieć własne wesele.

- Wyruszamy jutro - zapowiedział Jonathan.

Louise wiedziała, że choć pewnie już nigdy nie wróci do Moresdale, to zapamięta tę wieś na zawsze. Tyle tu przeżyła!

Gdy leżała w łóżku, zasypiając, rozkoszowała się smakiem pocałunków Jonathana, który wciąż czuła na ustach.

Zbudziło ją słońce świecące prosto w okno. Na dachu ćwierkały ptaki. Dopiero po dłuższej chwili ocknęła się na tyle, by wróciła jej pamięć poprzedniego dnia. Zaczęła odtwarzać w myślach spotkanie z hrabiną, potem przypomniały jej się oświadczyzny Jonathana. Czy naprawdę je przyjęła? Wysunęła się z łóżka, pozwalając Betty dalej chrapać, szybko ubrała się w niebieską suknię, włożyła kapelusik na pośpiesznie wyszczotkowane włosy i zeszła na dół. Nikogo tam nie było, a do wyjazdu pozostało jeszcze trochę czasu.

Postanowiła ostatni raz zerknąć na Moresdale. Zbliżając się do wsi, usłyszała żałobne bicie kościelnych dzwonów i ujrzała grupki ludzi cicho wymieniających uwagi. Przy wejściu na podwórze kościoła spotkała proboszcza.

- Co się stało? - spytała.

- Hrabia Moresdale nie żyje - odpowiedział. - Umarł przed tygodniem i został pochowany w Londynie, ale do wsi wiadomość dotarła dopiero teraz. To smutny dzień dla Moresdale. I nie ma dziedzica, który przejąłby majątek.

- Przykro mi.

- Idę do dworu złożyć kondolencje rodzinie i omówić szczegóły nabożeństwa żałobnego.

Uchylił kapelusza i przy dźwiękach dzwonu odszedł w stronę Moresdale Hall. Trudno było jej pogodzić się z myślą, że właśnie umarł jej prawdziwy ojciec. Nigdy go

nie poznała, nie odczuła więc straty. Mimo woli przypomniła sobie jednak głos Catherine mówiący: „On nie żyje, mamó. Dostał ataku serca. Już po wszystkim, jestem wolna”. Była w nim nuta ulgi. Catherine wyraźnie się cieszyła, że może wrócić do domu.

Chwilę potem zorientowała się, że idzie pod górę drogą prowadzącą do dworu. Wcale nie chciała wracać tędy do zajazdu, bo musiałaby pokonać przewężenie nad urwiskiem. Mimo to nie zawróciła. Była już blisko niebezpiecznego miejsca, gdy ujrzała samotną postać nadchodzącą z przeciwka. Kobieta miała jakieś pięćdziesiąt lat, może nieco więcej, i była ubrana w czarną pelerynę. Chociaż nasunęła na głowę kaptur, Louise zauważyła umykające spod niego kosmyki kasztanowych włosów. Kobieta była chuda i bardzo blada.

W miejscu, gdzie się mijaly, droga była wąska. Obie przystanęły, by na siebie spojrzeć. Orzechowe oczy z zielonymi plamkami spojrzaly w drugie takie same oczy. To była chwila wzajemnego zrozumienia, wymiany wåtlych uśmiejchów. Potem ruszyły bez słowa, każda w swoją stronę. Nie było nic do powiedzenia, lepiej nie wywoływać wilka z lasu.

Louise szła dalej ku skalnej półce. Dziś nie było tam żadnej niewidzialnej ręki, tylko lekki wiatr przyjemnie chłodzący policzki. Stanęła nad urwiskiem i spojrzala w dół. Nie bała się. Skala miała mniej więcej piętnaście metrów wysokości. Louise podniosła głowę i ujrzała czyste błękitne niebo z dwiema lub trzema puszystymi chmurkami.

- Jesteś tam, w górze, prawda, Thomasie? - szepnęła. - Spoglądasz na mnie i zastanawiasz się... Za życia mogłam nie znać cię dobrze, teraz jednak zdaje mi się, że już cię znam. Spoczywaj w pokoju.

Zawróciła. Hrabina znikła już bez śladu, prawdopodobnie znała inną drogę ze wzgórza do dworu. Najwidoczniej oddała ostatni hołd dziecku, którym kiedyś się opiekowała. Louise miała nadzieję, że teraz uda jej się odzyskać spokój ducha.

We wsi spotkała Jonathana, który wyszedł jej szukać.

- Tak myślałem, że panią tutaj znajdę - powiedział. - Pożegnania zakończone? Chyba nie zamierza pani tutaj zostać?

Uśmiejchnęła się, wciąż pełna wrażeń po spotkaniu z Catherine.

- Nie. Jedźmy do domu.

Jonathan czule ją uściskał i razem wrócili na podwórze zajazdu, gdzie przy powozie gotowym do drogi czekali na nich Betty i Joe.

Minęło jeszcze dziesięć dni, nim wrócili na plebanię, a wicehrabia i jego nowo poślubiona wicehrabina cieszyli się każdą chwilą. Odwiedzili niektóre miejsca znane z podróży w drugą stronę, złożyli wizytę państwu

Slaterom, aby przekazać im nowiny, obejrzeni ciekawe miejsca, zastanawiali się, ile chcą mieć dzieci, i byli zgodni co do tego, że zarówno chłopcom, jak i dziewczynkom należy się tyle samo miłości i ciepła.

- W majątku mojego ojca jest niewielka parcela, odległa od dworu o jakieś pięć mil, która zawsze służyła jako siedziba dziedzica - zaczął Jonathan. - Nigdy z niej nie korzystałem, ale chyba przyszedł czas, żebym zainteresowałem się prowadzeniem majątku. Ojciec od dawna mnie do tego zachęca. Chciałabyś?

- Jeśli tylko ty będziesz szczęśliwy, i ja znajdę szczęście - odparła żarliwie. - Co jednak z Klubem Dżentelmenów? Jesteś gotowy, żeby odejść?

- Mogę połączyć jedno z drugim, tak jak James. Zresztą cały czas przybywa nowych członków, więc niedługo będę mógł się wycofać i spędzać cały mój czas z rodziną.

- Czy właśnie tego pragniesz?

- Najbardziej na świecie. Chciałbym jednak nadal zajmować się utrzymywaniem porządku i strzeżeniem prawa.

- Może pan zająć swoje miejsce w Izbie Lordów i tam wykorzystać swoje doświadczenie i wpływy.

- To prawda, ale nie ma pośpiechu. Chcę najpierw nacieszyć się życiem w małżeństwie.

Im bardziej zbliżali się do Chipping Barnet, tym bardziej Louise była niespokojna. Wciąż zastanawiała się, co powie jej rodzina.

- Umieram z niepokoju - wyznała Jonathanowi, leżąc w jego ramionach rankiem, po ostatniej nocy, którą spędzili w zajazdzie.

Była zadowolona i nasycona po miłosnych pieszczotach, które spełniły jej najśmielsze marzenia. Jonathan był delikatny i czuły i umiał zaprowadzić ją na same szczyty rozkoszy. Jej szczęście zakłócała tylko jeszcze jedna sprawa.

- Czy oni mi wybaczą? Czy nas nie potępia?

- „Tak” odpowiadam na pierwsze, „nie” na drugie pytanie - odparł, wstając z łóżka.

- Jedźmy, kochanie. Najpierw odwiedzimy plebanię, a potem Chaston Hall.

- Boję się spotkania z twoimi rodzicami. Im bez wątpienia się nie spodobam.

W myślach przyznał jej rację, ale za nic nie wypowiedziałby tego na głos.

- Nic takiego się nie stanie. Od lat powtarzają mi, żebym znalazł sobie żonę, więc teraz powinni być zadowoleni.

- Zadowoleni z córki proboszcza?

- Czemu nie?

- Dla nich ważne są pozycja i pochodzenie. Gdybym była...

- Louise, obiecaliśmy sobie, że nie będziemy o tym myśleć. Jesteś wszystkim, czego pragnę od żony, jesteś sobą. Tylko...

- Tylko co? - spytała spłoszona.

Roześmiał się.

- Tylko błagam cię, nie mów im, że przebrałaś się za mężczyznę i stanęłaś ze mną do pojedynku. Mogliby dostać ataku apopleksji.

Ostatnie mile przejechali w pogodnym nastroju. Na plebanię dotarli wczesnym popołudniem. Powitała ich cała rodzina: tata, mama, bracia Matthew i Mark z dziećmi, i Luke, który został na jeden dzień zwolniony z obowiązków wikarego. Louise nawet nie czekała na rozłożenie schodków, sama otworzyła drzwi powozu i wyskoczyła na drogę, by wyściskać wszystkich po kolei. Jonathan stanął spokojnie z boku, czekając, aż Louise znowu zacznie go zauważać. Ona tymczasem błagała wszystkich o wybaczenie i odbierała zapewnienia, że już się to stało.

Gdy scena powitania zakończyła się, Louise odwróciła się do Jonathana i wyciągnęła do niego ramię.

- Mamo, tato, bracia: to jest Jonathan, wicehrabia Leinster. Mój mąż.

Nastąpiły ukłony i pozdrowienia. Następnie wszyscy weszli do środka, bo w jadalni czekał suto zastawiony stół.

- Zapraszamy - odezwała się pani Vail, gdy Betty z Joem poszli szukać Alfreda. - Wszystko nam opowiecie!

Wiele z tego, co przeżyli, nie nadawało się na opowieść, bo tylko walebnny Vail z żoną i Luke znali prawdziwą przyczynę wyjazdu Louise, a jej nagłą eskapadę wyjaśniono chęcią poznania miejsca urodzenia. Louise opowiadała więc przede wszystkim o tym, co obejrzała po drodze, o wizycie u Slaterów, o targu w Moresdale, no i oczywiście o oświadczeniach Jonathana.

- Sam arcybiskup udzielił nam ślubu - powiedziała. - Joe i Betty byli świadkami.

Rozmowa zesła na kościelną ceremonię planowaną w Chipping Barnet i śniadanie na cześć nowożeńców.

- Potem zamieszkamy w Barnet - oznajmiła Louise. - Jonathan zamierza też nadal działać w Klubie Dżentelmenów Piccadilly, przynajmniej na razie.

Dopiero później, gdy Louise została sama z matką i razem usiadły na łóżku w jej starej sypialni, mogły w spokoju porozmawiać o podróży.

- Bardzo, ale to bardzo przepraszam, że tak znieczeka uciekłam - zaczęła skruszona Louise i uściskała mamę. - Musiałam złamać ci serce taką niewdzięcznością.

- Na początku rzeczywiście byłam urażona, ale potem postawiłam sobie pytanie, co zrobiłabym na twoim miejscu, i musiałam przyznać, że całkiem to samo.

- Nie podsłuchiwałam - usprawiedliwiała się Louise. - Okno było otwarte, więc usłyszałam waszą rozmowę mimo woli. Tak mną wstrząsnęła, że nie wiedziałam, co robić. Chciałam z wami porozmawiać, ale oboje wyszliście... Tymczasem wpadłam w złość, że ukryliście przede mną prawdę. Zawsze mówiliście mi, że mam gorącą głowę, i to się potwierdziło. Proszę teraz o wybaczenie.

- Naturalnie, kochanie - odpowiedziała Elizabeth. - Nie chciałam pytać przy wszystkich, ale czy widziałaś Catherine? Co ci powiedziała?

- Widziałam ją tylko przez chwilę i nie rozmawiałyśmy. Odbyłam za to rozmowę z hrabiną. To ona wszystko mi wyjaśniła.

- Wobec tego to ja powinnam prosić cię o wybaczenie. Nie należało ukrywać przed tobą prawdy. Odebrałam ci to, co z urodzenia ci się należy.

- Nie mówmy bez końca o winie, mamó. Daliście mi miłość i opiekę. Nie brakowało mi niczego. Biedny Thomas miał znacznie gorzej.



- Tak, opłakałam jego śmierć, Louise. Szczerze go żałowałam, ale na szczęście znalazłam pociechę w pozostałych synach, no i w tobie. Catherine nie miała niczego.

- Dlaczego w ogóle zgodziłaś się na tę zamianę? Elizabeth westchnęła.

- Trudno mi to wyjaśnić... - zaczęła. - Pewnie po prostu nie myślałam zbyt trzeźwo po porodzie, a bardzo chciałam mieć córkę. Akuszerka mnie przekonywała, w dodatku sama wiedziałam, że Catherine wiele wycierpi od męża, tak samo jak ty, bo przecież nie byłaś chłopcem. Pożałowałam swojej decyzji już następnego dnia, ale było za późno, by cokolwiek zmienić. Twój tata wrócił do domu i zachwyił się córką. Nie mogłam się zdobyć na wyznanie prawdy.

- Kiedy tata się dowiedział? - spytała Louise.

- Po śmierci Thomasa. - Umilkła na chwilę, szukając siły, by mówić dalej. - Byłam niepokieszona, więc nie umiałam ukryć zgryzoty i twój tata pojał, że stało się coś złego. Wtedy wyjawiałam mu, że był ojcem Thomasa.

- Musiał przeżyć wstrząs.

- To mało powiedziane. Długo ze mną nie rozmawiał i spędził wiele godzin na modlitwie w kościele, w końcu jednak zrozumiał, że publiczne wyznanie prawdy nie przyniesie niczego dobrego. Thomas nie żył. O tobie tata zawsze myślał jak o własnej córce, i to się nie zmieniło. Uważał zresztą, że hrabia nie chciałby cię uznać, więc lepiej było zostawić go w spokoju z żałobą. Ponieważ jednak nie mogliśmy dalej mieszkać w Moresdale, przenieśliśmy się do Chipping Barnet.

- Hrabina twierdzi, że jestem wykapaną córką Catherine.

- To prawda.

- Znałaś Catherine dobrze?

- Tak. Jest moją kuzynką, bo nasze matki były siostrami, córkami hrabiego Sheffield.

- Hrabia! - wykrzyknęła Louise. - Chcesz powiedzieć, że jesteś wnuczką hrabiego?

- Tak.

- Ojej, mamó! Tego nie wiedziałam. Dlaczego w domu nigdy się o tym nie wspomina?

- Rodzina bardzo krzywo patrzyła na moje małżeństwo i mnie wydziedziczyła, a ponieważ mówienie o tym sprawiłoby ból twojemu drogiemu tacie, nie wspominam o tym. Jediną osobą, która nas nie potępiła, była Catherine. To ona namówiła męża, żeby dał twojemu tacie probostwo w Moresdale. Byłyśmy wtedy ze sobą bardzo blisko. Catherine zazdrościła mi tylu silnych synów, a kiedy w tym samym czasie byłyśmy przy nadziei, wiele rozmawiałyśmy o planach związanych z naszymi dziećmi. Ona bardzo chciała mieć syna, żeby zadowolić hrabiego, a ja pragnęłam córki, która sprawiłaby, że rodzina jest pełniejsza. Ta zamiana więc nie była może aż tak bezduszna, jak się zdaje. Wszyscy jesteśmy rodziną. Tata chciał jednak, żeby powiedzieć ci prawdę, bo pragnął dla ciebie dobrego małżeństwa, na miarę twojego urodzenia. Jako córka hrabiego, mogłabyś do woli przebierać wśród kandydatów. Nie zgadzając się na to, odbierałam ci szansę, i za to błagam o wybaczenie.

Louise roześmiała się i uściskała matkę.

- Sama znalazłam swojego kandydata, więc niczego mi nie odebrałaś. Miałam szczęśliwe dzieciństwo, a teraz mam Jonathana. Czego jeszcze mogłabym chcieć? - Urwała. - Obiecałam hrabinie, że nikomu z wyjątkiem

Jonathana nie wyjawię, że jestem hrabianką, chociaż mogłoby mi to pomóc w domu rodziców Jonathana. Ty jednak nie czynisz sekretu z tego, kim jesteś, prawda?

- Nie, zresztą lady Chastonbury dobrze to wie. Podejrzywałam, że etykieta może wiele dla niej znaczyć, więc kiedy dostałam od ciebie list z zapowiedzią ślubu, poprosiłam twojego tatę, żeby zawiózł mnie do niej w odwiedzin. Początkowo rzeczywiście zadzierała nosa, była zła na syna i wyrażała przypuszczenie, że nakłoniłaś go do pospiesznego małżeństwa, aby nie mogła wyrazić sprzeciwu i położyć kresu temu romanśowi. - Roześmiała się nagle. - Ja też potrafię być wyniosła, jeśli chcę, więc trafiła kosa na kamień. Powiedziałam jej, że tytuł hrabiego Sheffield jest starszy niż tytuł hrabiego Chastonbury, co jej mąż potwierdził. Potem była już dla mnie bardzo miła. Jedź z mężem do Chaston Hall, Louise, i trzymaj głowę wysoko. Bądź dumna. Pokaż jej, że jesteś odpowiednią żoną dla jej syna.

- Tak zrobię, mamu. I dziękuję z całego serca.

- Za to, że jestem matką?

- Właśnie. Za to, że jesteś moją matką.

Uściskały się jeszcze raz, a potem razem wypłakały niejedną łzę.

- Cieszę się, że odbyłam tę podróż - wyznała na koniec Louise. - Ale jeszcze bardziej cieszę się, że wróciłam do domu. Teraz oprócz dwojga rodziców i trzech braci mam jeszcze Jonathana, który dowiedział, że jest mężczyzną, jakiego ze świecą szukać. Nie przestanę go kochać do końca moich dni. Gdyby nie on, nigdy nie dojechałabym do celu i nie wróciła cała i zdrowa.

Przenocowali na plebanii, a następnego ranka wybrali się do Chaston Hall, gdzie Louise spotkało zaskakująco ciepłe powitanie.

- Był najwyższy czas, żeby Jonathan się usatkwował - oznajmiła jego matka. - Mam nadzieję, że to oznacza również koniec tego ugania się za złodziejami.

- Jonathan postąpi zgodnie ze swoją wolą - odparła stanowczo Louise, pamiętając o radzie mamy.

Milady spojrzała na nią zaskoczona, a potem uśmiechnęła się.

- Nadajesz się, moja droga - oświadczyła.

Louise opowiedziała więc o planach ceremonii błogosławieństwa dla ich związku i wielkiego weselnego śniadania. Matka Jonathana entuzjastycznie odniosła się do tego pomysłu.

- Urządzmy śniadanie tutaj - zaproponowała. - Mamy wiele pokoi gościnnych, a ja z przyjemnością zajmę się organizacją.

Tak też się stało.

Louise stanęła przed ołtarzem w kościele swojego ojca ubrana w bladozieloną brokatową suknię z obszerną kopulastą spódnicą, ozdobioną mnóstwem tiulu. Pikowany gors błyszczał złotym haftem i złocistym lamowaniem. Włosy spływały do tyłu luźnymi falami, na szczycie głowy zaś pysznił się koczek, z którego uwolnione loczki opadały jej na uszy. Kunsztowną fryzurę wieńczył malutki kapelusik.

Jonathan wystąpił w długim kremowym szustokorze z atlasu z wielkimi haftowanymi mankietami. Pod spodem miał długą kamizelkę z tego samego materiału, obficie haftowaną złotogłowie i zapiętą na rząd srebrnych guzików. Dla podkreślenia wyjątkowości tej okazji włożył perukę z wielką czarną kokardą z tyłu.

Przybyli wszyscy krewni Louise z wyjątkiem hrabiny Moresdale, która napisała, że jest zbyt stara, by odbyć tak długą podróż, ale w prezencie od siebie i swojej synowej przesłała komplet srebrnych sztućców. Bracia stawili się z rodzinami, była obecna siostra i kuzyni Jonathana, a także członkowie Klubu Dżentelmenów Piccadilly. Wszyscy rozbawieni i skorzy do żartów.

- Nie wiem, jak to jest z łapaniem przestępców - powiedział potem Harry, uśmiechając się do Louise, która stała u boku Jonathana w wielkiej sali balowej Chaston Hall i odbierała gratulacje - bo mnie się zdaje, że ta organizacja ma więcej wspólnego ze swataniem. Żony znalazło dzięki niej już trzech członków: James, Sam, a teraz Jonathan.

- I Joe - dodała Louise. - Wiem, że nie jest pełnoprawnym członkiem, ale bez wątpienia dobrze odegrał swoją rolę.

- Ty będziesz następny, Harry - dodał sir Ashley.

- Już dość czasu spędziłeś jako wdowiec!

- A może ty - zripostował Harry.

Minęło prawie pięć lat, odkąd jego żona umarła przy porodzie po zaledwie roku małżeństwa. Czasem trudno mu było uwierzyć, że w ogóle kiedyś był żonaty.

- Ja na pewno nie. Jestem i pozostanę kawalerem. Nie mam wielkiego majątku, który czekałby na dziedzica.

- Jeszcze się przekonasz - roześmiał się Jonathan.

- Któregoś dnia zrozumiesz, że się zakochałeś, i wszystkie twoje zapewnienia okażą się funta kłaków warte. I dobrze! Małżeństwo jest czymś, co mogę szczerze polecić. - Odwrócił się do żony i pięknie się do niej uśmiechnął. - Naturalnie, małżeństwo z odpowiednią kobietą.

I tak uroczystość trwała, póki nie przyszedł czas, by młoda para opuściła gości i pojechała do nowego domu rozpocząć nowy rozdział życia.

